

De. II 1

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 139.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

~~PISMO POSWIĘCONE~~

~~NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.~~

1875.

SERYA V.

Lipiec.

TOM III. — ZESZYT VII.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 3 lipca 1875 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. HISTORYA. Dawna rzeczpospolita Dubrownicka, zarys j \acute{e} y dziej \acute{o} w urz \acute{a} dzenia i pi \acute{s} miennictwa. Przez Kazimierza Pułaskiego. St \acute{o} letnia rocznica urodzin ks. Jak $\acute{o$ ba Falkowskiego. Przez K. Wł. W \acute{o} jskiego.	1 135
II. LITERATURA. Obrazy ze wsp \acute{o} czesnej literatury angielskiej. Przez F. Jezierskiego.	22
Wspomnienie o \acute{s} . p. Tomaszu Dziekońskim. Przez A. G.	84
III. POWIEŚĆ. Z siedmioletniej wojny. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. (Ci \acute{a} g dalszy).	42
IV. FILOZOFIA. Religia Pozytywna, czyli nowa powszechna religia Ludzkości. Napisał Seweryn Smolikowski. (Dokończenie). Pami $\acute>e$ tnik z pobytu w Ameryce. IV. Przez Krystynę Narbutt \acute{o} wn \acute{e}	60 88
V. KRONIKA ZAGRANICZNA, naukowa, literacka i artystyczna.—Literatura Malajczyków, odkryta przez filolog \acute{o} w holenderskich. Bidasari, poemat malajski przekł \acute{a} du Ludwika Backer. Pieśni liryczne.—Rozw \acute{o} j idei demokratycznych w stosunku do sztuk pi \acute{e} knych.—Wystawa obraz \acute{o} w w pałacu przemysłowym. Szkoła realistyczna: Respha odganiająca \acute{s} ępa od powieszonych syn \acute{o} w Saulowych, Beckera.—Spisek za Tarkwiniusz \acute{o} w, p. Glaize.—Malarze r $\acute{o$ żnonarodowi: Amerykanie, Szwajcarzy i t. d.—Prace trzystu czterestu kobiet na wystawie.—Piekło Dantowskie Dorego.—Obrazy religijne: Chrystus w pośr $\acute{o$ d dzieci, Michela.—Śmierć \acute{s} w. J \acute{o} zefa, p. Landelle.—Chrystus w grobie, p. Sellier.—Sceny biblijne: Thamar Cabanela.—Samson p. Lehoux.—Prześladowanie za Dyoklecjana p. Sansay.—Obrazy historyczne: Julia siostra Cezara Lucylliusza, Ziera.—Śmierć Seneki i Sylwestra.—Neron, Schutzenbergera. Radegunda p. Pavis de Chamamus.—Obl \acute{a} kany Van der Goes, Wantersa.—Zawieszenie dzwonu Zygmuntownskiego, Matejki.—Rycerze krzyżowi, Wojciecha Gersona.—Obrazy mitologiczne: Pyram i Thisbe p. Delobbe.—Porwanie Ganimeda p. Ferrier.—Śmierć kr $\acute{o$ la Rawany, Cormona.—Ofiara Eskulapowi p. Geudron.—Bella matribus detestata, Mersona.—Juliusz Cezar Ywona.—Portret hrabiny Caen: testament j \acute{e} y na rzecz m $\acute{o$ łodych artyst \acute{o} w.—Portret paui Pasca, Bonnata.—Portrety Carolusa Duran, Rodakowskiego i t. d.—Portret p \acute{e} dzla panny Izydory Mikulskiej, U \acute{s} piona Pr \acute{z} ądka.—Krajobrazy Corota: wystawa jego dzieł w Akademii Sztuk Pi \acute{e} knych.—Obrazy wojenne: Bitwa pod Villersexel, Neuville.—Utarczk \acute{a} tyralier \acute{o} w w Malmaison, p. Boerne-Belleacur.—Pułk maszerujący, Detaille'a.—Obrazy rodzajowe: Ognie \acute{s} więtojańskie Juliusza Breton. Zbi \acute{o} r	

(Dalszy ci \acute{a} g na trzeciej stronie okładki).

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 139.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1875.

ca-26-00

Tom trzeci.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1875.



De. II. 1.

Дозволено Цензурою.
Баршава 19 Июня 1875 года

D A W N A

RZECZPOSPOLITA DUBROWNICKA,

ZARYS JEJ DZIEJÓW URZĄDZENIA I PIŚMIENICTWA.

PRZEZ

Kazimierza Pułaskiego.

Wazki pas kraju, leżący po nad Adryatykiem, graniczący na wschód z Bośnią i Hercegowiną, zaludniony został w pierwszej połowie VII-go wieku (630—640) podczas wędrówki Słowian z Północy ku brzegom morza Adryatyckiego, przez słowiańskie plemiona Chorwatów i Serbów, których mowa nie różniła się wcale od ogólnego języka serbskiego; wszystkie też cechy narodowe były zrazu jednakie. Przybywszy ci, osiadłszy nad Adryatykiem, rozdzielili zajętą ziemię na żupaństwa, zaprowadzając zrazu słowiański system patryarchalnego podziału na gminy, który jednak pod wpływem bliższego Zachodu, rychło ustąpił miejsca całkiem odrębnym urządzeniom. Najdłużej opierały się Słowianom, wciskającym się ku brzegom morza, miasta nadbrzeżne: Ragusa, późniejszy Dubrownik słowiański, Trochir, Splet (Spoleto) i inne, gdzie w chwili najścia słowiańskiego schroniła się była ludność miejscowa, pochodząca z kolonów rzymskich, przechowując w ten sposób pierwiastek dawny, miejscowy, mający ze swojej znów strony silnie oddziaływać w późniejszych czasach na żywioł słowiański. Pierwiastek ten jednak, wyciskany zrazu przez napływ obcy, powoli ustępował mu miejsca; lecz dość długiego potrzeba było czasu, bo od IX aż do XI-go stulecia, ażeby Ragusa i inne miasta nadbrzeżne przeobraziły się w miasta słowiańskie. To atoli zestawianie nie zdołało przecież zatrzeć pierwiastku miejscowego, który, jak to dalej widzieć będziemy, korzystnie walczył z żywiołem przybyszowym, a wsparty wpływem włoskim, niejednokrotnie stanowcze odnosił zwycięstwa.

Rozsiadłszy się na samych kresach południowo-zachodnich ówczesnego świata słowiańskiego, plemiona te uległy silnie oddziaływającym nań wpływom Zachodu, w szczególności zaś sąsiedniej Italii, oddzielonej od nich wązkiem tylko pasmem morza, ku czemu wielce przyczyniły się także ostatki żywiołu rzymskiego, przechowane w miastach południowych Dalmacyi. Znalazłszy się przytém w zupełnie odrębnych od Serbów i innych pobratymczych plemion okolicznościach i warunkach swego bytu, różne też od nich przechodząc koleje polityczne, plemiona te przybrały całkiem odrębny charakter i zupełnie odrębne stanowisko; narzeczę nawet którym mówili, znacznie się oddali-

ło od pierwowzoru, wytwarzając dyalekt osobny, a chrześcijaństwo wprowadzony tutaj w formie rzymskiego katolicyzmu, jeszcze więcej odróżnił ich od wschodnich ich pobratymców słowiańskich.

Dzisiejsza Dalmacya, od czasu zajęcia jej przez Słowian, dzieliła się na dwie części: *północną* czyli właściwą Chorwację, rządzoną zrazu przez narodowych królów, uznającą następnie zwierzchnictwo i opiekę Wenecyi a potem Węgier, i *południową*, której stolicą był słynny w dziejach południowych Słowian *Dubrownik* (Raguza), którego urzędzenia, oświata a głównie piśmiennictwo, tu zaś w szczególności poezya wykształcona na wzorach włoskich, najświetniejszym jest kwiatem umysłowej kultury Słowian południowych, a różniąc się w głównych swych cechach od piśmiennictwa innych plemion słowiańskich, zupełnie odrębne zajmuje stanowisko.

Dubrownik ze swoim okręgiem stanowił niezależną Rzeczpospolitą, która przetrwać zdołała wszystkie burze polityczne, z jednej strony napaści sąsiedniej Turcyi, z drugiej znów choć mniej groźne, lecz nie mniej niebezpieczne dla jej swobody roszczenia Wenecyi, a choć nieraz uznawała zwierzchnictwo lub opiekę potężnych sąsiadów, jednych lub drugich, to przecież umiała zachować nienaruszonemi swe ustawy i prawa i zabezpieczyć swobodę swego handlu, zostawiwszy w ten sposób światu ślady swjej działalności politycznej i kultury umysłowej, aż dopiero w pierwszych latach naszego stulecia ostatecznie zniesioną została. W obecnej więc pracy zamierzamy opowiedzieć w krótkości koleje polityczne, jakim uległa ta drobna Rzeczpospolita, zaznaczyć główne jej urzędzenia społeczne, wspomnieć o obserwowanym jej handlu i wreszcie dać poznać piśmiennictwo, które tak świetnie rozwinęło się w wieku XVI. Przedmiot to ciekawy, a o ile nam wiadomo dotąd u nas nie tknięty. Przedstawiamy go zaś naszym czytelnikom na podstawie najnowszych badań i poszukiwań historyków chorwackich: Ljubicza, Raczki'ego, Matkovića, Parića, Jagića, Kukulievića, Sakcińskiego i innych, posilkując się niemniej także pracami niemieckich autorów piszących o Dubrowniku, i tak: Engla, Gebharda, Dümmera, Pettera i t. d.

I.

Dawne Rausium powstało na miejscu starożytnego Epidauru po drugiej stronie zatoki, zburzonego przez barbarzyńców, osiadłe potem przez Słowian, nazwane przez Greków i łacinników Raguzą ¹⁾, w języku słowiańskim Dubrownikiem, ukształtowało świetną, potężną a nie-

¹⁾ Engel (*Gesch. der Freist. Rag.*) wyprowadza tę nazwę od wyrazu włoskiego *rocca*, stąd *Roehusa* i *Rachusa*, na co się nie zgadza Ljubić. Patrz rozprawę Ljubića: *Odnótaji mediu Dubrovnikom i Mletci* w *Czasopiś: Rad Jugosl. Akad. Knjiga V i XVII*, do której często odnosić się będziemy.

zależną Rzeczpospolitą, rywalkę Wenecyi i Genui na morzach południowych, a zwaną nieraz Atenami słowiańskimi dla swego handlu, urządzeń wewnętrznych i kultury umysłowej, wysoko rozwiniętej w epoce, która zjednała sobie szczytną nazwę epoki odrodzenia.

Najpiérwszą ludność Dubrownika stanowili zbiegli z Epidauru i Salony mieszkańcy, po zburzeniu miast tych przez barbarzyńców, a że składali się z kolonów greckich i rzymskich, przeważnie zaś z tych ostatnich, ztąd od czasu założenia tego miasta (w piérwszej połowie VII wieku, a wedle niektórych historyków znacznie piérwéj); język łaciński wyłącznie tu był używanym aż do XI wieku, w którymto czasie coraz liczniej osiadać tu poczęli Słowianie, i wreszcie gdy liczniejsi już byli od miejscowych dawniejszych mieszkańców, wygnali z Dubrownika używany dotąd język łaciński, i zastąpili go swoim serbsko-słowiańskim narzeczem ¹⁾. Jakie jednak były najpiérwsze formy Rzeczypospolitej Ragusańskiej, dotąd wysledzoném nie jest, niemniej także mało są znane szczegóły jéj życia politycznego w piérwszych tych czasach; zdaje się atoli, iż przyniesione tu przez kolonów rzymskich zwyczaje i formy społeczne zachować się musiały, mimo przewrotu dokonanego w skutek najścia Słowian. Patrycyat, pozostałość rzymska, przyjętym został przez Słowian, równie jak wiele innych ustaw, wyobrażeń i zwyczajów, co tém naturalniejszém było, iż osiedlenie tu Słowian dokonywało się powoli, nie było zatém w stanie zwalić istniejących już tutaj form życia społecznego. W układach jednak Dubrownika z miastami Pizą i Kottaro w XII wieku (z lat 1169 i 1181), znajdujemy ślady współdziałania ogółu w zarządzie miastem, co być musiało następstwem wniesionej przez Słowian zasady gminy i chwilowym jéj tryumfem, rychło jednak ustąpiło ono miejsca władzy arystokratycznej patrycyuszów dubrownickich. „Dawna Rzeczpospolita Ragusańska, powiada Antun Sorkoczewicz ²⁾, założona przez kolonów rzymskich z Epiduaru i Salony, była w początkach swoich arystokratyczno-demokratyczną (une aristo-démocratie), następnie zmieniła się w czystą arystokrację na wzór Wenecyi i wreszcie—dodaje tenże pisarz—tak jak i każde złe, które starzejąc się wzrasta, tak samo arystokracya ta stała się z czasem prawdziwą oligarchią.”

Dzieje polityczne Dubrownika przedstawiają zadziwiającą różnorodność, kolejne tryumfy lub przymusową uległość dla potężnych sąsiadów; zawsze jednak, przez cały ciąg całego swojego istnienia politycznego, drobna ta Rzeczpospolita zdołała zachować swą niezależność, swe ustawy i urządzenia. W chwilach krytycznych, gdy opór był niemożliwym uznawała zwierzchniczą opiekę obcych państw: Wenecyi, Węgier lub Turcyi; zawsze jednak umiała ustępstwa te wyzyskać umiejętnie, zabezpieczając swe prawa, ustawy i urządzenia, które z małemi różnicami

¹⁾ *Engel* Gesch. der Triest. Rag. str. 49. *Gebhardi* toż samo s. 500.

²⁾ Cytowany przez Ljubića w rozprawie *Odnosaji mediu Dubrovnikom i Mletci* Rad. Tom V, str. 53.

w zewnętrznych swych formach, przetrwały niewzruszone przez długi ciąg wieków. A jeśli znajdziemy w Dubrowniku, w skutek tój właśnie zwierzchniczej opieki Wenecyi przewagę żywiołu włoskiego, następowało to w skutek wpływów moralnych, nigdy zaś przez parcie politycznej przewagi.

Po upadku Salony i Epidauru, cała Dalmacya i miasta nadbrzeżne, a między niemi i Dubrownik uznając zwierzchniczą nad sobą władzę Bizancyi, zostawały pod bezpośrednim zarządem Egzarcha Raweńskiego, z ramienia którego wyznaczany prokonsul, rezydujący w Zara, zawiadywał tym krajem ¹⁾. Gdy jednak Egzarchat zburzony został przez Franków i Longobardów, zależność Dubrownika od Bizancyi zasadzała się na opłacaniu rocznej daniny i dostarczaniu w razie potrzeby pewnej ilości okrętów wojennych, w X jednak wieku Dubrownik uwolnił się od tój zależności; nie długo przecież trwała zupełna niezależność Rzeczypospolitej, bo rychło potem zmuszoną była uznać opiekę Wenecyi. Pod koniec bowiem tego wieku (około 998 r.) doża wenecki Piotr II Urseolo, zrobiwszy wyprawę do Dalmacyi, znaczną część jej zagarnął. Niektóre miasta silny stawily opór, ale po kolei uleż musiały przewadze siły, inne znów a między niemi Dubrownik, dobrowolnie przystąpiły do związku z Wenecyą, inaczéj powiedziawszy przyjęły opiekę Wenecyi; władza jednak pozostała w ręku zarządu municypalnego, Dubrowczanie składali tylko nie wielką danię mianując ją „podarkiem Rzeczypospolitej.” Daninę tę stanowiła pierwotnie sztaba srebra waząca dziewięć marek, a którą Dubrowczanie składali w ręce weneckiego komendanta na morzu Adryatyckim (*Capitano del Golfo*), podczas dorocznego objazdu jego po tём morzu. Później danina ta znacznie podwyższoną została.

Jako Rzeczpospolita handlowa, Dubrownik rzadko brał za oręż, przymuszony chyba przez konieczność obrony, lub wciągnięty do walki przez państwa z któremi łączyły go stosunki i przyjazne związki. I tak w IX jeszcze w. Dubrowczanie wszelkich sił używają ażeby odpiierać groźnie wciskających się Saracenów, w X wieku po chwilowym oporze stawionym Wenecyanom, łączą się z niemi ażeby gromić piratów morskich czyhających na ich okręta po morzach południowych i walczą już na dobre z Samuelem carem bułgarskim. W XI wieku związek z Robertem Gwiskardem, któremu dostarczali okrętów wojennych wciągnął ich w ciężką wojnę z Bizancyą i Wenecyą, a w XII spory z Bośnią znów do walki ich zmuszają. Barich, ówczesny ban Bośni stanął ze znacznym wojskiem pod Dubrownikiem, ale zmuszony do pokoju (1154), zabezpieczył Dubrowczanom ich handel w Bośni a na znak przyjaźni składał corocznie w podarku dla Rzeczypospolitej pewną ilość białych koni. We wszystkich tych wojnach, Dubrownik zawsze pomyślnie wychodził, zawsze umiał zabezpieczyć swą niezależność i swobodę swego handlu.

¹⁾ *Dümmler*: Ueber die ält. Gesch. der Slaven in Dalm. (Wien 1856) s. 21.

W pierwszych latach XIII stulecia, Rzeczpospolita Dubrownicka przyjmuje znowu opiekę Wenecyi i w większą jeszcze wpada zależność, wybierając na książąt swoich patrycyuszów weneckich znakomitego rodu, ci ostatni atoli zaprzysięgali całość swobód i praw jej, pozostawiając całą niemal władzę w ręku municypalnego zarządu; mimo to przecież wpływy włoskie coraz silniej oddziaływać počęły na żywioł słowiański w Dubrowniku.

To owładnięcie zwierzchniczej władzy przez Wenecyan, nastąpiło w skutek wewnętrznych niezgód i nieporozumień. Pierwej urząd rektora Rzeczypospolitej, wybieranego z grona najdostojniejszych obywateli miasta, był rocznym. Jeden atoli z rektorów, imieniem Damian Juda, dubrownicki Marino Falieri, po upływie roku swojego urzędu, chciał nadal pozostać rektorem, co też udało mu się osiągnąć. Po upływie jednak drugiego roku, chciał na rok trzeci przedłużyć swą władzę i utrwalić ją tak, aby stać się wszechwładnym naczelnikiem Rzeczypospolitej. Usiłowaniom tym sprzeciwiającym się zasadniczemu prawom Dubrownika, oparło się wielu a między niemi przemożny dom Bobali'ch. Damiąno rozkazał uwiezić trzech Bobali'ch, ci jednakże ucieczką zdołali uniknąć więzienia. Krok ten gwałtowny i samowładny, zapowiadający upadek swobód wolnej Rzeczypospolitej oburzył i przeraził całą szlachtę. Jeden z pomiędzy nich Beneszić, zięć Damiana, a niechętny mu, zaproponował senatowi ażeby poddać się pod opiekę Wenecyi, gdyż przy obecnym stanie rzeczy, nie będą mogli im się oprzeć, wówczas bowiem Wenecyanie zajmwszy Zareę grozili Dubrownikowi.

Po burzliwych naradach, senat przyjął podany wniosek i sam Beneszić wysłany został do Wenecyi dla zawarcia umowy, w tajemnicy jednak rzecz całą zachowano. Na mocy układu zawartego przez Beneszica w Wenecyi, Dubrowczanie zobowiązali się wybierać weneckich patrycyuszów na naczelników swoich, zastrzegając jednak iż dawne prawa i urządzenia Rzeczypospolitej żadnego nie poniosą uszczerbku. Zaraz więc Wenecyanie uzbrowili dwie galery i wysłali je do Dubrownika. Poseł ich Morozini przybił u Lacromy, małej wysepki należącej do Rzeczypospolitej, zmyślając iż plynie do Konstantynopola i że nie długo tam się zatrzyma; tymczasem odwiedził Damiana i zaprosił go do siebie na okręt. Nieprzypuszczając podstępu, rektor dubrownicki udał się na galere wenecką, zaledwie jednak wstąpił na pokład, rozpięto żagle i galera odplynęła unosząc ambitnego Damiana, który z rozpaczy iż nie dopiął swoich zamysłów, rozbił sobie głowę o ściany okrętu. Miało to miejsce w 1204 roku. Natychmiast patrycyusz wenecki Lorenzo Querini przysłany przez signorię, wybrany został na *Conte* miasta. Obiór ten dokonywał się w chwili, gdy pospólstwo nie zadowolone ze zmiany rządu, pładrowało pałac w którym mieściły się władze rządowe. Następca Queriniego Jan Dandolo (1216) przez dumę i samowolę oburzył Dubrowczan, którzy odtąd razy kilka kusili się zrzucić uciążliwą opiekę Wenecyi; daremne jednak były te usiłowa-

nią i nie długo później (1232 roku) zawarty został nowy układ, na mocy którego Dubrowczanie na nowo zaprzysięgli wierność Wenecyi i przysięgę tę odnawiać mieli co lat dziesięć. Dalej zobowiązywali się wypłacać pewną daninę coroczną i uzbrajać własnym kosztem kilka okrętów, a dla dotrzymania tej umowy, sześciu najznakomitszych Dubrowczan jako zakładników stale przebywać miało w Wenecyi ¹⁾.

Protektorat wenecki z małemi przerwami trwał półtora wieku (od 1204 do 1358 roku) i w ciągu tego czasu było w Dubrowniku 62 książąt weneckich, poczem zastąpionym został przez protektorat węgierski. Gdy bowiem w 1357 roku wybuchła wojna między Ludwikiem królem węgierskim i Wenecją, i gdy Węgrzy zajęli Zareę i kilka innych miast dalmackich, a rychło potem całą prowincję, Dubrowczanie skorzystali z tej okoliczności ażeby uwolnić się od coraz uciążliwszej przewagi Wenecyi, poddając się pod opiekę Węgier. Wysłane więc w tym celu poselstwo, zawarło konwencyę z królem węgierskim, na mocy której Dubrowniczanie zobowiązywali się płacić królowi węgierskiemu i jego następcom po 500 dukatów w złocie, królowi serbskiemu po 2050 perperów ²⁾ a banowi bośniańskiemu po 500 perperów. Na okrętach dubrownickich powiewać odąd miała flaga węgierska, naczelnik Rzeczypospolitej wybrany przez miasto, miał być potwierdzony przez króla, w razie zaś potrzeby Dubrownik zobowiązywał się dostarczyć pewną ilość okrętów wojennych. Gdyby król węgierski lub jego zastępca przybył do Dubrownika, *honorifice* miał być przyjmowany kosztem Rzeczypospolitej, a w kościele katedralnym dubrownickim, trzy razy do roku zaśpiewać miano królowi węgierskiemu „slava.” Ze swojej znów strony, król węgierski przyrzekał bronić Rzeczypospolitę dubrownicką przeciw każdemu i wszystkim jego nieprzyjaciołom ³⁾. Układ ten ratyfikowany 27 maja 1358 roku, na czas długi usunął Rzeczypospolitę od opieki i zwierzchnictwa Wenecyi.

1) Patrz cytowaną wyżej rozprawę Ljubićca, *Rad jugosl Ak.* Tom V str. 95.

2) *Perpera* 12 (denarów) drobna moneta dubrownicka, którą wybijano od 1272 roku. W XIV wieku senat postanowił ażeby z 11 unoyj srebra i 1 unoyi miedzi wybijano 14 perperów; w późniejszych czasach znacznie zredukowano ich wartość. Mówią o monecie dubrownickiej zaznaczając musimy, iż na mocy prawa wydanego przez senat w 1592 roku, polska moneta a mianowicie rybskie *grosze* króla Zygmunta, wyrównyujące dawnym *Articulosom* dubrownickim, miały kurs w Rzeczypospolitej, i przez czas długi najpospolitszą były monetą. Kanonik Arbanos z Dubrownika, historyk i numizmatyk jest zdania, że moneta ta, za wyłącznym na to konsensem króla polskiego w samym Dubrowniku była wybijana w pewnej oznaczonej ilości (*Neigeb. Die Süd. Slav. str. 95*), nie zdaje się nam jednak, aby to przypuszczenie było prawdopodobnem.

3) *Matković. Prilozi k trgovačko-političkoj historiji republiké dubrovačke, Rad jug. Ak. 1869, VII str. 192.*

Odtąd rozpoczyna się najświetniejsza epoka dziejów Dubrownickich, handel szczególnie Dubrowczan nadzwyczaj się rozwinął w owej epoce, o nim więc tutaj słów kilka powiedzieć wypada ¹⁾).

Obszerny i daleki handel morski, sięgający odległego Wschodu, wybrzeży Afryki, południowych kończyn Włoch i Hiszpanii stanowił główną potęgę tej drobnej Rzeczypospolitej. Przy ciągłym rozwoju handlu, wzrastały także bogactwa i zamożność jej obywateli. Małe państewko, którego ludność w najświetniejszej epoce nie przenosiła siedemdziesięciu kilku tysięcy mieszkańców, lecz którego stolica Dubrownik, przynęcając osiedleńców słowiańskich lub włoskich przybyszów tak szybko się wznosił, że był czas iż liczył aż do 30000 ludności (w XVI wieku), posiadając szczupłe terytoryum i ziemię nieurodzajną, zwróciło całą swą uwagę na handel i marynarkę, a rozwijając je na wielką skalę, rychło zaślęnęło bogactwem. Handel Dubrowczan rozszerzał się po wszystkich morzach południowych, statki ich przybijały w portach Konstantynopola i Wenecyi, głównych stacyach średniowiecznego handlu dwóch światów, a ztamąd naładowane wschodnimi towarami rozwoziły je dalej.

Dla zapewnienia swobody swojego handlu i bezpieczeństwa jego, Dubrowczanie zawierali przyjazne stosunki, traktaty i wzajemne umowy z sąsiednimi państwami. Nie mówiąc już o włoskich ich sąsiadach z Zachodu, z którymi łatwo mierzyć się mogli, lub o Serbach i Bośniakach, Dubrowczanie z potężnym a zawsze groźnym swym sąsiadem wschodnim traktowali często jak równy z równym, mimo tak rażącej różnicy liczebnej i tak wielkiej przewagi siły potężnych Osmanlisów. Pominąwszy mniej ważne układy i traktaty, wspomnimy tu kilka główniejszych, które przeważnie wpłynęły na handel Dubrowczan. I tak w XII wieku, senat Dubrownicki wysłał poselstwo do sułtana Orhana, syna Osmanowego, aż do Brussy, rezydencyi potężnego padyszacha, który panował na Hellesponcie, Propontydzie i mógł bronić wejścia na morze Czarne. Potęga jego na morzu zmuszała wszystkie kraje południowe, te szczególnież które handlem się trudniły, ubiegać się o przyjazne z nim stosunki. Dla Dubrowczan opieka jego konieczną była, bo Grecy od czasów cesarza Andronika nie posiadali już marynarki wojennej, a Genuńczycy, Wenecyanie i wyspiarze z morza Śródziemnego dopuszczali się nieraz bezprawi i gwałtów na handlowych flotyllach, które dostatecznego oporu stawić nie były w stanie. Posłowie więc Dubrownicy zawarli układ z potężnym Orchanem i w imieniu Rzeczypospolitej zapewnili mu roczną daninę, wynoszącą 600 cekinów; sułtan zaś ze swojej znów strony uwolnił statki dubrownickie od cła i przyrzekł opiekę swoją nad niemi. W XVI znów wieku (1521), Soliman II, ów najpotężniejszy władca Wschodu, rozszerzył jeszcze więcej swobody handlu Dubrowczan na Wschodzie i pozwolił

¹⁾ Obszernie o handlu Dubrownickim opowiada Matković w powyżej wymienionj rozprawie.

im zakupywać zboże w swoim państwie, za co tamci musieli mu się opłacać nową daniną, którą jednak zwali podarkiem. Inne znów traktaty i układy, zabezpieczały handel Dubrowczan w Egipcie i Syrii a z drugiej znów strony w ziemiach korony węgierskiej, we Francji, Anglii i Hiszpanii.

W XV wieku (około 1450), Dubrowczanie posiadali trzysta okrętów handlowych. W owęj téż epoce mieli w wielu miastach sąsiednich krajów swoje faktorye, niby dzisiejsze domy komissowe i handlowe, ułatwiające im ich interesa i pilnujące ich handlu. Były to jakby kolonie, z konsulem na czele, miały zwykłe swój kościół i cmentarz, szpital i własny swój sąd handlowy. Najważniejsze z nich były: w Carogrodzie, Adrianopolu, Sylistryi Ruszczuku, Sofii, Belgradzie i innych. Takież same faktorye mieli także w Egipcie: w Aleksandryi i Kairze, w Małej Azji: w Brussie i Smirnie, a we Włoszech: we Florencyi, Genui, Messynie, Syrakuzie, Palermo i innych miastach. Opieka Turcyi, którą zjednać sobie umieli, choć nie bez ofiar wprawdzie, zabezpieczała ich handel w Egipcie i Syrii, wówczas nawet gdy Genueńczycy i Pizańczycy byli zmuszeni ustąpić z tych krajów.

Statki dubrownickie, o których w IX jeszcze wieku wspomina Konstanty Porfirogenita, mówiąc iż przewoziły znaczne siły do Apulii, ważną nieraz odgrywały rolę wśród ciągłych walk i sporów miast włoskich. W XV wieku podczas wojny Wenecyi z księciem Ferrary (1482-1484), Dubrowczanie dawali pomoc księciu przeciwko potężnej ich rywalce. Obrażony senat wenecki, aby poniścić się za to, wiedział w jaki sposób najdotkliwiej ugodzić Dubrowczan, wydał tedy postanowienie, mocą którego ścieśnił i utrudnił handel Dubrownika z Wenecją. Cios to był wielki dla Rzeczypospolitej, nie odstąpiła przecież swego sprzymierzeńca, a iżby wynagrodzić straty jakie ponosiła w skutek tego, wszelkich dołożyła usiłowań aby rozszerzyć i powiększyć swą działalność handlową na Wschodzie, dla zabezpieczenia się zaś od Wenecyi, wzniesli twierdzę *Malo*, w części dotąd istniejącą. W następnem zaś stóleciu, podczas wyprawy Karola V do Tunisu przeciw Chairedelin-Barbossie, cztery statki dubrownickie uczestniczyły w niej także, i powróciły do domu bogatym łupem nakładowane. Mniej pomyślnie udała się druga wyprawa Karola na Algier w 1541 roku; z jedenastu okrętów dubrownickich, które braty w niej udział, sześć tylko zdołało uratować się, a reszta wraz z całą załogą do szczętu zniszczone zostały.

Protektorat węgiersko-chorwacki trwał w Dubrowniku do czasu, gdy wzrastająca ciągle przewaga Turcyi coraz silniej grozić poczęła Węgrom i całemu Chrześcijaństwu, a słynna klęska pod Mohaczem w której poległ król Ludwik (1526) wykazała całą potęgę Wschodu a z drugiej znów strony niedostatek obrony. Opieka Węgier póty tylko użyteczną była dla Dubrowniczan, póki dzierżyli w swém posiadaniu część Dalmacyi i silne mieli wpływy w Serbii i Bośni, odkąd zaś oba te kraje upadły, a potęga turecka coraz się wzmagająca, Węgry ostonić

już nie mogły Dubrownika od licznych napaści tureckich, znowu więc kolejno widzimy tam opiekę Wenecyi, coraz bardziej wyciskającej swym wpływem żywioł słowiański, lub téż ściślejsze stosunki z Turcyą, która za daniny ciągle powiększane, ustępowała od swych roszczeń i zostawiała przy życiu to drobne państewko, które łatwo zniszczyć była w stanie. I tak w 1453 r. po zdobyciu Konstatynopola, sułtan podniósł daninę Dubrowczan z 1500 na 3000 dukatów, za to iż senat dawał schronienie i przytułek chrześcianom uciekającym z pod jarzma tureckiego. W 1474 r. danina wynosiła już 8,000 dukatów i jeszcze podniesioną była, a to dlatego, iż przy obronie miasta Skutari dwóch Dubrowczan odznaczyło się było. W ostatnich wreszcie czasach, danina opłacana Turkom, wynosiła 40,000 piastrów tureckich, za to jednak Dubrownik ważne miał od Turcyi przywileje; z tych najważniejszym dla ich handlu był przywilej zaopatrywania w sól Bośni i Hercegowiny, zkąd znaczne ciągnęli dochody.

W historyi Dubrownika spotykamy kilka ciekawych szczegółów wspaniałomyślnéj gościnności Rzeczypospolitéj, niezważającéj nieraz na względy polityczne, a kierującéj się zawsze szlachetném współczuciem dla nieszczęścia i niedoli. Jeszcze w 1192 roku, Ryszard Lwie Serce, ów romantyczno rycerski król Anglii, powracając ze Wschodu, wspaniale był podejmowany i goszczony przez senat dubrownicki a w 1396 roku z równą gościnnością przyjmowany był król Zygmunt węgierski. Pobity przez sułtana Bajazeta w słynnéj bitwie pod Nikopolis (28 września 1396 r.), uchodził z życiem tylko w towarzystwie Jana Kanische Arcybiskupa Granu. W grudniu tegoż roku przybił on do wyspy Lacromy. Senat przez dni dziewięć wspaniale go podejmował, opatrzył w pieniądze i zbroje, a gdy odjeżdżał, dodał mu eskortę honorową złożoną z trzech patrycyuszów dubrownickich: Bona, Gerva i Gozze. Zygmunt ujęty tém przyjęciem, wyniósł ówczesnego rektora Rzeczypospolitéj Maryno Resti, na kawalera Złotéj ostrogi, i obdarzył go złotym łańcuchem i parą złotych ostróg, chcąc iżby godność ta przechodziła na wszystkich późniejszych rektorów, co jednak senat uchylił. Marmurowa tylko tablica z pamiątkowym napisem przybitą została na pałacu senatorskim. Również sławiony w pieśniach Czarnogorców, bohater ich Jerzy Kastriotisz (Skanderberg), po trzykroć znajdował gościnne schronienie w Dubrowniku. Przyjęcie to tém więcéj przynosi zaszczytu Dubrowczanom, gdyż pewni być mogli gniewu sułtana, który podwoił za to płaconą przez nich daninę. Nie mniej przeto po zdobyciu Konstatynopola przez Mahometa, w Dubrowniku znalazły schronienie znakomite rodziny greckie Laskarysów, Komnenów, Paleologów, Kantakuzenów i inne, jak również wielu uczonych greckich, uciekających z pod jarzma tureckiego, a unoszących z sobą skarby starożytnéj oświaty helleńskiéj, mające otworzyć nową epokę w dziejach kultury Zachodu. Obsypani darami, ruszyli oni ztamtąd na dwór Wawrzyńca Medyceusza, który był niemniej gościnny i światły.

Rzeczpospolita Dubrownicka przetrwała aż do ostatnich lat XVIII stulecia; w owym dopiero czasie przewrót dokonany przez Bonapartego, zadał cios ostatni jej niezależności politycznej. Od dawnych bardzo czasów była w Dubrowniku przepowiednia dotycząca upadku jego a troskliwie przekazywana z pokolenia w pokolenie. Jeszcze w 1221 roku, Franciszek z Assyżu, znajdując się w tém mieście, zapytany przez senat, jak długo Rzeczpospolita istnieć będzie, odpowiedział: „że Dubrowczanie tak długo pomyślnością cieszyć się będą, póki bram swych nie otworzą obcym wyznaniom.” Potém odwoływano się na prorocstwo świętego Giacomo della'Marca, który w kościele katedralnym z kazalnicy ogłosił był: że „Rzeczpospolita wówczas utraci swą niezależność, gdy w murach Dubrownika stanie kościół obcego wyznania.“ Długo więc senat troskliwie pilnował tych przestroóg, nieznosząc wyznań obcych w Rzeczypospolitej, i często ponawiane prośby greckich Serbów którzy z wielu dogodnemi nawet dla miasta warunkami, osiedlić się chcieli w Dubrowniku i własny mieć kościół, stale odrzucane przezeń były. Dopiero w 1780 roku w skutek układu z konsulem rosyjskim zawartego, budować poczęto cerkiewkę na przedmieściu Pille, na małym placu otoczonym w koło murem. Cesarzowa Katarzyna II hojnie ją uposażyła. Starzy Dubrowczanie przypisywali upadek swego miasta pogwałceniu dawnych tradycji.

Dla uzupełnienia obrazu politycznych kolei jakie przechodził Dubrownik, pozostaje nam jeszcze skreślić ostatnie chwile tej drobnej Rzeczypospolitej. Gdy w 1796 i 1797 latach, Francuzi zajęli wyspy Jońskie, Dubrowczanie drżeli już o los swój. I rzeczywiście, rychło potém w porcie ich zjawiły się dwa okręty wojenne z komisarzem francuzkim, który zażądał od senatu pożyczki miliona liwrów. Senat nie będąc w stanie żadnego stawic oporu, wiedząc przytém że takowy do niczego nie doprowadziłby, wyliczył natychmiast dość znaczną sumę, co tylko mógł zebrać, o zwrocie jednak tych pieniędzy i mowy nie było. W skutek takiego rabunku, finanse Rzeczypospolitej znalazły się w opłakanym stanie; aby zaradzić temu, senat wydał rozporządzenie, iżby każdy mieszczanin zakupił oznaczoną ilość soli z magazynów rządowych. Monopol soli przynosił Rzeczypospolitej znaczne dochody: był to więc rodzaj łatwego i nieuciążliwego dla mieszkańców podatku. Mimo to jednak, ludność cała niezadowolona z tego rozporządzenia, oparła się spełnieniu onego, wybuchły nieporządki i zamieszania. Senat nie mogąc im zaradzić, polecił rezydentowi swojemu w Wiedniu, ażeby wyprosił u rządu cesarskiego jakich kilka tysięcy żołnierzy dla poskromienia nieporządków. Wkrótce téż generał Braddy z oddziałem wynoszącym 1,700 ludzi wysłany został do Dubrownika, gdzie rychło porządek przywrócony został. Niedługo jednak istnieć już miała Rzeczpospolita. Nadszedł rok 1806, ostatni jej egzystencyi politycznej. Francuzi zajęli całą Dalmacyą, Rosyianie zaś, którzy opanowali Korfu, wysłali ztamtąd pewną ilość okrętów do zatoki Cattaro i z łatwością zajęli kilka nadbrzeżnych miejsc obronnych;

chcieli także wejść do Dubrownika, ale senat zaprotestował, świadcząc o swęj neutralności, obawiał się bowiem odwetu Francuzów. Ci ostatni jednak, pod pozorem wyparcia Rossyan z Cattaro, weszli do Dubrownika w dniu 27 maja 1806 roku, chociaż Dubrowniczanie zupełnie biernie względem Rossyan zachowywali stanowisko. Wprawdzie generał Lauriston zapewniał w swęj proklamacyi, że to zajęcie było tylko chwilowém, niemniej przeto losy Dubrownika niepomysłnie rozstrzygnąć się miały. Wówczas jeden z patryotów dubrownickich imieniem Carboga, przedłożył senatowi projekt, ażeby wszyscy mieszkańcy opuściwszy swe domy, wsiedli na okręty, których znaczna ilość stała w porcie, i na jednej z wysp greckich nowy Epidaur założyli, łatwo bowiem przewidzieć można było, że Rzeczpospolita ponieść ma cios śmiertelny. Ten śmiały atoli projekt nie tak łatwo mógł być wykonany, rychło też zbliżyli się Rossyanie i oblegli Francuzów zamkniętych w Dubrowniku. Obleżenie było długie i ciężkie, i generał Lauriston rozrządzający nadzwyczaj szczupłemi siłami, byłby uległ przeważającej liczbie nieprzyjaciół, gdyby nie przybycie generała Molitora ze znacznemi posiłkami; mimo to przecież, straty jakie w skutek tego obleżenia miasto poniosło, liczono na kilkanaście milionów, i odtąd nie powróciło już nigdy do dawnęj świetności.

Dwa lata jeszcze istniały dawne formy Rzeczypospolitęj Dubrownickięj, lecz z imienia tylko. Wreszcie dekretem z dnia 31 stycznia 1808 roku, ostatecznie została zniesioną, a następnego roku Dubrownik ze swym okręgiem i całą Dalmacyą wszedł w skład nowego królestwa Illiryi. Cattalanich w swoich pamiętnikach przechował nam senat zgromadzonym był na sali obrad—powiada on—gdy adjutant generała dowodzącego wojskiem okupacyjném, przyniósł i odczytał dekret kasujący Rzeczpospolitą. „Zgromadzenie wasze jest już rozwiązane—rzekł on—możecie wracać do swych domów i swych zajęć równie jak inni mieszczanie.” „Senator Sorgo chciał protestować przeciwko podobnemu gwałtowi, lecz ponownie zrobiono mu uwagę, że Rzeczpospolita już nie istnieje, a on sam przestał być senatorem, ztąd nie miał nawet prawa przemawiać publicznie.” I zaraz wyznaczony generalnym administratorem został Domenico di Gazagnini. Wreszcie w dniu 29 stycznia 1814 roku, Dubrownik wydany został wojskom austryackim i odtąd stanowi jeden z czterech okręgów Dalmacyi.

Taki był koniec Rzeczypospolitęj dubrownickięj, przedstawiającej pod wielu względami jedyny może w dziejach ludzkości przykład. Przeglądnąwszy koleje jęj losów politycznych, podziwiać należy przeczornosc jęj senatu i głębokę zmysł polityczny dawnych rektorów, którzy utrzymać ją umieli przez tyle wieków w niezaleźności, okupionęj wielkimi nieraz ofiarami i ochronić jęj ustawy i prawa. Rzeczpospolita dubrownicka przetrwała wszystkie burze polityczne: napaści Turków obalić jęj nie mogły, przewaga Wenecyi jakkolwiek utrwałała swe

wpływy w Dubrowniku, nie zdołała przecież zatrzeć dawnych wspomnień i tradycji, uwydatniających się w urządzeniach społecznych i formach bytu politycznego. Stokroć silniejsze i potężniejsze państwa upadały, o wiele znaczniejsze republiki jak np. Piza i Genua utrzymać nie mogły swą niezależności; jeden tylko Dubrownik potrafił ochronić swoją egzystencję wówczas nawet, gdy prawo silniejszego jedynem było na świecie. Nikomu nieszkodliwe, bez roszczeń i pretensyi nielegalnych, sobą tylko zajęte, drobne to państewko jedenaście wieków żyło i skrzętnie jak mrówka pracowało, nie czyniąc krzywdy nikomu, a broniło tylko swych ustaw, urzędzeń i wedle sił swoich szczupłego swego terytorjum; broniło je, aby minąwszy wieki ciemnoty i ucisku, stać się pastwą państw potężnych w wieku XIX, w wieku cywilizacyi i postępu!

II.

Mówiliśmy powyżej, iż pierwotne urządzenia Rzeczypospolitej Dubrownickiej są nieznane, z późniejszych dopiero czasów dokładniej zbadanych na podstawie zachowanych świadectw, widzimy iż cały porządek form administracyjnych i społecznych, ukształtowany był na wzorach włoskich. Jak w Wenecyi tak i w Dubrowniku wszystkie ustawy były czysto arystokratyczne, przewaga szlachty bogatěj, potężnej i wysoko wykształconej, ciężąc na innych warstwach społeczeństwa, dzierżyła w swém ręku wszystkie przywileje i prerogatywy, cały ster władzy. Rząd wewnętrzny składał się w Dubrowniku z wielkiej rady, z senatu i z małej rady.

W wielkiej radzie zasiadał każdy szlachcic dubrownicki, który zapisany był w księdze szlacheckiej zwaněj *Specchis della Nobilta*, a liczący przeszło lat dwadzieścia wieku i który nie popełnił żadnego występku; w takim razie usunięty od wszelkich urzędów i przywilei, wygnany był na wysepkę świętego Andrzeja. W ich ręku była moc prawodawcza, ustanawiania podatków, wybór urzędników który się odbywał corocznie w dniu 15 grudnia, oraz przyjmowanie nowych członków do stanu szlacheckiego. Nowo jednak uszlachcony długi czas nosił upakarzającą nazwę parweniusza: *nuovo*, przechodzącą nawet na jego potomstwo; ztąd niewielu chciało zmieniać swój herb mieszczkański na koronę szlachecką.

Senat, złożony był z czterdziestu pięciu senatorów (*Pregati*), którzy przygotowywali projekta praw przedstawiane wielkiej radzie, zawiadywali sprawami zewnętrznymi, mianowali konsulów i posłów, a w sprawach sprawiedliwości stanowił instancją apelacyi. Aby postanowienie senatu było legalnēm, najmniej czterdziestu senatorów musiało być obecnych przy naradach. Z pomiędzy członków wielkiej rady dwunastu było zawsze wybranych, aby w razie gdy który senator umrze, miejsce jego zastąpić. Jeśli z tych dwunastu kandydatów, czte-

rech przeszło już było do senatu, nanowo odbywano wybory. Mała rada składała się z siedmiu członków i miała w swém ręku władzę wykonawczą, prowadzenie korespondencji zagranicznej i przesłuchiwanie posłów, w każdej jednak ważniejszej sprawie odwoływała się do senatu i wielkiej rady.

Senator z tytułem *Priore*, potem *Conte*, wreszcie *Rettore*, a czasem zwany *Principe*, stał na czele zarządu; u niego znajdowała się pieczęć Rzeczypospolitej i klucze miasta, władza jednak rektora nadzwyczaj była ograniczona: polegała bowiem na przodowaniu na sesjach senatu i wielkiej rady, równie jednak z innemi miał jeden głos tylko. W razie jego nieobecności, zastępował go najstarszy z senatorów, bez niego jednak żadne postanowienie uchwaloném być nie mogło. Urząd rektora był roczny aż do 1204 roku, odtąd zaś w skutek bezprawnego przywłaszczenia sobie władzy przez jednego z rektorów, Damiana Juda, o czém powyżej mówiliśmy, termin urzędu tego ograniczono na jeden tylko miesiąc, aby ustrzedz się na przyszłość od podobnych uzurpacji; przez czas jednak trwania protektoratu weneckiego, władza rektorów jeszcze bardziej uszczuploną była i rektor podrzędną tylko miał rolę obok naczelnika Rzeczypospolitej przysyłanego z Wenecyi.

Podczas urzędowania swojego rektor zamieszkiwał pałac rządowy. Ubiór jego na sposób dożów weneckich, składał się z czerwonej togi, trzewiki i pończochy były również czerwone (już u byzantyńskich cesarzy oznaka najwyższej władzy). Na lewój stronie płaszcza była związana przepaska z czarnego aksamitu; obfita peruka spadała na kark i plecy. Wszyscy urzędnicy począwszy od senatora aż do kopisty nosili czarne płaszcze i wielkie peruki. Oznakę urzędników ze szlacheckich rodów, stanowiły trzy małe wyszywki na todze, wszyscy zaś inni (z mieszczan) mieli dwie tylko. Gdy rektor szedł z pałacu rządowego, towarzyszyli mu zawsze członkowie małej rady i tak zwani *Cancel-laria*. Przodem szła muzyka a z tyłu postępowało dwunastu pachotków ze służby pałacowej, także czerwono odzianych.

Z pomiędzy senatorów corocznie wybierano pięciu, zwanych *pro-veditori*, każdy z innéj rodziny i nie mniéj lat pięćdziesiąt wieku. Obowiązkiem ich było pilnowanie praw i ustaw, przestrzeganie nadużyć urzędników i t. d. W pewnych okolicznościach mieli prawo *liberum veto* i mogli nakazać powtórne przepatrzenie wszelkich wyroków i dekretów małej rady. Bez większości siedmiu ósmych głosów w wielkiej radzie, żadne prawo zmienioném być nie mogło, a dla utrwalenia nowego prawa wymagano większości trzech czwartych głosów. Corocznie także obierani byli z grona starszych senatorów skarbnicy, których obowiązkiem było obliczanie skarbu publicznego, zawiadywanie publicznemi i pobożnemi zakładami, oraz wykonawcy testamentowi.

Na czele każdego z jedenastu okręgów Rzeczypospolitej stał urzędnik zwany *Conte*, *Representante* lub *Capitano*, a który zarazem był sędzią w pierwszej instancji w sprawach tak cywilnych jak i kry-

minalnych. Dozór nad handlem wełny, stanowiącym nadzwyczaj ważny dochód dla Dubrowiczian, powierzony był trzem senatorom, a dozór nad policją zdrowia i zakładami leczniczymi (już od 1430 roku) pięciu oddzielnym urzędnikom. Na skarbników wybierano tylko bogatych i zamożnych obywateli miasta, którym oddawano także w depozyt pieniądze wdów i sierot. Dwóch urzędników prowiantowych sprowadzało do miasta wszelkie artykuły żywności, a czterech urzędników celnych pilnowało cła i akcyzy. Wszyscy urzędnicy wyżsi, wybierani po większej części ze szlachty, służyli tylko *honoris causa* nie biorąc zapłaty, tylko naczelnicy okręgów pobierali stałą pensję. Rzeczpospolita na własnym koszcie utrzymywała trzech lekarzy i dwóch chirurgów, którzy musieli być krajowcami i kosztem skarbu kształcili się na uniwersytetach włoskich. Dowodem wysokiej cywilizacji było założenie domu podrzuktów w Dubrowniku jeszcze w 1430 roku, również nadzwyczaj użytecznymi były magazyny zapasowe, utrzymywane przez rząd dla zabezpieczenia miasta od głodu, tak że w latach nieurodzajów powiększała się tylko drożyzna, nigdy zaś nie było takiego głodu jak w sąsiedniej Dalmacyi. Przychody tego małego państewka wynoszące około 40,000 dukatów w XVI wieku, składały się z dziesięciny, cła i patentów okrętowych, głównie jednak z monopolu soli. A iżby powiększyć przychody ze sprzedaży tego produktu, każdy kapitan okrętowy był obowiązany po upływie trzechletniego patentu swego na okręt, w powrocie do ojczyzny, w Sycylii lub gdzieindziej zakupić pewną ilość soli i dostarczyć ją do magazynów publicznych.

Iudność Rzeczpospolitej Dubrownickiej składała się ze szlachty (*Nobili* lub *Patrioti*), mieszczan (*Cittadini*) mających prawo do niższych urzędów, ludu (rękodzielnicy, żeglarze, Grecy i Żydzi) i włościan (*plebs*). Wśród szlachty było dwie kategorie: starsza i nowsza szlachta; pierwsi zwali się *Salamanchesi*, drudzy *Sorbonnesi*. Pochodzenie nazw tych jest nieznanne ale nadzwyczaj dawne. Sorbonnesi otrzymali swoje dyplomy szlacheckie po sławnym trzęsieniu ziemi 1667 roku, w którym wiele rodzin szlacheckich zginęło: wówczas z klasy Cittadinich uszlachcono jedenaście rodów. Mieszczanie na wzór szlachty dzielili się także na dwie koterye: *Antonini* i *Lazzarini*. Pierwsi w większym byli poważaniu i własną mieli konfraternię. Szlachta łączyła się tylko między sobą, niedopuszczając do swych związków małżeńskich żadnego przybysza z klas niższych. Dopiero w 1763 roku, silny spór wybuchł między Salamanchesi i Sorbonnesi, w skutek tego iż pewien młodzieniec należący do stariej rodziny szlacheckiej chciał się żenić z córką także szlacheccą, lecz należącą do niższej klasy, czego dawne prawa nie pozwalały, i rząd senat nie chciał dać zezwolenia na to małżeństwo. Silna jednak nastąpiła protestacya ze strony młodzieży stariej i nowej szlachty i wreszcie senat był przymuszony zezwolić na to małżeństwo, co wpłynęło także na inne prawa tójże samėj natury. Pierwój wyżsi urzędnicy wybierani byli wyłącznie tylko z grona szlachty, w tym zaś roku uchylono to prawo i przedział ten upadł, tém bardziej iż co-

raz mniej zostawało starych rodów szlacheckich. W XVI wieku było ich trzysta, a w 1605 roku liczono już 99 wymarłych. Przyczyną tego było zwyczajne wymieranie bez odnawiania się, głównie zaś silne zarazy które wiele razy grassowały w Dubrowniku. I tak w 1348 roku sroga ta kłeska, trwając przez całych sześć miesięcy wydarła życie 48 patrycyuszom, 300 mieszczanom i 700 plebejom. Powtórnie w 1481 roku zaraza zawitała do Dubrownika i wówczas zmarło 92 patrycyuszów i 42 patrycyuszek. Najsilniejsza jednak była w 1521 roku, wówczas 2000 osób padło ofiarą tej strasznej kłeski. Zrazu zaraza ukazała się tylko w mieście, gdy jednak większa część mieszkańców wyniosła się na sąsiednią wysepkę Gravosę, i tam przebywali na okrętach lub pod namiotami, zaraza i tam się dostała dziesiątkując ludność. Również pamiętnym było w Dubrowniku straszne trzęsienie ziemi w 1667 roku, w skutek którego zginęło 6000 ludzi.

Ze stariej szlachty dubrownickiej, kilkanaście rodzin aż dotąd pozostało i zapisani zostali w księgę dziedzicznej szlachty austriackiej. Niektóre z nich wywodzą się z bardzo odległych czasów. Tak np. protoplastą żyjącej dotąd rodziny *Sorgo* miał być kupiec albański, który podczas trwającego głodu w XIII wieku, zakupił żywności za znaczną sumę i zadarmo rozdał ją między ubóstwo, za co otrzymał od senatu Dubrownickiego dyplom szlachecki z nazwiskiem *Sorgo*. Inna znów rodzina *Giorgi* wyprowadza się od Mateusa Giorgi, który w 1378 roku w bitwie pod Chioggia między Wenecyanami i Genuńczykami dowodził jedną galera, i za odznaczenie się i mężstwo, otrzymał herb, wyobrażający genueński krzyż czerwony.

Z powyżej przedstawionych urządzeń społecznych w Dubrowniku widzimy, iż mimo że to miasto z swym okręgiem stanowiło wolną Rzeczpospolitą, to jednak na wzór Wenecyi nieprzebyta otchłan rozdzielała wszystkie stany, a wszelkie przywileje i prerogatywy były wyłącznie tylko atrybutyą szlachty. Lud zaś był przygnębiony i uciśniony. Na głównym placu miasta, plebejom nie wolno było stąpać po chodnikach, któremi szli patrycyusze. Obelga wyrządzona szlachecicowi uważaną była za zbrodnię stanu. Położenie włościan w najwyższym stopniu było opłakane, uważano ich jak plebejów w starożytniej Romie za *plebs misera*. Chłop był czasowym tylko posiadaczem ziemi na której mieszkał i którą uprawiał. Mała tylko wysepka Lagosta stanowiła wyjątek, gdyż posiadała urzędnia municypalne, równie jak połowa wyspy Meledy, należąc do miejscowego klasztoru. Włościanie za chaty i ogrody odrabiali pańszczyznę, przytém składać musieli dziesięciny w naturze, składające się z kóz, jagniąt, kogutów, jaj i t. d.

Wspomnieć tu jeszcze należy o wydaném w 1416 roku dekreście senatu Dubrownickiego, a który przynosząc zaszczyt Rzeczpospolitej, w rażącym stoi przeciwieństwie z powyższemi prawami tak uciążli-

wemi dla niższych klas ludności. Dekret ten wyraża zakaz handlu niewolnikami pod karą pieniężną i sześciomiesięcznym więzieniem. Gdy jednak prawo to nie musiało być ściśle wypełniane, w roku 1466 odnowione i zaostrome zostało; sprzedający niewolników miał mieć oczy wyklute i jeśli do oznaczonego terminu nie uwolniłby rzezonych niewolników, miał być powieszonym. Dekret ten wymownie świadczy o rozwoju humanitarnych pojęć w Dubrowniku, ze względu zaś na epokę wydania go, wymownym jest świadectwem na jak wosokim stopniu stała tam cywilizacya. Również zaznaczyć należy gorliwe usiłowania Dubrowiczian dla oswabadzania więźniów i niewolników chrześcijańskich z rąk niewiernych. I tak w 1568 r. Hieronim de Primo zapisał na ten cel trzecią część swojego majątku, 1582, Andrzej Tryfonis i Giorgi Zamagna, połowę swojego mienia, w 1599 Franciszek Caboga znaczną także kwotę pieniężną; wiele też innych, tego rodzaju zapisów spotykamy pod tę porę tak, że zawsze znaczny był kapitał przeznaczony na wykupywanie więźniów z rąk tureckich, aż do ostatnich czasów Rzeczypospolitej Dubrownickiej.

Jest to widocznem, iż na cały ustrój społecznych urządzeń w Dubrowniku i administracyjną organizacyę tej małej Rzeczypospolitej, przeważnie wpłynęło sąsiedztwo Wenecyi, wpływ włoski odnajdujemy we wszystkich objawach publicznego życia w Dubrowniku, we wszystkich jego ustawach i prawach, począwszy od zasady i pierwiastku onych, aż do samych form zewnętrznych. Rozpatrzmy bliżej stosunki Dubrownika z Wenecyą i siłę wpływów włoskich na narodowość słowiańską Dalmacyi, a mieć będziemy dokładny i wierny obraz rozwoju umysłowego Rzeczypospolitej Dubrownickiej.

Samo położenie geograficzne Dalmacyi, nie mówiąc już o politycznem stanowisku Dubrownika, które zmuszało do pewnych ustępstw i zależności względem potężnej swęj siasiadki, mniej lub więcej ważnych, stosownie do potrzeb i okoliczności chwilowych, ułatwiało Wenecyanom szerzenie swych wpływów i przewagi wśród słowiańskiej ludności tego kraju. Jeszcze w IX i X stóleciach, Wenecya zajęła była kilka miast w Dalmacyi i odtąd powoli szerzyła tam swe posiadłości, lub też umiejętnie zużytkowując przewagę swęj siły zbrojnej, bogactwa i handlu, zdołała zapewnić sobie przeważne wpływy w wielu miastach w Dalmacyi, w szczególności zaś w Dubrowniku, który ją nęcił więcej od innych nader ważną pozycyą dla handlu południowego. Owa zwierzchnicza opieka Wenecyi nad temi miastami, jakkolwiek niezaprzecalnie nadzwyczaj była korzystną dla nich pod względem handlowym, przemysłowym a głównie pod względem obrony przeciwko groźnym napaściom sąsiedniej Turcyi, szczególniej po upadku osłaniających ich od tych napadów Serbii, Bośni i Hercegowiny, to przecież sprowadzała jako nieuniknione i konieczne następstwo, wyciśnięcie żywołu narodowego, słowiańskiego i zastąpienie go obecnym żywołem w życiu publicznem, administracyi, a przedewszystkiem w hierarchii kościelnej, uzupełniając w ten sposób italianizowanie Dalmacyi i Dubrownika, które i bez tego

już, lecz powolniej tylko dopełniać się miało, w skutek ciągłych z Włochami stosunków politycznych, handlowych i naukowych, w którychto stosunkach przewaga materyalna i umysłowa była zawsze po stronie Włoch.

Naturalnym a wielce pomocniczym sprzymierzeńcem owych wpływów weneckich na Dalmacyą, był dawny żywiół rzymski, przechowany w kilku miastach nadbrzeżnych, Trohirze, Spleciu, Dubrowniku i innych. Najście Słowian i zajęcie przez nich ostatnich siedzib dawniejszej miejscowej ludności, i powierzchowne zestawianie onych, nie mogło przecież zatrzcć zupełnie tego żywiółu, który choć połączony w następstwie czasów i zmieszany z przybyszowym żywiółem słowiańskim, umiał przecież zachować dawne swe tradycje, wspomnienia i pamiątki. Wobec zaś odnośnych i ścięśnionych stosunków z Włochami, w interesach politycznych i handlowych, w obec ciągłego napływu Wenecyan do stariej Raguzy, zmienionej na słowiański Dubrownik, ów dawny żywiół rzymski odrodził się na nowo, a uznając Wenecyę jako metropolię swoją, z pomocą jej zdołał wyrobić sobie oficjalną przewagę. Ztąd w Dalmacyi całej, w szczególności zaś w Dubrowniku, przedstawiającym od najpierwszych czasów wyższy stopień Dalmackiej kultury, spotykamy w średnich wiekach dziwne połączenie żywiółów włoskiego i słowiańskiego, które przetrwało aż dotąd i równie jak się w italianizmach mowy chorwackiej, w zwyczajach i obyczajach ludu dalmackiego.

Wpływy więc weneckie miały już utoronaną drogę w Dalmacyi, a opierając się na przechowanych żywiółach dawniejszej ludności, niewątpliwe w szerszym zakresie odnieść musiały zwycięstwo. Ztąd w odległej już epoce historycznej, widzimy miasta dalmackie, rządzone przez naczelników, wybieranych wśród szlachty weneckiej. Naczelnicy ci zaprzysięgali wprowadzić swobody miejskie i ich niezależność, jak np. w Dubrowniku; mimo to jednak język słowiański stopniowo ustępował miejsca łacinie lub włoskiemu, co zgubniejszem jeszcze było dla narodowości. I tak np. w Trogirze począwszy już od XV wieku, językiem urzędowym był łaciński lub włoski, a w 1472 roku, na mocy dekretu senatu Dubrownickiego, w pismach oficjalnych język słowiański zabroniony został a zastąpiony łacińskim. Wprowadzić w miastach dalmackich, obok naczelników ich, Wenecyan jak się wyżej powiedziało, stał *wiec* miejski, jedyna pozostałość słowiańska w zakresie administracyjnym. Członkowie jego byli krajowcy, szlachta miejska, i jeżeli żywiół włoski nie wszędzie zdołał zupełny tryumf odnieść, jeżeli narodowość słowiańska mimo tak groźnych przeciw niej skierowanych pocisków, utrzymać się zdołała, aby w XVI i XVII stuleciach odrodzić się drogą piśmiennictwa narodowego, zasługa tego leży w przedstawicielach szlachty dalmackiej, składających *wiec* miejski. Syndykowie weneccy Jan Giustiniani i Angielo Diedo świadczą ze zdziwieniem pod

rokiem 1553, iż mieszczenie Spletu zachowywali zwyczaje i obyczaje narodowe, a język ich którego znajdowali tak słodkim i przyjemnym, że go porównywali do narzecza tokańskiego we Włoszech, ogólnie był używanym w tém mieście. We wszystkich jednakże innych miastach, italianizacya większe już zrobiła była postępy.

Charakter całej działalności życia Dalmacyi i Dubrownika, ich urzędzenia wewnętrzne, zwyczaje i obyczaje, cywilizacya i oświata, jednem słowem wszystkie obiawy i podstawy bytu, zależały od wpływów włoskich, a że żywioł słowiański nie był tu jedynym, jak już wyżej mówiliśmy, przeto narodowość jego nie była w stanie zachować bezwzględnej niezależności. Głównie od XIII stolecia, najsilniejsze widzimy parcie obcego żywiołu na ludność słowiańską w Dalmacyi, największe jednak rezultaty onego znajdujemy w Dubrowniku. Ścisłe połączenie Słowian z Włochami, szczególnież rodzin arystokratycznych, biorących udział w zarządzie miasta wraz z naczelnikami wybranymi z grona szlachty weneckiej, lub bogatszych obywateli utrzymujących ciągłe stosunki handlowe z Włochami, ułatwiało szerzenie się żywiołu włoskiego. Nazwiska znakomitszych rodzin dubrownickich, okazują albo pochodzenie włoskie, albo czysto obce formy, jak np. Gondola, Palma, Pascali, Lompridicz, Donatewicz, Marino, Marulo i t. d. Z końcem XV wieku, Wenecya usiłuje coraz to więcej utrwalić przewagę swoją w Dalmacyi. Przyczyną tego była obawa „Uskoków“ zbiegów serbskich, którzy po upadku swego kraju, aby uniknąć jarzma tureckiego, tłumnie ztamtąd uciekali, a osiadłszy w Dalmacyi, gdzie główną ich siedzibą była *Senia* (Segna, Zengh), niepokoiłi całe wybrzeże Adryatyku przez swe wyprawy na Turków. Odznaczający się dziką odwagą i walecznością, ich czyny rycerskie opiewają pieśni serbskie, a krwawe ich zemsty na Turkach, stanowią przedmiot epepei narodowej. Ale przy Turkach i innym sąsiadom dostawało się niekiedy, Wenecya więc pod pozorem zabezpieczenia swego handlu, zajęła znowu kilka okręgów i miast dalmackich.

Mówiąc o wpływach włoskich na Dalmacyę i Dubrownik, niepodobna jest nie wspomnieć jeszcze iż chrześcianizm wprowadzony tutaj z Włoch, nie mało także przyczynić się musiał do ścieśnienia węzłów łączących oba kraje. Już na początku IX wieku (a wedle niektórych pisarzy znacznie pierwej) katolicyzm rozpowszechnionym był w całej Chorwacyi i pomorzu dalmackiem. Otwarte w skutek tego ciągłe stosunki z Rzymem, jak niemniej także napływ duchowieństwa włoskiego, wówczas już wprowadzić musiały język i pismo łacińskie, które później uporną wiodło walkę z kirylicą, jak również obrządek rzymski z liturgią słowiańską, która w X wieku rozpowszechniła się była w całej Dalmacyi, dokąd przywędrowała od Słowian wschodnich. Rychło jednak silny znalazła opór. Już papież Jan X surowo jęj wzbronil, co téż potwierdził synod katolicki zgromadzony w Dalmacyi (925 r.) i dekret króla chorwackiego Tomisława. Mimo jednak tych wyroków, liturgia słowiańska utrzymywała się w głębi kraju i w XI wieku papież Mikołaj II

wysłał mnicha Majnarda z Cassino dla rozpatrzenia na miejscu całej sprawy. Majnard zgromadziwszy synod w Šplecie (1059 roku), ponownie ją zabronił, nakazując zamykać kościoły, w których nabożeństwo nie odprawiało się podług rzymskiego obrzędu. Wyrok ten potwierdzony i obostrzony został dekretem synodu zgromadzonego w Salonie (1064 roku). Odtąd jeszcze razy kilka ponawiano sprawę liturgii słowiańskiej, aż wreszcie ostatecznie zniesioną została, pismo jednak kirylickie przez czas dość długi utrzymywało się. Dubrowczanie używali pisma tego w stosunkach swych z Serbią i Bośnią, aż do ostatecznego ich upadku (1456). Pozostałe z owęj epoki pisma kirylickie nadzwyczaj ważnym są materiałem dla ówczesnych dziejów dubrownickich, nie możemy im jednak przypisywać, jak chcą niektórzy, przeważnego znaczenia w ochronie narodowości słowiańskiej od obcych wpływów. Pismo to bowiem nigdy rozpowszechnionem nie było, używano go tylko w oficjalnych korespondencyach z Serbią i Bośnią, nie miało zatem bynajmniej owęj doniosłości jaką mu niektórzy przypisują.

Większe już pod tym względem znaczenie przyznajemy dwom innym rodzajom pisma, używanym w Dalmacyi, a mianowicie: *glagolicy* i *bukwicy*. Dla uzupełnienia obrazu przedstawiającego rozwój kultury umysłowej w Dubrowniku i Dalmacyi, koniecznem jest bliżej rozpatrzyć oba te alfabet, od kiedy były używane, jak długo się utrzymały, jaki wpływ wyrzucić mogły, i wreszcie w jaki sposób oddziaływały tak na rozwój umysłowy Słowian dalmackich jak też na ochronę ich żywiołów narodowych od obcych wpływów.

Dotychczas mimo usilnych i pracowitych badań i poszukiwań, wysledzonem nie jest dokładnie kiedy i przez kogo wynalezioną została *glagolica*, kiedy i gdzie najprzód w życie wprowadzona? Co się tyczy pierwotnego jęj pochodzenia, najrozmaitsze dotąd stawiano hipotezy, wszystkie jednak przypuszczenia i wnioski kwestyi tęj stanowczo rozstrzygnąć nie mogły. Wedle podania glagolitów (księży dalmackich, używających słowiańskich mszałów przy nabożeństwie odprawianym wedle rzymskiego obrzędu), św. Hieronim miał być pierwszym jakoby wynalazcą tego alfabetu jak świadczy również bulla papieża Innocentego IV (1248 r.), urzędownie zezwalająca na używanie glagolicy w kościołach obrządku rzymskiego. Podanie to jednak ostać się nie mogło w obec późniejszej krytyki, i nieraz wiarogodność jego zaprzeczana była. Grubissiek, Dobner, Szymek, Anton Linhard, Durich, Frisch, ze nie wspomniemy o wielu innych, rozpatrując alfabet glagolicki i wyszukując jego pochodzenie, zgodzić się na jedno nie mogli i rozmaite podawali orzeczenia. Jedni przyjmowali stare podania księży dalmackich, drudzy wynajdywali początek glagolicy u Frygów i Traków, w runach Getów i Gotów; inni jeszcze w pierwotnych alfabetach greckim i łacińskim. Dubrowski wreszcie i Szafarzyk dowodzą, iż glagolica w XIII wieku wynaleziona była w Dalmacyi, i szybko się rozpowszechniła najprzód wśród Słowian dalmackich i na sąsiednich wyspach a następnie w całej Istrii, pomorzu Chorwackiem

i właściwej Chorwacyi. Nowsi pisarze przyjmują to mniemanie, uznając Dalmacyę jako kolebkę głagolicy mniej więcej w XIII wieku, wytworzenie zaś jej przypisują chęci przeciwstawienia alfabetu słowiańskiego uznanego przez obrządek rzymski kirylicy, przedstawiającej liturgię wschodnią.

Co się zaś tyczy zakresu głagolicy w piśmiennictwie Słowian dalmackich, jakiegokolwiek było pochodzenie tego alfabetu, w epoce od XV do XVIII wieku, dość był obszernym i pismo to znacznie było rozgałęzione. Głównie używano go w kościele, ztąd w księgach liturgicznych, pismach nabożnych i t. d. jak również w pismach urzędowych, ztąd w księgach prawodawczych, dyplomatach i ustawach. Najdawniejszym pomnikiem głagolicy znanym dotychczas jest psalterz z 1220 roku, przepisany pismem głagolickim z przekładu kirylickiego. Zresztą nic więcej niema z równie odległej epoki. W 1483 roku wydany został (bez miejsca druku, zapewne w Wenecyi) pierwszy mszał głagolicki, i odtąd coraz więcej wydawano dzieł liturgicznych, alfabetem głagolickim, który rozszerzył się był poza granicę nawet krajów chorwackich. W klasztorze słowiańskim, założonym przez Karola IV w Pradze Czeskiej, Benedyktyni chorwacy utrzymywali głagolicę aż do 1436 roku, w którym zastąpioną została przez nabożeństwo Utrakwistów. W XVI wieku, w celu rozpowszechnienia reformy wśród Słowian południowych, Antoni z Dalmacyi i Stefan z Istrii wydali w Tübingen i innych miejscach kilka dzieł teologicznych głagolickich (1526 do 1564), usiłowania ich jednak bez skutku zostały. W XVII wieku wydano oddzielne prawa dla duchowieństwa głagolickiego i ustanowiono wyłączne dla nich seminaria. Drukarni głagolickich było podostatkiem w Dalmacyi a nawet we Włoszech, głównie w Wenecyi i w Rzymie, gdzie Propaganda otrzymała w darze od Ferdynanda II czcionki głagolickie. Od połowy XVIII wieku głagolica poczęła chylić się do upadku, tak że w 1819 roku mszał słowiański drukowany był w Fiume łacińskim alfabetem. Obecnie z seminariów głagolickich, została jedna tylko katedra głagolicy w Zara, a zajmujący ją od 1855 roku Jan Berczicz ułożył gramatykę głagolicką ¹⁾.

Pisma urzędowe, w których używano głagolicy, pochodzą z XIV do XVII stulecia. Z tych, najważniejszym pomnikiem nie tylko pisma lecz i prawodawstwa dalmackiego z owej epoki jest Statut Winodolski z 1280 roku (rękopism z XVI wieku) nader ważny, szczególnie pod względem urzędzeń dawnych gmin dalmackich; dalej statut wyspy Kerk z 1388 roku i kilka innych. Głagolicą także pisany jest latopis popa Duklanckiego, znany jednak tylko z przekładu łacińskiego Marka Maruliega, poety dubrownickiego z XVI wieku (*Regum Dalmatiae et Croatiae gesta*), pełen jednak anachronizmów. Inne kroniki

¹⁾ *Chrestomathia linguae vetero slovenicae caractere glagolitico.* W Pradze 1859.

głagolickie, przedrukowane w Archiwie Kukulewicza, pochodzą z XVI wieku.

Oprócz głagolicy, jak już mówiliśmy, używany był w Dalmacyi inny jeszcze alfabet zwany *bukwicą*, a znany tylko w Bośni i krajach dalmacko-chorwackich. Była to kirylica, zmieniona tylko w niektórych formach i więcej od tamtej była rozprzestrzeniona, obejmując szerszy od głagolicy zakres w piśmiennictwie dalmackiem. Z pozostałych bowiem pomników bukwy, znajdujemy nie tylko pisma urzędowe (Statut policki, rękopism z XVI wieku) ale także pisma moralne (Nauki przemądrego Akira), oraz utwory poetyczne (Legenda o św. Katarzynie Macieja Diwkowicza z Bośni † 1631), ztąd więc ważniejsze miejsce zajmuje.

Z tego co się dotąd powiedziało o tych trzech rodzajach pisma słowiańskiego (kirylica, głagolica i bukwa), używanych kolejno w Dalmacyi i Chorwacyi, widzimy iż pierwsze z nich, to jest kirylica, przeważnego wpływu na utrzymanie narodowości słowiańskiej wyrzec nie mogło, bo prędko wykluczone z kościoła, zachowało tylko charakter oficjalny; nigdy zaś dość rozpowszechnionem nie było, aby stanowczo oddziaływać przeciwko wpływom obcym. Co się zaś tyczy głagolicy, takowa przechowywała dłużej tradycje słowiańskie, lecz równie jak pierwsza zasklepiona była w księgach liturgicznych i pismach oficjalnych; bukwa dopiero szerszy obejmuje zakres, zawsze jednak, jak widzimy z powyższych przytoczeń, nader słabo jest przedstawiona w świeckiem a przystępnem dla ogółu piśmiennictwie dalmackiem. Co najwięcej pisma te słowiańskie wpływać tylko mogły na zachowanie stosunków z jedнопlemiennymi sąsiadami Bośni i Serbii, w obec jednak coraz bardziej szerzących się wpływów włoskich, ustępować przed niemi były zmuszone, a z postępem czasu, w wielu miejscach z kościoła nawet zostały wyrugowane. W Splecie np. Wenecyanie skasowali kardynalne prawo miasta, na mocy którego obywatele miejscy mieli przywilej wybierania swoich biskupów, i na mocy układu zawartego ze stolicą rzymską, począwszy jeszcze od 1426 roku, na zwierzchników kościelnych w Splecie przysyłałi członków rodzin weneckich, mimo ciągle powtarzanych ze strony miasta protestacyi. Jak zaś nieprzyjaznemi byli miejscowej narodowości ci księża włoscy, świadczą rozporządzenia biskupów Bernarda Zorna i Andrzeja Kornela z lat 1511 i 1535, w których surowo wzbraniłi duchownym przekładania Pisma Św. na język słowiański, oraz czytania mszy św. w tym języku. Nowa cywilizacya, wnikająca do Dubrownika i całej Dalmacyi, odrzucająca w ten sposób tradycje staro-słowiańskie, opartą była na całkiem innych żywiołach, na wręcz przeciwnych podstawach. To też pismo słowiańskie ustępuje zupełnie miejsca pismu łacińskiemu w XV już wieku, t. j. w epoce nagłego rozwoju piśmiennictwa dubrownickie-

go, a jeśli wówczas i długo później nawet utrzymywały się w liturgii kościelnej mimo walki im wytoczonej, nie uczestniczyły jednak w postępie oświaty i kultury umysłowej.

(Dokończenie nastąpi).

OBRAZY ZE WSPÓŁCZESNÉJ LITERATURY

ANGIELSKIEJ.

PRZEZ

F. Jezierskiego.

Cóż może być wznioślejszego nad widok społeczności, dającej prawo obywatelstwa wszystkim barwom w umiejętności i sztuce? takiej społeczności, gdzie każdemu czynnikowi ducha pozostawiona jest droga ukształtowania się podług jego natury. Wszystko co się tam dzieje na polu piśmiennictwa, dzieje się w imię dogmatu: *homo sum et nihil humani*. Można walczyć z faktami, ale uszanować należy nieetykalność zasady teorii. Tylko dla maluczkich wielkości starożytnych, barbarzyństwem było wszystko to, co leżało po za Rzymem lub Helladą, tylko maluczkiemu wielkościom pióra, właściwem jest robić wielkie oczy na wszelki utwór, obrażający instynkta ich szkoły.

W żadnym prawie z piśmiennictw obecnej chwili dotknięta wyżej zasada neutralności, nie jest uszanowaną do tego stopnia, jak w piśmiennictwie angielskiem. Znajdziesz tam wypełnionemi i sformułowanemi jak najwydatniej wszystkie stopnie i podziałyki téj skali, która w pojedynczym człowieku zowie się *umysłowością*, zasadą myślenia; a pojmowana w zakresie ogólnym społecznym, *literaturą*.

Kładąc na czele charakterystyki piśmiennictwa angielskiego ten rys a nie inny, mamy tu na myśli nie liczebne jego bogactwo, ale raczej ową powagę, ową obiektywność, cechującą prawdziwego myślicielela, który rozwija, dowodzi lub opiewa myśl z siebie samego i z natury przedmiotu, z wiarą, iż sądzić go będą nie z barwy, nie z herbu szkoły, ale z tego, jak się postawił względem prawdy i zadania swojego.

Dzięki tolerancji teoretycznej, piśmiennictwo angielskie, szczególnie od początków bieżącego stulecia stało się i zostało dotąd *samodzielnem*. W pewnych jego dzielnicach widzimy wprawdzie ślady

wpływów obcych, ale one nigdy nie dotknęły tej rdzennej warstwy, którą nazywamy duchem piśmiennictwa. A i czém są te chwilowe przejścia naśladownictwa w obec olbrzymiego ciężenia, jakie wywierał w naszych już czasach gieniusz angielski na poezyą a nieco dawniej na filozofią.

Wpływ francuzki dość wyraźny spostrzegamy w powieści. Zabytki po tak zwaną *literaturze szalonej* nie przeszły w Anglii bez śladu. Autorka powieści, znana p. i. *Ouida*, używająca dziś rozgłosu, może najwydatniej ten wpływ uosabia. Ale któż nie przyzna, że Ouida pożyczona pierwiastki przetrawiła w sobie na krew i soki.

Browning, poeta powieściowy (bo tak nazwać go możemy sprawiedliwie), zaczerpuje i typy francuzkie, ale rzeźbi je po swojemu.

W dramacie i historii Anglik jest samym sobą bezwarunkowo, wszystko prawie jest tam własne, zaczynając od przedmiotu. W krajnie wiedzy ścisłej jest w całym znaczeniu oryginalnym. I na tém polu szczególniej przedstawia on wspaniały wzór spokojnego widza i niezachwianie sprawiedliwego krytyka, który i w obozie przeciwnika oddaje cześć pobudkom prawdy. Oby ten przykład zbudował nie jednego ze współczesnych sędziów piśmiennictwa, oby złagodził gorączkę *dziwienia się wszystkiemu*, co nie odpowiada tradycjom i krojowi pewnych uznanych zasad. Polem prawdziwej oryginalności w obecnej chwili jest *pieśń* i powieść poetyczna w Anglii. W tych dwóch rodzajach sztuki poeta przedewszystkiém ma otwartą drogę do wypowiedzenia siebie lub podstawienia swojego światła pod zdarzenia opisywane. Te więc dwa rodzaje mogą być wziętemi za podstawę grupowania w dziale poezyi.

Podróże i etnografie stanowią dział nader ważny i pouczający. Powieść charakterowa tak szeroko rozwinięta dziś w Anglii, a tak rozpowszechniona u nas przez wyborne przekłady utworów G. Eliot, Dickensa i innych; wyparła prawie stanowczo powieść historyczną.

Oto są główne rodzaje współczesnego piśmiennictwa angielskiego, którego przegląd podać zamierzamy.

Rozpoczynamy go od poezyi.

Trzy są główne prądy, w jakich się obecnie posuwa sztuka, zmierzając ku spodziewanemu przesileniu. Spodziewanemu ale i upragnionemu, gdyż bez tej niebiańskiej cząstki społeczeństwo ostać się nie może.

Trzy nadmienione prądy zestawiane w całość wyczerpują, jak się zdaje, cały ruch obecny, nie zostawiając nic poza sobą. Pierwszy nazwiemy *biblijnym*, drugi *realistycznym*, trzeci nazwano *szkołą: pre-rafaelitów*. Nazwę ostatniej w ciągu wyjaśnimy obszerniej. Co do kierunku biblijnego, nie naszym jest zadaniem wykazywać, czyli on ma i jaką mieć może zasadę bytu. Odwieczność i wszechświatowy rozptył źródła, z którego ta szkoła czerpie natchnienia, ma i swoje

ujemności, to rzecz niewątpliwa. Ale z drugiej strony cudowną ważność i zaletę tego źródła stanowi to, co o niem powiedziała *Beccher Stowe*: że w niem „wszyscy i wszystko znaleźć mogą, czego szukali.“ Poeci i powieściopisarze angielscy w ogóle robią ten zaszczyt czytelnikowi, że go uważają, co najmniej za średniego teologa, tyle tam spotykamy obrazów, przypowieści, tyle napomknień biblijnych.

Kierunek realistyczny wytworzył się przez zetknięcie z literaturą francuską; głównych jego znamion dotkniemy niżej w szczegółowym przeglądzie. W ogólności jest on reprezentowany najściślej ze wszystkich, a szczyba jaką przez to stronnictwo poniósł idealizm zarówno została sownie przez szkołę prerafaelitów.

Three books of song (trzy księgi pieśni H. Longfellow).

„Tylko wielkim pisarzom wolno jest pisać złe powieści” mówił kiedyś redaktor *Czasu* (*Zeit*) do autora, którego powieści przyjąć nie chciał. Longfellow raz tylko skorzystał z przywileju wielkich pisarzy w 200 wierszowym piśmie, o którym powiedziano w swoim czasie, że zyskałby najważniejszą zaletę przez odcięcie zera końcowego. *Trzy księgi pieśni* doznały chlubego przyjęcia w Anglii i za oceanem. Lata prawdopodobnie wyryły zmarszczki na tém głęboko sympatycznym obliczu, ale jeśli prawda że „styl to człowiek” powinniśmy wierzyć, że dawno nam znana fizyognomia duszy nie zmieniona została, burzom czasu na wstręcie. Longfellow, po odrzuceniu pewnej dozy anglo-amerykańskiego gawędziarstwa jest poetą, jakoby słowiańskim. Jako człowiek nowego ładu, instynktem rodowym przeczująca on tu krewnego w każdym plemienu dziewiczym. Opowiada serdecznie, w opisach natury jest nietylko rysownikiem i rzeźbiarzem: Longfellow *ożywia* otoczenia poematu. Kiedy maluje scenę działania, czyto smutną, czy uroczystą, to cały świat téj sceny: ludzie, zdarzenia, fale wody i gęstwiny borów, na równi z biciem serca działających osób, wszystko to ułożyć się musi do wspólnej temperatury. Nie gra on w tajemniczość Aleksandra Smitha, ale ma jego transcendentalne zacięcia, które to pod widomem każą się domyślać niewidomego. Śpiewa pieśń *braci Morawskich*, tłumaczy *Chodźkę*, opiewa bohaterów naszych.

Trzy księgi pieśni są zbiorem przesłicznych, prawdziwych *pieśni*. Znajdujemy tu także *Machabeuszów*, nader udatny dramat, choć może zamało dramatyczny. W ogóle Longfellow mniej zwyczajko wychodzi w dziełach scenicznych, jest to dusza nawskróś liryczna.

Z pośród jego pieśni najwięcej zajęła nas *Legenda the beautiful* (*Legenda Nadobna*), *Baron St. Castine* i *Ballada o Karmilanie* w kolorycie czysto-romantycznym.

W *Legendzie Nadobnej* autor opisuje wizję pobożnego zakonnika, która, w odpowiednim przekładzie mogłaby wzbudzić w naszym czytelniku uczucie prawdziwego namaszczenia. Nie bez wdzięku jest pieśń *St. Castynie*, gdzie i przedmiot rzewny i forma przedziwna. Syn barona Kastyna z *St. Kastynu* pożegnał zamek ojczysty w Pireneach

i puścił się na morza zachodnie. Kiedy odjeżdżał, drzewa zieleniły się, ptaszki budowały gniazda.

Teraz dmą wichry zimowe ponad wieżami zamku; nie widać już zieloności, ptaszka nie słychać; w parowach leżą martwe liście, śnieg biały pokrywa czoła Pireneów.

Siwy ojciec, stroskany staruszek, przesiaduje u ogniska, tęskniąc po wędrowcu. Pocięsza go pleban i skraca długie godziny sieroctwa powieściami o Frondzie i kardynale. Nadaremnie. Nie ma wieści od morza. Tęsknota coraz boleśniej gnębi staruszka. ...Przyszły nakoniec wieści od morza. Młody St. Castine koczuje gdzieś po *Nowym Łądzie* w pięknej krainie *Akadyi*.

Czeka staruszek i tęskni i ucha nadstawia, czy nie usłyszy turkotu kół od gościńca, krzątania się służby u wjazdu, głosu w dziedzińcach pałacu albo stąpania na wschodach.

A pleban, nie odstępując starca, czyta niby modlitwę akolita nad pochylonym, czyta długie listy z Akadyi. W listach szumią wichry, toczą się fale oceanu, syn opiewa cuda o wędrowce dalekiej, swobodnej, bezkresnej; o bojach ze zwierzem w puszczech dziewiczych; o noclegach w namiocie Tarratynów; o wodzu Indyan—Madokawando; o córkach jego, przeświecnych jak królowe, a pięknych nad wszelki wyraz; o jedwabistym dźwięku ich mowy rodzinnej, gdzie słów nie mówi, ale je śpiewają. Starzec srodzej jeszcze posmutniał. Aż oto po wielu dniach idą wieści od morza: „Młody Kastyn poślubił ciemną Taratynkę, poślubił dziecic Madokawanda.“

Starzec uronił z rąk wyroczną kartę:
 Nie rozdarł—choć serce tam rozdarł!
 Ani przekleństwem nie wykrzywił twarzy;
 Nie jęczy, modłów skarżących nie gwarzy.
 Tylko ta postać wielmożna i dumna,
 Ta postać, jako piaskowa kolumna
 Chyli się wichrem rozpaczy wstrząśniona....
 Ach! ty żałości! staruszek już kona.

A wiecież, jakie miał na ustach słowa
 W przysionku śmierci? ostatnie? on syna,
 On zbłąkanego błogosławił syna;
 Zwolna, poważnie osuwa się głowa
 Na pierś staruszka—wybiła godzina:
 Już nie wygląda zbłąkanego syna.

W okół zatrzasły się bramy i wrota,
 Pustkowiec stoi zamczysko sierota.

Po kilku latach znów idą wieści od morza. Syn powraca do zamku, gdy wraca do zamku, to znów jak pierwiej zielenią się drzewa, ptaszki budują gniazda; ale innym już liściem zielenią się drzewa i inne

ptaszeta inne budują gniazda. Śliczna Madokawandka wchodzi w podwoje pałacu pirenejskiego. Pleban, z trwogą oczekujący dzikiej łani akadyjskiej, widzi przed sobą cichą, szlachetną postać, której niepodobna nie pokochać. Gdyby wierzyć słowom naszego wieszczka, nie ma i nie było piękniejszej duszy na świecie, a w wykończeniu wdzięków tej złotobronzowej piękności, natura przewyższyła samą siebie.

Pleban pokochał sercem ojcowskim to zamorskie ptaszę, ale z jakąż zgrozą dowiaduje się on od Kastyna, że wziął ją za małżonkę podług obrzędów indyjskich: kupił ją za sztukę broni i nóż, odstąpił ojcu. Pojednanie religijne z plebanem i błogosławieństwo ołtarza zamyka tę prostą ale serdeczną gawędkę, wśród śpiewu ptasząt budujących gniazda i zieloności pirenejskiej.

Przechodzimy do ważniejszego utworu Longfellowa, w rodzaju dramatycznym.

Przez trudną do wytłumaczenia analogią, prawie każdy z wyższych talentów musiał choć raz w życiu, jak to mówią, szukać szczęścia na polu scenicznem. Napomknęliśmy, że w tym zawodzie nie powiodło się Longfellowowi. Krytycy angielscy słusznie powiadają o nim: iż oszczędzając swoich bohaterów, aby ich nie nużyć, sam za nich działa i mówi.

Przedewszystkiem na ten zjadliwy acz skromny docinek zasługuje jego *Juda Machabeusz*, nie wielki dramat, w którym znajdujemy wszystko, oprócz dramatyczności; ale niepodobna wyrzec aby to *wszystko*, nie było czemś bardzo znaczącem. Antyoch jest znakomitą postacią tak w tryumfie jak i w upadku swoim. *Matka siedmiu synów*, szczególnież w akcie drugim całkowicie dorównywa swojemu majestatycznemu ideałowi Starego Testamentu. Jéj monolog rozpoczynający scenę jest przedziwny. W przemówieniu do nieobecnych synów wypowiada ona, rzecz można, przerażająco-religijne, więcej niż staro hebrajskie zaparcie samej siebie na rzecz bóstwa. Juda Machabeusz ma również piękne swoje chwile.

Ale prawdziwie poetycznym utworem jest *Tragedya boska*. Nie zatrzymujemy się ani na chwilę przed tym wyzywającym napisem, albowiem napis mówi wszystko i nic nie mówi. Od kilku już wieków osłuchaliśmy się z tą ziemsko-niebieską intytlacją. Ani *Sto pieśni*, ani *Messyas* nie usprawiedliwiły zuchwałości imienia poematu. A jednak, kto zbadał pierwsze i wytrwał do końca bez zniekania myśli, przy odcytaniu drugiego, musi przyznać, że spotkał tam cuda. Messyada pomimo swojej metafizyczności pozostanie na zawsze księgą rozumu poetycznego. *Komedyja boska* pomimo zbytniej podzielności scen, powszystkie wieki nie zejdzie z piedestału. Longfellow sam od stworzył Danta mistrzowsko i prawdopodobnie w nazwaniu obecnego utworu chciał oddać cześć jego imieniu.

Tragedya boska Longfellowa rozpoczyna się *introitem* (anioł unoszący proroka na skrzydłach), a następnie „głosem wołającego na pu-

szczy“ a kończy na trzech krzyżach i jeziorze galilejskiem. W ciągu całej „tragedyi boskiej“ poeta zachował wszystkie te olbrzymie drogowskazy, jakie postawił dzieje na drodze Wielkiego żywota. Jestto jednak nie tyle tragedia w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, jak raczej epopea, która przy ciągłym i coraz gorętszym wątku wzbija się chwilami do lotu i przechodzi w dramat.

Wybraliśmy jedną z charakterystycznych kart i przedstawiamy w przekładzie.

Zamek w Magdalu (z Tragedyi boskiej Longfellow'a).

Posępna, zwiędła, w żywota upale,
Siedzę w tym zamku i patrzę w oddale;
Fala jeziora u stóp się roztrąca,
Nad głową góra od żaru mdlejąca.
A tu, jak senne widziadło w noc ciemną,
Cienie przeszłości snują się przedemną;
Pędzą w gościnę wszech krajów i rodu:
Kupcy od Tyru, książęta od Wschodu.
Pędzą i nikną — witali, znikali,
Tylko w pałacu, jak po zejściu fali
Osiadła perła, rubin, stopy złota;
I wonność — hołdu haracz i brzydota.

Obmierzli! kiedyż samo to wspomnienie
Kliwością bruka pamięć w Magdalenic;
Jak myśl o uczcie temu, co zatruty
Przesytem sytęj figi z Almanuty.

A nużby jeszcze, wśród doli macoszéj
Mąk i rozkoszy, albo mąk w rozkoszy
Przyszło za pomstę raz jeszcze być z niemi?
Starzéc się w zgrozach i sromocie ziemi?
Słyszéc z bezwstydných ust szyderskie słowo:
„Tys nas strąciła w odmęt, białogłowo,
Bądźże nam jeszcze, jak byłaś przed laty...”

A cóż te stroje? te bezcenne szaty?
Mój haft jedwabny? śmiertelna koszula,
Szmat woskowany co mumią otula?
A te — rubinem nakute pierścienie?
Perły, szmaragdy, te krwawe kamienie,
Co gorejących węgli ogniem płoną?
A wrzкомо żywy ten wąż brylantowy
Na zgięciu dłoni?... precz, precz ty gadzino;
Precz wy, girlandy ze skronia i głowy,
Bo wonność wasza, jak zmora, z zasadzki
Straszy wspomnieniem stypy świętokradzkiej.

Wczoraj—o! dla mnie zdaje się to „wczora”
 Jak piosnka, którą przenucił z wieczora
 Wędrowny gęślarz w odległej ulicy;
 Wczoraj: poglądam z zamkowej wieżycy
 Na gaj oliwny i urokiem zdjęta,
 Widzę jezioro i białe okręta.
 Gdy się samotna wydziwić nie mogę
 Zkąd płyną, w jaką puszczają się droge;
 Wtém łódź rybacka wchodzi do przystani.
 Wśród oleandrów, porychodnie nieznani
 Wychodzą z łodzi; już dotknęli ziemi
 Pod murem zamku. Niby wódz współbraci,
 Szedł mąż na czele; pamiętam to lice,
 Jarzące szaty, królewskość postaci.
 Podniósł oblicza, dojrzał samotnicę.
 I—jak me oko, jak tchnienie dosięga,
 W sferach tętniła tajemna potęga;
 Drzę--nie—to było konanie kobiety,
 Letarg—ożyłam—już zniknął niestety!
 „Śniesz, wołam, maro! tylko się zastanów,”
 Alić w téj chwili owe siedm szatanów
 Z gniazda swojego (to gniazdo, co ciała
 Świat zwał pięknością) lotem uleciało.

Dziś, ledwie dzionek, budząc się ku ranu,
 Snuł aureolą po skroniach Libanu;
 Świat drzémał jeszcze, spozrzałam: w przestworze
 Stał anioł, może duch błogostawiony.
 Wiatr wzdymał jego szatą po jeziorze,
 Lic nie dojrzałam; tylko z pod opony
 Gest i postawę. Al... serce mi rzekło:
 To On, wskrzesiciel. Słuchałam, do słuchu
 Jakoby słówko kroplami przeciekło
 Przez gąszcz świtania: „Nie lękaj się ducha,
 Oto ja jestem.” Znów głosu skinienie;
 (Ależ to nie był głos... ciche szeptanie,
 Szmer nieujęty) „Jeśli Ty, o Panie,
 To rozkaż, abym przez tych wód bezdenie
 Przeszedł do Ciebie.“ „Przejdź” Pan odpowiada.
 Potém słyszałam jęk głuchy, bezmierny
 Jęk tonącego: „O! biada mi, biada;
 Ratuj mię Panie!” a Pan odpowiada:
 Takżeś to zwątpił, ty duchu niewierny.”

Znikli, wiatr zadał od końca do końca,
 Z gór, w majestacie toczył się krąg słońca;

Mgły szaroskrzydłe, lekkie popod skały,
 Pod rozpadliny górne zapadały.
 O! pójdę za Nim, pójdę w świat daleki,
 Zejść się z Nim muszę, zostać z Nim na wieki.

Z ziarn alabastru dzbanuszku mój dziany,
 W którego białe przenantbielsze ściany,
 My duszę kwiatów: wonność zamykamy,
 Nardy Arabii i drogie balsamy;
 Działwę eteru, w którą przez niebiosą
 Sączy karm' wieczną słońeczko i rosa!
 Jeśliś ty godzien, by w twoje osłony
 Zanurzył stopę z Bogiem Współrodzony;
 Jeśli... zaprawdę ta stopa książęca
 Jednym stąpieniem progi nam uświęca:
 Pójdź na pielgrzynkę, towarzyszu niemy;
 Ty i ja społem szukać Go będziemy,
 Póki nie znajdziem; a gdy Go znajdziemy,
 Myć będziem stopy Jego, duszą życia:
 Aż marne ciało, gdy z ciała wypłynie
 Ostatni szczątek, ostatnie krwi bicia.
 W gruz się rozsypią, jak krucho naczynie.

Drugim przedstawicielem kierunku biblijnego jest Austin, który poprzednio wstawił się satyrami. O jego poemacie *Dziecię Madonny*, później wspomniemy.

Leonce Miranda przez Roberta Browning.

Jeden z poematów tego stronnictwa, które zrywając z ideałem piękna platońskiego, znajduje poezją na poziomie samego życia. Realistyczny Browning ma znakomity zastęp wielbicieli. W oczach téj licznej klienteli podnosi go owa dziwnie dwoista natura, dająca z jednej strony zimną krew albiońską i obiektywne ujęcie opowiadanej sceny, a z drugiej strony apoteozę namiętności. Browning w duchu *takiéj* szkoły stawia zadanie życia poważnie, palące jego wypadki opowiada z posągowym spokojem tragików greckich; z ich nieubłaganą konsekwencyą wysnuwa najboleśniejże nici intrygi, jak to zbyt dotykalnie zobaczymy na głównym jego bohaterze w niniejszym poemacie.

A gdzież, zawołacie, gdzież tu jest poeta? gdzież tu przedstawiciel serca ludzkiego, uosobienie miłosierdzia, wśród spisanego na ziemi protokołu zdarzeń? Chwila cierpliwości: wypadki się spełniły, kłębek intrygi przepłynął z gorącością lawy, otóż występuje ów chorczłowiek tragedyi: ale nie ze słowem litości nad ofiarą, to nie jego rzecz. Oto jest charakter szkoły, z której wychodzi Browning.

Poemat Browninga obok potwornych wad posiada wielkie zalety. Wątek jego powieści zdaje się być wysnutym z głośniej w swoim czasie sprawy Anny de Beaup... Oto główne punkta.

Z listu pisanego do brata dowiadujemy się, iż bogaty młodzieniec (w poemacie: Leonce Miranda) pokochał do szaleństwa pewną *woman of pleasure*. Była to kobieta znakomitej piękności, dwudziesto-dwuletnia, która, rozszedłszy się prawnie z mężem, poświęciła swoje uczucia zapaleńcowi. Ten, odziedziczywszy po zmarłym ojcu majątek, z ukochaną mistress osiadł w ustronnym, malowniczo położonym zamku. Po trzynastu miodowych latach, bo żadna burza niezakłóciła ciszy, nagle umiera matka Leonca, dla której nasz bohater żywił w sercu miłość religijną synowską. Było to uderzenie piorunu na jego widnokręgu, po złamanym duchu Leonca chwilami przesuwająca się myśl samobójstwa—marnego, acz najwyższego odwetu, jaki ofiarować może człowiek za gwałt dopełniony na posłannictwie swoim. Nie w postaci duchów—mścicieli starożytności, lecz w postaci umarłej matki stanęło przed nim widmo sumienia. Leonce stał się prawie obłąkanym. Po napisaniu ostatniej woli, w której jedną część majątku przeznaczył dla mistres, a drugą dla krewnych, wezwał do siebie kapłana. Po pogrzebie matki, zwraca się on do mistres, oznajmiając, jakby na łożu śmiertelném, że ich związek od téj chwili ustaje na zawsze; porywa kryształową puszkę, w której mieściły się w stosach listów dzieje ich miłości, nasz bohater spełnia straszliwe autodafe godne ekscentrycznych dramatów hiszpańskich XVI wieku, ale zadające gwałt dzisiejszym poczuciom piękna. Oto kryształową puszkę zanurza w palącym się ogniu, niecofając się aż do chwili, kiedy wraz z listami i obie jego dłonie spaliły się po zgięciu. „Płoń, płoń i oczyść mię!” krzychał młody Porsena, a krzyk dziwnego zapaleńca powtórzy i słuchacz z tą samą, *praktyczną* zgrozą, jak niegdyś widzowie, patrząc, gdy matki (wobleżonej Numancyi) z głodu zabijały dzieci na scenie. Podczas długiej choroby, w której był jego ważył się pomiędzy życiem a śmiercią, w gronie rodziny otaczającej chorego, była i mistres.

Wiszący po nad domem dzień sądny zneutralizował fałszywą nutę, jaką sprawiała by obecność jej w chwilach zwyczajnych. Ta kobieta była szlachetną na *swój sposób*. W przewidywaniu zgonu kochanka oświadczyła ona, że nie chce słyszeć o układach majątkowych, że przez całe życie sięgała po jego miłość, lecz nie po złoto.

Po kilku tygodniach wrócił do zdrowia. Niestety, nietylko on stracił obie ręce: duch jego uległ straszniejszemu jeszcze kalectwu. Był to złowieszcza mieszanina chorobliwej wesołości, z melancholią religijną. Leonce był synem kastylianki i francuza. Dziś tedy, owe dwie natury toczyły z sobą bój śmiertelny, obierając złamane serce za pole walki. Był to bój wiary ze zwątpieniem; szalony, męczeński bój, który w końcu i samo serce stratował. Leonce rzucił się z wieży zamkowej, krzycząc, że spada w objęcia aniołów—skonał na miejscu.

Oto jest pierwszy węzeł sprawy sądowej a zarazem kontur poematu. Rozpatrzywszy się w nim, poznamy natychmiast barwę owéj frakcyi poetyckiej, o której nadmieniliśmy z początku. Jestto romans,

przykrojony poetycznie. Piękność idealistyczną zastępuje tu poprowadzona z talentem historia serca, które zabłąkało się pomiędzy światem ludzkim a bożym i zwicnęło, nie mogąc się ostać na żadnym z nich. Ujrawszy mistress poraz pierwszy w „Variétés” Leonce puszcza się w powozie za jej karetą, rzuca się do stóp piękności, chwytając w locie tę gwiazdę spadającą i jedna chwila oddaje mu tę gwiazdę w posiadanie na zawsze. Szczególna stanowczość na samym ustępie poematu, przeciw której zdrowy rozum estetyczny gotów wołać o pomstę. Ale stoik-poeta odbiera głos wszelkiemu protestowi, oświadczając za siebie i czytelnika, że: „taką potęgę ma prawda w spojrzeniu i słowie.”

„Potęga prawdy” a któżby wraz z autorem nie uderzył czołem przed tą potęgą: ależ tu ani logicznej, ani poetycznej prawdzie nie stało się zadosyć. Nie jest logiczną prawdą, ażeby kobieta, którą bohater bezwiedną tak czujnie ścigał swoją gorączkową miłością od przepelnionej sali teatru, do powozu, a następnie po przestrzeniach stolicy aż do drzwi jej ogniska, do której stóp rzucił się, i ujawszy jej dłoń, „nie wypuścił tej dłoni przez lat kilkanaście;” ażeby taka kobieta, która i w jego religijnym zwrocie przyjmowała udział, bez żalu, bez walki spadła niżej zera, w jednej prawie chwili. Wprawdzie dla usprawiedliwienia przeskoku psychicznego, poeta rzuca subtelny mostek pomiędzy dawną a nową istnością Leonca: to jest melancholiję religijną. Ale z drugiej strony źle usłużył i temu sztandarowi, strącając odrodzonego z wierzchołka wieży; zaprawdę, mniej dotkliwą byłaby dla nas dobrowolna śmierć zapaleńca, aniżeli samobójstwo wskrzeszonego.

Wizye religijne, ukazywanie się aniołów, wystawione tu na pośmiech. W końcu bowiem poematu czytamy, iż ogrodnik widząc Leonsa spadającego z wieży, zawołał:

„Al! teraz rozumiem co znaczyły jego dziwaczne słowa, które słyszałem podlewając ostróżkę: „że uniosą go aniołowie. O! szalony, szalony!”

Bodajby się było zakończyło na słowach ogrodnika. Pomieszenie zmysłów jest jeszcze jednym z niepoślednich rodzajów apoteozy, w braku innego wyjścia, a szczególnie w dziejach miłości. Ale poeta pozbawia nas i tej osłody. Po słowach ogrodnika natychmiast odzywa się sam:

„Nie, nie szalony; zdrowy, mówię wam, zdrowy—przy takich warunkach życia podobny koniec nie był nie racjonalny (irrational). Jeżeli wy trzymacie się wiary nieruchomie, to wierzyć tylko pół-wiarą. Ja wam radzę iść temi śladami; wystawiajcie waszą wiarę na próbę, aby odrazu wyleczyć ją lub zabić. I wy, człowieka który umarł toczony przez palącego raka, zechcecie nazwać najgorszym za ten czyn odwagi? O! to już nad moje pojęcie. Mnie się zdaje, iż lepiej jest leżeć rozciągniętym na murawie uspokojonym na zawsze, aniżeli milcząco wyglądać z wieży lub namiotu, kiedy tam w głębi trawi cię rak zwątpienia”.....

Krytycy angielscy nazywają Leonca Mirandę, prawdziwie poetycznym ale niewdzięcznym poematem.

George Eliot. Do szkoły realistycznej zaliczamy G. Eliot (mistress Lewes), która niedawno wystąpiła z poematem: *Hiszpański Cyganie*. Uchwycenie życia, nie w owym świecie obłoków, po którym krąży Rosetli, ale uchwycenie go na szczycie rzeczywistości ziemskiej, bo takim jest świat wspomnianego poematu, stanowi główną cechą pióra G. Eliot, którą niżej określimy wydatniej, mówiąc o współczesnej powieści.

D. G. Rosetli. Jest to poeta wyższego polotu. Urodzony w roku 1828 z rodziny włoskiej, której wszyscy członkowie używają wielkiego imienia w świecie sztuki i poezji, Rosetli wychyla się majestatem z tej nowej grupy, do której wchodzi oprócz niego: Morris i Swinburn. Grupa ta, jak nadmieniono, znana jest w dziedzinie literatury pod nazwą pre-rafaelitów. Nazwa bezwątpienia dziwnego rodzaju. Oto jej źródło: Od pewnego czasu w malarstwie angielskiem nastąpiło pewne zwrotowe przesilenie. Pędzel albioński, hołdujący dotąd kilkuwiekowemu sposobowi przedstawiania natury i ludzkiej postaci, zerwał z tradycją florentyjską. Miejsce dawniej sztywności religijnej zajęła namiętność ludzka; obraz najliteralniej zestąpił z nieba na ziemię. W témto zhumanizowaniu pędzla, przez pewną chwilę stał na czele sam Rosetli, poeta, będący zarazem znakomitym malarzem. Z dziedziny malarstwa przesilenie przeszło i na poezyę. Obejrzano się z tęsknotą na wieki średnie. Oto jest pre-rafaelizm. A więc, zawoła ktoś, czemuż nie nazwać tego zwrotu po prostu *romantycznością*? Zapewne, jest to romantyzm, ale z tém dopełnieniem, że w szkole o której mówimy, typ niewiasty podniesionym został do apoteozy inaczej jak w romantyzmie. Nie jest to już bożyszcze uosabiające w zakochanym samolubnie własne uczucia, lub poetyczną gorączkę serca. Kobięta dochodzi tu do znaczenia obiektywnego, przestaje być konkretnością o pięknych błękitnych oczach, kibici eterycznej, z usmiechem anioła i t. p.: wszystko to zamało. Kobięta podług dogmatu szkoły, jest pięknocią samą, w bezwzględнім i najwyższém znaczeniu. Jako święty i nie odwołalny typ, ta piękność idzie wskrósć świata od początku wieków. U naszego poety ma ona imię „Lilit” pierwszjej żony Adama, czarodziejki, która wyrzuciła samą Ewę i węża kusiciela (prześliczny wiersz Rosetlego p. n. „Na obraz Lility).”

Ani Petrarca nie uidealizował tak niewiasty, ani Dante, tak uwielbiany przez Rosetlego, którego imię on przybrał do swojego (Dante Gabryel Rosetli).

W jednym ze swoich poematów p. n. „Błogosławiona Dziewica“ opowiada nasz poeta, jak po raz pierwszy ujrzał tę postać: „Błogosławiona! wychyliła się wsparta na złotej poręczy niebios, oczy jej głębszemi były, aniżeli jest głębia wód zasypiających ku wieczorowi. W rękę trzymała trzy lilie a we włosie jej było gwiazd siedem. Włos ten, złocisty, jak dojrzały kłos, spadał wzdłuż ramion. Szat jej nie

zdobiły rzeźbione kwiaty, tylko róża biała, ofiarna róża Maryi.... Trudno wypowiedzieć, jaki urok promienił od tego widzenia.

„Z wyniosłości niebios widziała ona czas, jako dzikie tętno, bijący wśród wszystkich światów. I chwilę mocowało się jeszcze to jej spojrzenie, żłobiąc sobie ścieżkę przez środek przepaści: przemówiła, a nie była to mowa; to gwiazdy w sferach swoich śpiewały.

„Teraz oto słońce już odeszło, księżyc kędzierzawy podobnym był do małego ptaszęcia, co kędyś tam daleko trzepocze się po nad otchłanią, otóż przemawia wśród cichego powiewu. Zaprawdę w jej głosie słychać śpiewające wszech gwiazdy....

„Ach uroku święty, czyliż teraz jeszcze przez ten śpiew ptasząt nie przebijają się jej dźwięki. Kiedy dźwięki dzwonów zaległy na ciszy południa, czyliż jej stopy nie płyną tu do mnie po wszystkich szczeblach ccha?

„Pragnę, mówiła, aby on przyszedł i obok mnie stanął; wszak przyjdzie: czyliż nie modliłam się na niebie, a on, Panie mój, Panie! czyliż nie modlił się na ziemi? Albo czyż dwie modlitwy nie są potęgą doskonałą?

„Skoro w około głowę okrążą aureole, kiedy sam stanie w bieli odziany, wtenczas ujmę dłoń jego, i wraz z nim pójdę nad głębokie źródło światłości; a on wtedy zstąpi niby do strumienia i w oglądaniu bóstwa kąpać się będzie.”

...Święty uroku: „my oboje, oboje?” wszak te słowa wyrzekłaś, moja ty błogosławiona!

Jakto? Ty byłaś przecie jedną wespół ze mną w owęj przeszłości. Ach! czyliż Bóg podniesie do nieskończonej jedności tej niktęj duszy mojej, która miłością ku tobie podobną była do twojej duszy?....

„Pójdziemy, mówi błogosławiona, pójdziemy razem, pod cienie owych borów, kędy jest Marya Panna z pięciu służebnicami; których imiona imionami są pięciu uroczych symfonii: Cecylia, Magdalena, Gertruda, Rozalia i Małgorzata.”

Tak śpiewa nasz wieszcz, i nie masz wątpliwości, że przyznając kobiecie to obiektywne znamię, mocniej i trwałej, niż ktokolwiek inny podstawił dla niej stopień do owęj powagi społecznej, o jakiej dziś mówią i piszą wszechstronnie.

W jego poematach ujrzym kobietę na wszystkich warstwach życia. Jest tam siostra, otoczona całym ciepłem miłości braterskiej. Jest Jenny, jest matka czuwająca nad córką z całym wysiłkiem boleści matczynęj, a ponad tēm wszystkiem jest tam wszech ideał dobra, miłości i łaski: Dziewica Rodzica (wiersz Rosettiego p. n. *Love*, jeden z najpiękniejszych w rodzaju religijnym).

W powiastce *Wylew* (Stratton Water) poeta w nadzwyczaj rzuwnej formie przedstawia nam ofiarę błędu. Joanneta, ubogie dziewczę, jest tu ofiarą.

Baron Sands uwikłał to ciche serce i jak domyślic się można z dalszego wątku powieści, kochał ją szczerze. Ależ baron Sands

i uboga Joaneta to *contradictio in adjecto* w oczach dumnej rodziny. Rodzina, a przede wszystkim brat Juliusz, dla ocalenia lordowskiej czci zmyśla śmierć Joanety; znowu ktoś inny, jej niewierność. Strzelec lorda odzywa się do swojego pana:

„Czy widziałeś wylew Strattonu? który dziś podsycony deszczem nawalnym, wybiegł z łożyska? Pędzi on pod twoim murem pełny świeżo skoszonego siana. Chciałem ja pognać twoje ogary do kąpieli na groblę Hutlon, dostały kąpiel na łanie zbożowym.”

Lord Sands ze wschodów zamkowych spojrzął po łanie zachodnim. Kruk trzął się z gniewu na swoim gniaździe, w okółto drzewa płynęła woda. Lord Sands spojrzął po wale zamkowym, po wschodniemi wzgórz.

Pale i słupy płynęły wśród łódek, woda jeszcze wzbierała.

„Coś się tam bieli, tam ku wzgórz zaległo?”

„A! to żagiel dostojnej barki twojej, jasny lordzie: podmyła go woda.”

„Ależ nie miałem ja nigdy tak białego żagla.”

„Ach! to łabędzie dostojnego jeziora twojego, jasny lordzie: spłoszyła je fala.”

„Ależ łabędzie nie stałyby tak spokojnie na miejscu.”

„Już wiem, to Dzojs, małżonka moja rozpostarła chusty i boi się je zebrać.”

„Nie, groomie! nie żagiel to, nie łabędzie, ani chusty twojej żony.”

Lord Sands przeszedł po schodach wieżyczki, po dziedzińcu i gumnie: krowy w oborze dziś stoją, konie u żłobów.

Lord Sands zaszedł na wzgórze, nurzające się w wylewie, gdzie biała postać leżała, a jeszcze chmury wisiały, po nad wzgórzem, białe widmo cichem było, jak chmury.

Ach! uroczym jest widok życia, smutną jest bezoczna głowa śmierci; lecz straszliwszemi są żywe oczy w tej twarzy, w której myśl zamarła.

„W imię Boga Wielkiego, Joaneto, czyliż to duch twój przychodzi mię nawiedzić?”

„Nie, lordzie; zaczekaj na inną godzinę, lordzie, zaprawdę wtedy duch mój przemówi.”

Przez chwilę stał lord skamieniały, upadł na kolana.

— „Joaneto, moja ty luba, moja luba, wstań i pójdz ze mną.”

— „O! tak i kiedyś mówileś ty do mnie „pójdz” a potem tu mię zaprowadziłeś.”

„Alboż to jedno słodziutkie słowo powiedziałeś mi, lordzie, a dziś mam od ciebie nie więćj, jeno ten deszcz, zacinający po twarzy.”

„Alboż to jeden dar ślubowałeś mi, jasny lordzie; dziś jedyny dar został po tobie: niemowlę w mém łonie.”

„O! lordzie, nie na łożu tej ziemi ujrzę ja dziecę moje; tu zwlokłam ciało, aby mię fala pokryła.”

Zbliżyły się ich oblicza i dłonie.

— Ach! jęj oblicze gorące było od łez, jęj dłonie przemokłe, zimne od deszczu.

— „Joanetko, mówiono, żeś umarła; mógłżem domyśleć się kłamać.“

— „Lordzie, mówiono żeś był wiarołomcą; cóż mi pozostało, jeśli nie umrzeć.“

— „Ach! Juliuszu, wiarołomny bracie, przez ciebie-to miałem ją za umarłą. Wieże twójego zamku dziś blade, zaczerwienią się jutro.“

Spuść oczy, spuść oczy, matko nieszczera; prosiłaś mię abym nie rozpaczkał: podniesiesz ty oczy, kiedy ślubne nasze świece jutro wieczorem zapłoną.

O! nie jedno z nich, nie dwoje jutro się zatroska; lecz to jutro dla nich, kochanko moja, dla nich, a to dzisiaj dla ciebie i dla mnie.“

I twarz jęj ogarnął rękoma, blade usta przycisnął do swoich, i nie ma tyle cichej słodyczy w szczebiocie ptaszka, ile w tym pocałunku.

Do stóp ich dokoła zdradziecko garnęła się fala.

— Uchodź, Joaneto, tam czeka ciepła komnata na obrzęd ślubny i łożę na niemowlę-przychodnia.

— Ach! lordzie, alboż to ja nie słyszę krzyku twęj matki: „prowadzisz mi oblubienicę do łoża, czy ona chrzcic będzie niezrodzone dziecko, ona co przychodzi przemokła na ślubne gody?“

„Obym raczję, jako małżonka, wstąpiła na progi twoje i spotkała oko matki. Ślubowaliśmy, że się połączym w świątyni, tam więc połącz się ze mną.“

Ujął ją za rękaw zmoknięty.

— Pójdź, wezwij Sir Jocka, spowiednika mojęj matki: on zwlekać nie będzie.

Ztąd pół godziny tylko od świątyni, pół godziny od ślubnego obrzędu, a kościół i zamek i włości zamkowe, nie moje już będą tęg nocy, ale dziecięcia.....”

...Po chwilowęj niebezpiecznej żegludze przyplływają pod kościół. Tu brama cmentarza stoi niby brama promowa.

Lord na barkach wynosi Joanetę z łodzi, na cmentarz kościelny. Groby leżą głęboko pod wodą. Łódka opróżniona kręci się szalenie i rwie pod wichrem.

„Statkuj, statkuj, moja łódko! przywiezłaś oblubienicę, odwieź mi w pokoju małżonkę!“

...Powieść zbliża się do końca: Joaneta znękana wypowiada ostatnie wrażenia, jakie niechybnie nawiedzać muszą istotę jęj podobną, wśród zmierzchu i niebezpieczeństwa powodzi, oddzieloną jeszcze przepaścistą drogą od progów świątyni, w której serce jęj cześć i nietykalność sławy niewieściej miało zmartwychstać, przed śmiercią. Oto zakończenie:

„A teraz gotujcież ciepłe i miękkie pośłanie, okryjcie je bielą i oczekujcie poranku.

Niemowlę się rodzi a matka umiera!

Widzieliśmy kobietę w jej pierwotności bożej, kobietę w aureoli kochania i śmierci. Teraz kolej na trzecią jej postać; ze światła i miłości przechodzimy w pomrok: oto kobieta, która kochała, a teraz nienawidzi; niebieski nektar w jej sercu zranionem przemienił się w truciznę. Helena mści się nad tym, który strawił jej serce. Keit, znienawidzony przez Helenę, leży kędyś na łożu śmiertelném. Małe dziecię rozmawia z siostrą Heleną.

— Czemuż to, siostró Heleno, mówi dziecię, czemu chcesz stopić twojego męża woskowego; dziś już trzeci dzień, jakieś go topić zaczęła?

— Czas jest przeciągły i długi, ale czas biegnie, mój mały braciszku.

(O Matko, Matko Maryo! odpowiada brat, dziś dzień trzeci, na piekło i ziemię).

— Ale gdy skończym, siostró Heleno, pozwolisz mi pobawić się; wszak przyrzekłaś?

— Bądźże spokojny w zabawie téj nocy, mały braciszku mój!

(O Matko, Matko Maryo! téj nocy, trzeciej już nocy, na piekło i ziemię).

— Mówiłaś, że wosk stajać musi przed dzwonem nieszpornym. Jeżeli stopi się teraz, wszystko się skończy: nieprawdaż, Heleno?

— Nie, ani wtedy, nie mów, braciszku.

(Ach! co to ma znaczyć, o Matko Maryo!).

— Dziś jeszcze był to dziarski mąż woskowy, a teraz rozpada się jakby człowiek umarły, siostró Heleno.

— No, no, co ci tam do umarłych, braciszku.

(O Matko!)...

— Widzisz siostró, tę drzazgę drewnianą, opada z pod wosku stopionego, czerwona, jak krew, siostró moja.

— Ależ ty braciszku, czemu ty patrzysz na krew.

(O Matko Maryo, jak ona poblada!).

— Siostró, teraz zamknij oczy, bo oczy masz posępne i chore, a ja wybiegnę poigrać w galeryi.

— Dziecię moje, dajże mi spocząć.

— Siostró, tu na balkonie księżyc w przelocie zajrzał mi oko w oko.

— Przyjrzyj się, mój luby i powiedz, co tam widzisz wśród nocy?

(O Matko Maryo, co dojrzą ja w nocy?).

— Siostró, tam rzewny wiatr czuwa na dworze, drżą chwiejne drzewiny, nad niemi drżą chłodne gwiazdy.

— Ciszéj, czy mówiąc dosłyszałaś tętent konia, bracie ty mój?

(Matko Maryo, cóż dosłyszeć można wśród nocy, na piekło i niebo!).

— Słyszę, Heleno, słyszę tętent konia; widzę trzech jeźdźców straszliwie pędzących.

- Braciszku zkąd jadą trzej jeźdźcy?
 — Mijają krawędź wzgórza dwaj obok siebie, a trzeci zdaleka.
 — Przyjrzyj się... czy nie poznasz, kto są trzej jeźdźcy?
 — O! to Keit z Estholmu pędzi tak szybko; poznałem białą grzywę bujającą na wietrze.
 — Braciszku, przyszła więc godzina, przyszła nakoniec.
 (O Matko Maryo, jój to godzina przyszła, na niebo i piekło!).
 — On dał skinienie i wykrzyknął: „hola!” powiada, że mówić chce z tobą, Heleno.
 — O! powiedz mu, że się lękam zimnej rosy.
 (Maryo Matko, czemuż się ona tak uśmiecha?).
 — Siostró Heleno!
 Silnie wiatr szumi, lecz krzyk jego słyszę,
 Ze Keit z Ewernu, jest w drodze do śmierci.
 — I ja też jestem, i ty, on i oni.
 — Trzy dni minęły, jak w łożu boleści,
 Jęcząc, u Boga dopraszam się śmierci.
 — Śmierć przyjdzie, jeśli *my* się pomodlimy.
 (Jeśli *on* chyba, o Matko Maryo!).
 — Siostró, dzień cały on woła litości,
 Woła! byś twoje przekleństwo cofnęła,
 — *Moja* modlitwa już słyszeć się dała,
 Niechże on teraz pomodli się—Siostró.
 Ach! czyliż Pan Bóg wystuchać nie raczy?
 — Siostró, wciąż woła ten Keit z Ewernu,
 Że jeszcze chciałby ujrzeć cię przed zgonem.
 — Ujrzy mię w ziemi, w obłokach, w księżycu.
 (Ziemi! obłoku, wy nieba i piekło!).
 — Przysyła pierścień i pieniądz złamany,
 I przypomina o grobli Boynu.
 — I cóż tam więcéj? czyliż to, co złamał,
 Czyliż napowrót sprzęgnie...
 — Siostró moja,
 Nigdy, przenigdy, na niebo i piekło.
 — Onto przyznaje, siostró, ale w mękach zgonu,
 O miłosierdzie przebaczenia błaga.
 — A to, co wydarł, czy może powrócić?
 — O! nigdy, nigdy!
 — Konając, siostró on ma w swoich ustach
 Twe imię; przebóg! i umarła miłość
 Bez łyby na to spoglądać nie mogła.
 — Nie, nie: nienawiść zrodzona z miłości,
 Jest ślepa, jako sama miłość: słyszysz?
 (Maryo Matko! miłość obrócona w nienawiść? miłość? o niebo,
 o piekło!).

— Patrz, otóż teraz sam Keit z Keitu pędzi
 Na bystrym koniu: poznaję włos biały.
 — A więc maluczko i wszystko się skończy!
 — Spojrzał się, chciał coś przemówić, niestety,
 Głos drżący, słaby, mówić nie ma siły.
 — Czegóż potężny baron żądać może?
 — Siostró, i to ma być ostatnie słowo?
 — Oto syn woła, że jeśli przebaczysz,
 To ciało skona, lecz dusza żyć będzie.
 — Bracie mój, niech mi ogień tak przepuści,
 Jak ja przepuszczam.

— Ach! Matko ty Boża!

Takżeto ona przebacza!
 Heleno, serce rozrywa się w ojcu,
 Tak błaga: wypuść żywą duszę syna.
 — Bracie, téj duszy ogień nie zabije:
 Ona się wymknie.

— O! Matko Maryo!

Siostró, staruszek ukląkł na gościńcu,
 Na Boga żebrze, abyś z nim jechała.
 — Bracie, daleka to droga do progów
 Jego synaczka. O Maryo!
 — Heleno, słuchaj: oto biją dzwony,
 Ale głośniejsze, niżli głos nieszporny.
 — Gdzież tam nieszporny! to dzwon konających.

— (O Maryo! dzwon jego konania).

— Siostró, ten ciężki dźwięk przejmuję dreszczem. Czy ten
 dzwon jęczy w niebie czy na ziemi?

— Powiedz mi bracie, czy zwrócili konie?

— (O Matko Maryo, czegóż chce jeszcze ta kobiéta)?

— Oto podnieśli klęczącego starca,
 I lotem strzały puścili się w drogę.

— O mały bracie, chyżéj niżli strzała,
 Ta dusza naga uleci.

(O Maryo)!

— Tęskno wiatr szumi po zimném strzemieniu,
 Jeszcze tęskniejsze jadących oblicze!

— Jeszcze tęskniejsi ja i on, mój bracie.

— Widzisz ty, siostró? już wosk się rozplynał,
 Płomień spokojnie ogarnął go z góry.

— Bracie mój, chwilę popłonie i zgaśnie.

— Heleno, coś tu przemknęło się w bieli.
 Przemknęło w bieli, westchnęło na mrozie.

— Dziecię! to dusza zgubiona, jak moja

Zgubiona dusza!

— Zgubiona, Heleno?

Zgubiona, Matko Maryo, zgubiona!

Poezya dramatyczna—ostateczne zabicie Żyda tulacza—Ecans i George Armstrong.

Tragedyi, tragedyi! pół królestwa za tragedya. Jeszcze wiekopomny Adam, w swoich odczytach o literaturze Słowian wskazał na fatalny wyłom w systemacie starych estetyków, podług których dramat powinien się ukazać na kresach rozwoju sztuki. Mimowolnie zwracamy oko na ten wyłom, przerzucając karty książek i dzienników straszających obecny ruch piśmienniczy w Anglii. Scena, uporczywem milczeniem, a raczej bezpłodnością, uwzięta się niejako na zgniecenie tych etyrycznych przedziwek, które pod nazwą teoryi piękna, poważyły się formułować twórczą potęgę gieniuszu, wiązać Herkulesa pajęczyną, jak mówił Śniadecki. Co do nas, na wytłumaczenie tego faktu, nie będziemy się uciekali do filozoficznych norm, bo normy w tej właśnie dziedzinie są zakazanemi; lecz poprzestaniemy na samym fakcie: dramat na chwilę wyczerpanym został, Szekspir tworzył nietylko za przeszłość, ale i za potomnych na długo.

W Francesco Cenci (Shelley'a), w Doży weneckim (Marino Faliero, Byrona), w Sardanapalu lub Kaimie, ożył wprawdzie dramat ale nie Szekspirowski. Akcja przygłuszona została czynnikiem, nieznanym dawniej dramacie, to jest niaustannem mieszanem się w jęj sprawy, ducha samego utwórca...

Jestże to wadą obecnego dramatu? jestże zadaniem krytyki spytać ze sceny tę subiektywność ducha, uwijającego się po niej bezustannie?

Czy też przeciwnie? mamy uznać za godziwe, zajęcie przez dramaturga tej roli, jaką dramat starożytny włożył na chóry, a którą Szekspir z całą dokładnością psychologiczną rozdzielił na osoby działające i monologi. Obecny stan literatury dramatycznej jest wymowną odpowiedzią na to pytanie. Nie mając do zaznaczenia głośnych imion w tym zawodzie, mamy wszakże dzieła a nawet arcydzieła poezyi, wprawdzie nie dramatycznej, ale ukazujące się w kroju dramatycznym.

Do rzędu takich, pół-dramatycznych utworów słusznie zaliczyć można „Cyganów hiszpańskich” G. Eliot'a (pani Elweys).

Następnie wspomnieć należy inne, nie pozbawione wagi utwory: *Klątwa nieśmiertelności* p. Eubule Ewansa (The Curse of Immortality). Gdzież się nie tułał ów legendowy żyd, którego francuzkie podania ludowe zawieszają gdzieś pomiędzy ziemią i niebem, który jak cień-nemeza snuje się poza Neronem wśród jego rozkoszy, wśród pozogi Rzymu ¹⁾; który następnie przed czterdziestu jeszcze laty błąkał się od krańców Wschodu do pałacu Rennepontów.

¹⁾ W znakomitym poemacie Hammerlinga p. n. Ahasver w Rzymie).

Owę to postać dwóchświatową Evans wziął za bohatera tragedyi. Ahasver jednak, który tu występuje pod imieniem *Theudas*, uchwycony jest w charakterze średniowiecznym. Ahasver pierwotny, najpotężniejsze wcielenie mąk sumienia, stanowczo zmienił tu swoją naturę; w posępnym typie mściciela nad sobą samym, odrodził się człowiek z namiętnościami ziemskimi, bożek pogański, który w wycieczkach swoich po świecie żyjących, ma przywilej spełnienia zachceń śmiertelnego; siłą cudowności Theudas wśród tułactwa zstępuje w góry Araratu. I oto nasz Herkules spotyka tam w jaskini, nie Prometeusza przykutego do skały, ale dziewicę opętaną przez duchy piekielne. *Leila* było jęj imię, Theudas wyzwala ją z mocy szatana. *Leila* zapomina o pierwszym swoim oblubieńcu i serce oddaje nowemu zbawcy. Nadmienić należy że była to właśnie jedna z tych epok, w której tułacz odzyskał młodość i siłę pierwotną. Oswobodziciel i oswobodzona puszczają się na wędrowkę. Wędrowka ciągnie się przez lat czterdzieści. Ale i szatan nie zasypia. Przybrawszy za towarzyszkę *Epitumia*, jedną z ulubionych służebnic swoich, mściciel wraz z nią snuje się za *Leilą* i *Theudasem* przebrany za wieśniaka niemieckiego. Szczęśliwe stadło przybywa nad brzegi Renu. Szatan rzuca iskrę podejrzenia w serce *Theudas*a. Zdradzony, a raczej uważający się za zdradzonego, wieczny tułacz porzuca oblubienicę i ucieka, ale w towarzystwie *Epitumii*.

Skoro przybył nad jezioro genewskie, zapada w ów cudowny sen, który w pewnych stałych epokach sprowadza na niego odrodzenie i przywraca młodość. Tymczasem mściwy szatan towarzyszy *Leili* w jęj wycieczkach na odszukanie oblubieńca. *Leila* poznaje śpiącego. *Theudas* obudzony pocałunkiem współtułaczki, wpatruje się w jęj oblicze. Niestety dzieląc się z nią sercem w jaskini Araratu, *Theudas* nie mógł podzielić się z nią cudem odrodzenia. Czterdziestolecie położyło swoje wroczne znamiona na twarzy *Leili*. Półseny *Theudas* w rozmarzeniu wita ją, jako *matkę*:

Theudas. „O! matko moja! (i znowu zasypia).

Leila. Matką, matką mię nazywa,

Po stadle półwiekowem? Ach ja nieszczęśliwa;

Kiedy skarb odszukany całuję i pieścę,

Ten duch z łoża starości zmartwychwstał raz jeszcze;

Zmartwychwstał w obec zwiędłej, poradlonęj twarzy!

I oto nad młodości cudem odrodzoną

Stoi próchno żywota. On drzęmię i marzy;

Żem mu matką nie żoną! a bodajbym raczję

Po śmierć tu przysła, niżli po słowo rozpaczy.”

Leila składa na ustach odrodzonego ostatni pocałunek i nieprzytomna pędzi ku jezioru. Tymczasem tułacz wybija się ze snu, szatan odkrywa się i wskazując na ofiarę rozpaczy, wypowiada z try-

umfem, że dokonał zemsty, że Leila wiarołomną nie była. Wtedy tułacz rzuca się w pogoń za uciekającą: zapóźno, niestety! Sytuacja niezaprzeczenie dramatyczna, przypominająca Rachelę w znanej operze, i mdlejącego jej ojca.

Rozwiązanie dramatu, jakieśmy wyżej nadmienili, przecina nitkę mitu mieczem Aleksandra: Teudas umiera z rozpaczy.

Krytycy angielscy szczerze ubolewają nad rozpaczliwym zgonem Teudasa i woleliby, aby przeczdziany Ahasver tułał się jeszcze po świecie. Przyznać należy, że krytycy niekiedy mają słuszność. Pomimo tego, niebezzasadnego zarzutu, dramat ma jednak swoje szczytne momenta.

Tragedya Izraela. (Tragedy of Israel) G. Armsstronga.

Jestto pierwsza część zapowiedzianej trylogii; bohaterem jęj jest Saul, jeden z najkolosalniejszych kształtów biblii, którego wyznać musimy, żaden z nowożytnych tragików nie ustawił we właściwej pozie. Nawet Alfieri, nader udatny w oświeclaniu głównych postaci świata starożytnego, nie podołał temu demonicznemu typowi walki człowieka z bóstwem.

Armstrong pochodzi ze szkoły Swinburne'a; i nieraz przypomina jego muskularną siłę. Przedmiot tragedyi, jako znany z dziejów świętych, zbytecznym jest tu rozwijać. Saul umiera, opuszczony, samotny, zawiedziony. Ale umiera, protestując, czyli, jak mówi Wiktor Hugo w roku 93, ściskając pięści. Oto jego słowa zwrócone do Bóstwa:

Zmarli stali się prochem, a żywi, jak zmarli,
Zyjącemi trupami, i pierś mi rozdarli
Za to, że ich kochałem; i ja co kochałem,
Gościńcem zwiędłych liści wędruję, z tém ciałem,
Ja duch najsamotniejszy: wszystko się zapadło.
Dziwictwa ranne pączki robactwo obsiadło,
Młódź, pnąca się do nieba barki zuchwałemi,
Dziś, na równi z bydłciem przyparta do ziemi,
Tarza się po kałuży i własny ród broczy
Wściekłą gniewu paszczką; krwią świecą jęj oczy,
Bo Ty ją stratowałeś... słabych i mocarzy
Zdeptałeś władną stopą; zgasiłeś blask twarzy
Łoża oczu przesłicznych zasypałeś ziemią,
I świat zastygł dokoła: namiętności drzemią
I zimne są niebiosa Wschodu i Zachodu.
Tak... sny moje wskroś przewiał dech trupiego chłodu;
A duch mój gdzieś zaginał, o czémże ja marzę?
O! tylko o marzeniach.

Gdyby nie obawa przekroczenia granic naszego zadania, pokazałibyśmy dotykalnie, jak jedna i taż sama treść, urabia się odmiennie

pod rękami mistrzów różnych epok i różnych poglądów. Saul Alfiego przed zgonem wypowiada toż samo, a przecież nie to samo.

„O! dzieci moje, powiada on z rozpaczą Wirgiliuszowską, byłem ja ojcem (fui padre). Tak więc królu, sam jeden zostałeś. Nie widać obok władcy nikogo z tyłu przyjaciół, tylu służebników.

Ty straszliwa pomsto nieubłaganego Bóstwa, jestżeś nasyconą? Bezbożny filistynie, ujrzysz mię; lecz ujrzysz jak mi przystoi królewskości... umarłbym.”

Armstrong nie jest talentem bez przyszłości, w stosunku do poprzednich utworów widać tu znakomity wzrost siły; jest tu znajomość ducha i owa praktyczna filozofia dramatu, coto czuje dotykalnie, gdzie leży serce przedmiotu.

W dalszym ciągu przeglądu współczesnego dramatu powiemy o Swinburnie, którego imię krytyka dziś stawia na świeczniku.

Z SIEDMIOLETNIEJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Późno wieczorem wrócił Simonis znużony do domu, w którym już wszyscy spali, rozmyślając nad wcale nieosobliwym położeniem swoim. Mijał milczące drugie piętro, gdy stara Gertruda otworzyła drzwi, wyjrzała ostrożnie i poznawszy go przy świetle ogarka, który trzymała w ręku, dała znak aby szedł za nią.

Zdziwił się nieco Simonis tak późnym zaproszeniem, lecz posłuchał go. Staruszka siedziała w wieczornym dezabilku i ogromnym czepcu ze wstążkami na swoim fotelu i drzémała. Świeca okryta umbrellką paliła się na stoliku.

Zobaczywszy Simonisa dała mu znak, ażeby usiadł naprzeciw.

— Cóż tam słyhać?—zapytała pocichu, jak gdyby Gertruda nie była głuchą—co mówią w mieście? Jestem bardzo niespokojną. Feulnera wzięli, a choć się nie wygada pewnie, zawsze u niego coś znaleźć mogli; Mentzel uciekł, ale czy go nie dogonią? czy go nie wyda kto?

Nareszcie i o waćpana mi idzie — dodała ciszej—tak, o waćpana....

— O mnie?—spytał zdziwiony Simonis.

— Czyś się waćpan podpisywał na listach do hrabinéj de Camas?—zapytała baronowa.

Zbladł Max.—Dlaczego mnie pani pyta o to?

— Bo zdaje mi się że na listy czatowano i schwymano je. Simonis ust nie mógł otworzyć.

— Pani to zkąd wie?

— Wiem—zimno odezwała się baronowa—wiem... to dosyć.

— Ale ja dziś rano byłem u ministra, który mnie przyjął jak najlepiej.

— A wieczorem listy waćpana są u niego na stoliku.

— One szły przez Beguélina—zrywając się z siedzenia odezwał Simonis.

— A Beguélin więcej myśli o sérach swoich jak o listach. Waćpan, jeśli tak jest, nie masz chwili do stracenia: idź na górę, zabierz co konieczne, resztę oddaj Gertrudzie; każe zanieść na strych. Gdy zapukają do wrót, nie czas już będzie.

— Lecz gdzie się ja skryję?

Staruszka mimo wieku, zachowała zimną krew i przytomność.

— Idź waćpan na górę, spal jeśli co masz; zabierz pieniądze, weź płaszcz, zmień kapelusz: dam ci kartkę do Serba, mojego starego sługi, który mieszka w chatce nad Elbą między rybakami. Dopytasz się do niego. Spiesz....

Simonis zawahał się z początku, staruszka wskazała mu na drzwi.

— Spiesz! — powtórzyła—idź a pamiętaj, jeśli cię złapano, nie mów nic o mnie. Żebyś mi się wywdzięczył. Stare moje kości już ani więzienia ani męki nie wytrzymają.

Max zerwał się z miejsca żywo i copędzj pobięł na górę. Zaczęty list spalił przy ogarku, który mu dała Gertruda, złoto swe pochował w kieszenie, płaszcz narzucił na ramiona; westchnął, łza nie mężka zakręciła w oku i już bieęł na dół. Staruszka podała mu drżącą rękę do pocałowania.

— Idź waćpan: idź, idź...

Simonis co tchu zbieęł na dół, drzwi ostrożnie otworzył; na rynku nie było widać nikogo: księęzyc świecił i plac stał pustkami.

Nie dobrze sobie zdając sprawę z tego co uczynił, puścił się ku Frauen-Kirche i dla odetchnięcia a zorientowania przyparł u jednego z jęj ganków.

W tjęze chwili z przyleęłego gmachu, który dawnięj część kościoła zakrywał, i w którym mieścił się odwach główny, ujrzał wychodzących sześciu żołnierzy, oficera i urzędnika, który temu oddziałowi przodował. Za żołnierzami włócił się w płóciennęj odzieży człowiek, który trzymał łańcuszki w rękę. Simonisowi zrobiło się jakoś mdło, zakręciło mu się w głowie, nie mógł z miejsca ruszyć, choć chciał uciekać. Widział jak żołnierze skierowali się do bramy domu baronowej i jak urzędnik do nięj stukać zaczął.

Nie było wątpliwości, straż ta po niego szła; musiał więc co najrychłej umykać z placu i za Pirnajską bramą szukać przejścia gdzieś nad Elbę, aby tam znaleźć schronienie. Nieznającemu dobrze miejscowości, wyprawa ta była niesłychanie trudną i rezykowną.

Tonący brzytwy się chwytą. Simonis nie wiedząc już dokąd bieży, począł szybko mijać rynek i wpadł w pierwszą jaką napotkał ulicę; z tję puścił się w inną i niebardzo bacząc dokąd idzie, dobierając tylko jak najciaśniejsze i najciemniejsze uliczki, o które w ówczesnych miastach nie było trudno, zupełnie się zbłąkał. Zdało mu się wszakże, iż tu był bezpiecznym. Okiennice wszędzie były pozamykane, bramy zaparte, mało gdzie świeciło się w oknie: w zaułkach oprócz kilku psów błąkających się nie spotkał żywęj duszy. Idąc po tjęj stronie na którą cień padał, nie lękał się aby księęzyc w pełnym blasku mógł go zdradzić. Niekiedy nastawiał ucha chcąc szmery dalekie usłyszeć i rozeznąć, ale te na chwilę tylko zaszumiawszy

tonęły gdzieś w głębiach. Zdala czasem skrzypienie drzwi otwierających się chwytał i trzask zamykania, niekiedy jakby ostrożne stąpanie po bruku. Przystając, to idąc, rozmyślił się wreszcie, że w jakimkolwiek kierunku, iść należy nie zmieniając go, aby tak do dnia nie błądzić i na patrol jaki nie natrafić. Prawdopodobnie, nie znalazłszy go w kamienicy, musiano szukać w mieście; ostrożność więc zachować musiał największą.

O! jakże sobie w tej chwili wyrzucił, że się dał w tę sieć wpędzić, z której nie wiedział czy wyjdzie z całą głową! Dom stary w Bernie, siostra, młodość, Berlin, stancyjka u cukierników, Carlotta: wszystko mu teraz ze łzami na pamięć przychodziło. Strwożony włókł się pod murami i płotami, rozglądając czy nie rozpozna położenia; gdy wreszcie trafił na większą jakąś ulicę. Ale na niej posłyszawszy śpiew wesoły, cofnął się w cień i czekał. Środkiem szedł właśnie młody człowiek, jedną ręką w bok się wzięwszy, drugą spierając się na lasce; kapelusik na lewem uchu, mina gęsta a humor jak po węgierskiem winie. Simonisowi zdawało się, że coś podobnego gdzieś widział niedawno, i nie mylił się, było bowiem pan Ksawery Masłowski. On i kilku młodzieży szlacheckiej ze dworu Brühla i N. P., sprawili sobie po teatrze niemieckim w Gewandhauzie traktament w winiarni u Czecha Hreczki, przy uliczce Kreuzkirche. Tamci się jakoś porozchodzili, a Masłowski powracał do domu, i żeby mu smutno nie było, polską na całe gardło śpiewał piosenkę.

Szwajcarowi, zobaczywszy kogós z dworu Brühla, zimno się zrobiło, choć noc aż nadto była parna; przylepił się do muru w przekonaniu że go przechodzień niepostrzeże: ale wśród ulicy pustej, nie mając co robić z oczyma, Masłowski przeglądał niemi wszystkie kąty. Dojrawszy nieruchomo stojącego człowieka, rad że może trafić na awanturę, nie zastanawiając się, wprost puścił się na niego z krzykiem *Wer da?*

Zrazu Simonis chciał uciekać, ale siły i determinacyi mu zabrakło; wziął się więc już do szpady, gdy Masłowski przypadłszy tuż poznał go i rozśmiał się na całe gardło.

— A ty tu co robisz, Szwajcarze? mnie pod sekretem mówiono, że cię wieczorem na odwach za coś miano wsadzić i wybierałem ci się tam oddać wizytę.

— Na miłość Boga! nie zdradzicie mnie!—zawołał Simonis—wy Polacy macie naturę szlachetną. Chciałżebyś się zniecać nad nieszczęśliwym.

— Niech Bóg uchowa—zawołał Masłowski—na złość tym szołdrom bronić cię będę; ale powiedzże mi prawdę, rękę na sercu położywszy, sumiennie, uczciwie, coś zbroił?

Simonis był w takiem położeniu, że nie miał już nic do stracenia: rodzaj gorączki go opanowywał.

— Szlachetny młodzieńcze — rzekł—przybyłem z Berlina, to starczyło aby mnie posądzić.

— A jak nateraz, to dosyć posądzenia, ażeby do sznurka się wzięli.—krzyknął Masłowski. — Ale przyznaj się: tyś pruski, hę?

Szwajcar się zawahał.

— Słuchajże! Bóg widzi, mnie to zupełnie wszystko jedno: jak tylko Niemiec, gatunku nie mogę rozpoznać. A tak mnie to bawi, że oni się z sobą tłuc będą! A! jak mnie to bawi! Gdybym mógł, tobym z obu stron podzegał. Bądź ty sobie pruski, saski, austriacki, a mnie co do tego? jak tylko im pomagasz żeby się z sobą jedli, to cię kocham!

Lecz wiesz co, kawalerze szwajcarski—dodał ciszej — cóż ty myślisz z sobą? Ciebie szukają, a jak znajdą, nie ma żartu. Brühl słodki jest, ale jemu człowieka sprzątnąć, jak mnie wypić kieliszek. Ty się musisz skryć, i pomagaj Prusakom niech Sasów tłuką, a potem jeśli ci z tém będzie lepiej, pomóż Sasom żeby Prusaków wytłukli. Jak ich mniej będzie, świat nie przepadnie.

Maszże ty już jaką dziurę?

Simonis się jeszcze wahał.

— A! gadajże tchórzcu!—zawołał Masłowski—żaden Polak nigdy nie zdradził.

— Mam—odparł Simonis—ale do niej sam nie trafię, bo miejsca nie znam ani ludzi.

Obejrzał się pan Ksawery: w ulicy żywej duszy nie było.

— Dalekoto?—zapytał.

— Nad Elbą, między rybakami—rzekł Simonis.

— Hm!—odparł szlachcic—ja co innego mam na myśli: niech sobie ta dziura zostanie na wszelki wypadek na później.

Gdzie ty tam w śmierdzącej chacie o cebuli i razowym chlebie wytrwasz? Ja ci powiem co zrobimy. Ja się nikogo w świecie nie lękam. Stoję sam jeden u wdowy, nawet nie starój, u niejakiój Fuchsowój: oto ztąd niedaleko kilkadziesiąt kroków. Fuchsowa mnie drze, ale nie zdradzi i dałaby się posiekać za mnie. Nie piérwszy to raz u mnie się kto przytuli i przemieszka kilka dni. Powiem babie: „*Verstehen*” język za zębami *halt!* Będzie milczała, choćby ją pieczono.

— Nie będziesz się lękał?— spytał Simonis.

Masłowski oczy otworzywszy szeroko, odstąpił kroków kilka.

— Ja? żebym się szołdrów zląkł? A! niedoczekanie ich! Szwajcara, jakby się zawzięli, mogą poturbować i połaskotać koło szyi, ale polskiego szlachcica? ha! ha! Co mi zrobią? wsadzą do Koenigsteinu? Ano, wielka rzecz: ojciec uwolni. Chodź!..

To mówiąc pociągnął go z sobą, a dla większej pewności pod rękę go ujął i tak prowadził do pani Fuchsowój. Masłowskiego ojciec, pan stolnik był człowiek majątny; kilka razy już długi synowskie płacił, działo się więc panu Ksaweremu u Fuchsowój jak nie można lepiej.

Jak tylko do bramy zaczął kluczem świdrować, służąca w pantoflach zbiegła ze światłem, a na piérwszém pięttrze czekała gospodyni, średnich lat, nie szpetna kobiecina, wygadana, śmiała dworka. Gdy ją zobaczył Masłowski, zaczął zaraz łamanym językiem witać ją i oznajmywać że prowadził z sobą przyjaciela, że ten kilka dni u niego spocznie: ale o tém powinno być cicho.

Fuchsowa oczyma tylko ciekawie zmierzywszy młodego chłopca, usty i rękami zaręczyła uroczyście, że spełni polecenie grafa. Masłowski jak wszyscy majątniejsi Polacy, dostał ten tytuł od Fuchsowój; potwierdzili go potém tragarze, którym dobrze płacił i kupcy u których brał na kredyt.

Mieszkanie pana Ksawerego nie było paradne, a po saskich w porządku utrzymanych, wydawało się tém co dotąd Sasi zwać zwykli *Polnische Wirtschaft*. Nieład panujący tu, dwa razy tyle kosztował, co gdzieindziej najwyszukańszy porządek. Fuchsowa nieśmiała zaprowadzać u niego żadnych reform, bo Masłowski się gniewał.

Wśród dosyć porządných mebli stały buty pod krzesłem jedným, na drugiem wisiak przyodziewek, na trzecim ręcznik. miednica stała na stoliku wśród papierów, świeca przy talerzach z owocami; na świeczkach tu i owdzie wisały piękne i nie piękne rzeczy; na kanapce leżała biała poduszka: na łóżku w drugim pokoju stało pudło.

— Przepraszam cię, kochany kawalerze Simonis—począł wchodząc Masłowski.

— Na miłość Boga! nie wymawiajcież mojego nazwiska —krzyknął Szwajcar.

— A! prawda; ale jakże was będę nazywał? he? Po imieniu?

— Ani po imieniu.

— Ochrzcijże się, kim chcesz być.

— Włochem nazwij mnie.

— Terrini, znałem jednego, który się tak nazywał, to mi łatwiej będzie—podchwycił Masłowski.— A zatem Signor Terrini, przepraszam cię za nieporządek u mnie. Niemcy się z niego wyśmiewają, ale te szoldry nie rozumieją bestye tego, że ja szlachcic wolny, nie chcę być niewolnikiem moich rupieci i dla nich się męczyć: pal ich dyabli! Niech każda rzecz tam leży gdzie ja każę, nie gdzie jakiś głupi wymaga porządek.

Pomimo to będzie ci wygodnie, możesz nogi położyć na stole, kiedy chcesz; u mnie wolno wszystko.... mojem godłem: *libertas!*

To mówiąc, Masłowski wskazał na drugi pokoik, gdzie stało łóżko.

— Gość jesteś, zdejmę pudełko i oddaję ci łóżko: sam się prześpię na kanapie. Jeśli jesteś zmęczony, zrzuć łupinki z siebie i idź prosto w bety, a ja sobie radę dam: bądź spokojny.

Simonis jednak dalekim był od tego uczucia. Uścisnął rękę Ksawerego z wdzięcznością.

— Ale jutro?... jutro co będzie?.....

— Jutro ja idę na służbę—rzekł Masłowski—dla samój niepoznaki, muszę. Fuchsovej zapowiem, że tu nie ma nikogo; musi uwierzyć, bobym babie uszy natarł dopiéro. Zamkniesz się na klucz i jesteś jak u Boga za piecem.

- A jeśli się wyda?
- Jakimże sposobem ma się wydać?
- Któż to przewidzi?
- To nie może być.
- Lecz, gdyby...

— A no? gdyby; widzisz kochanie, moje okno z sypialni, he? wychodzi do ogrodu... Ofiaruję ci dwa prześcieradła, które masz czas skrócić i związać, spuścisz się i drapniesz prosto nad Elbę. Mówiono mi że tego sposobu doskonałego używał kompatriota asindzieja Blumli, ile razy go Brühl zastał nie w porę u Myny i takiej nabył wprawy, iż go to potem nic nie kosztowało.

Masłowski śmiał się i już zaczynał rozbierać.

— Idź spać kawalerze Simonis, u mnie się nie ma czego obawiać! Jabym was dlatego samego bronil, że im pomagasz do ciupaniny! A! gdybym wojny między nimi doczekał, to dopiero będzie satysfakcja. Dobranoc kawalerze, kładź się, ja tu na warcie! Dobranoc!

IX.

Ostatnich dni sierpnia, ktoby był po dłuższej niebytności przyjechał do spokojnego Drezna, mógłby go nie poznać. Jakieś niezwykajne, rozbudzone życie krążyło nietylko w ulicach miasta, ale w najodleglejszych jego zakątkach. Twarze które spotykano, potrwożone były, zdziwione, niektóre uśmiechały się szydersko, inne krzywiły smutnie. Kupki mieszczan gromadziły się tu i owdzie, szeptano między sobą żywo, a na widok wojskowych i urzędników rozpierzchały się w mgnienu oka. Z okien domów, na najmniejszy hałas wyglądały ciekawie głowy w perukach, czepkach i szlafmycach. Od zamku kiedy niekiedy wyjeżdżał konny gwardzista, pędził ciężkim kłusem ku Pirnajskiemu przedmieściu i znikał. Około pałacu Brühla ruch był większy jeszcze niż gdzieindziej, lektyki i powozy stały przed nim, odchodziły, powracały, posłańcy bez kapeluszków biegali z zamku i do zamku; kobiety szczególniej były w gorączkowym ruchu.

Hrabina Brühlowa siedziała u królowej, minister był przy królu, a w jego salce czekało nań niecierpliwie mnóstwo

osób. Wszystkich twarze były zafrasowane, namarszczone, Hennicke chodził z głową zwieszoną. Globig i Stammer kłócili się z sobą. Wnoszono i wynoszono pliki papierów. Generałowie przybiegali, dowiadywali się i odjeżdżali. Niekiedy przez most od Nowego Miasta wpadał na koniu kurjer wprost przed pałac Brühla i szybko ze skórzanéj torebki dobywszy listów, oddawał je na dole, a z rąk do rąk chwywane dostawały się w mgnieniu oka do sali, gdzie je Globig bez ceremonii rozpieczętowywał; służba jak oparzona biegała, wołana, odwoływana, wylękała. Nigdzie dnia tego nie było porządku a rozkazywał kto chciał. Słuchano jednych, zapominano o rozkazach drugich, frasunek opanował do najmniejszego pachołka.

Wśród tego dworu oszalałego niemal jakąś trwogą, Małowski z rękami w kieszeniach, z miną napozór seryo, w istocie szyderską, chodził przysłuchując się, przypatrując jakby go to niesłychanie bawiło.

Nie wydawał się jednak z tém uczuciem i przed towarzyszami przesadne rozwódził żale.

Do osób które na Brühla już oczekiwały, w téj chwili przybył jeszcze generał Rutowski. Z posepném czołem rozepchnął tłumy te, nie patrząc prawie na nie; zapytał o ministra, niecierpliwie się zżymnął usłyszawszy że go nie ma i otworzywszy sobie gabinet, padł w nim na krzesło przy stole, głowę opierając na rękę.

— Słuchaj-no — rzekł do jednego z kamerdynerów — jak tylko minister wróci, dać mu wiedzieć o mnie.

Ale ministra nie było, godziny porządkowe zmieszane zostały, nikt nie wiedział kiedy się co zacznie i skończy. Pomniejsza służba korzystała z tego szczęśliwego składu okoliczności, po kątach wysuszając butelki i ściągając nie kontrolowane słodycze. Nikt ich teraz nie pilnował.

Wśród tego szmeru i wiru, nagle stała się cisza, a potem gwar, ruch, zamęt, wrzawa podnosiły się jesze. Wołano:

— Jego Ekscelencya.

Drudzy poprostu — Brühl.

W istocie minister wysiadał z lektyki i nie widząc nic, nie słysząc, nie zważając na to co się koło niego działo, biegł na wschody. Twarz miał gniewem wywróconą, bladą i zestarzałą

nagle; jeden mankiet koronkowy wisiał u rękawa oddarty, peruka była w nieładzie.

W sali powlókł oczyma po twarzach przytomnych i jakby nie widział nikogo, wpadł do gabinetu, w którym siedział Rutowski.

Za nim też wcisnęli się hr. Loss, kanclerz Stammer i prezydent konsystorza Globig, wszyscy wicekrólami zwani. Zmienił ich twarze zwiastowały przestrasz; Loss trzymał papiery w rękę tak drżącym ze wzruszenia, iż latały z góry na dół.

Za nimi nadbiegł z zamku dążący generał adjutant baron von Spörken. Stosownie do temperamentów, twarze tych panów były blade jak marmur, żółte jak воск, czerwone jak piwonie: baronowi von Spörken krew o mało nie tryskała z oczów; Rutowski poważny i smutny, miał majestatyczny spokój ojca, którego był obrazem.

Brühl stanął w pośrodku i odetchnął.

— Panie generale—rzekł do Spörkena—zmiłuj się, rozporządź, nakaż, pilnuj aby mi do króla nikogo, ale co się nazywa nikogo z wojskowych niepuszczano.

— To się rozumie, bądźcie spokojni—rzekł Spörken.

Oczyma jakby obłąkanemi Brühl powiódł po ścianach i siłą woli odzyskał przytomność i krew zimną, przynajmniej pozornie.

— Rzec jest niesłychana, w dziejach niepraktykowana, niepojęta, która wszelkim kombinacyom kłam zadaje, bo się wszelkiemu prawu urąga. Słyszeliście panowie?

Rutowski podniósł głowę.

— Tak jest; co chwila gońcy to potwierdzają—mówił Brühl, coraz usiłując się spokojniejszym okazać—tak jest. Król Fryderyk niepomny praw narodów, niewypowiedziawszy nam wojny, nie mając najmniejszego powodu do najazdu, trzema kolumnami wkracza do Saxonii. Oto są z Berlina doniesienia jak najdokładniejsze. Ma czterdzieści tysięcy ludzi. Książę Ferdynand Brunświcki wszedł do księstwa magdeburgskiego a kwatermistrz i przednie straże na Halle, Lipsk, Borne, Chemnitz, Freiburg, Dippelswalde zmiierzają ku Dreznu. Król sam z wyborem żołnierza idzie po lewym brzegu Elby przez Wittembergę, Torgau, Meissen, zapewne na Kesseldorf.

Książę Bevern od Frankfurtu nad Odrą, przez Elsterwerde Budziszyn, Stolpen i Lohmen, dąży w okolice Pirny.

Rutowski porwał się z krzesła łamiąc ręce.

— A my przeciwko tym trzem oddziałom, mamy zaledwie...

— Trzydzieści tysięcy żołnierza! wybornego żołnierza—przerwał Brühl porywając papier ze stołu.—Tu stoi rachunek. Trzydzieści tysięcy...

Rutowski szybko z za munduru dobył inny papier.

— Hrabio, mylisz się i uwodzisz!—krzyknął—nie mamy połowy tego. Piętnaście tysięcy z ciurami, ani jednego więcej.

— To być nie może!—odezwał się Brühl.

— Tak jest! tak jest! Na papierze mieliście ich trzydzieści, ale ja wiem że połowy nie ma przy regimentach.

— Austrya—zawołał Brühl.

— To drugie złudzenie—przerwał Rutowski śmiało—z nami będzie to samo co z księciem Karolem Lotaryngskim pod Kesseldorfem; Austrya tak nas poświęci, jak jego dała na ofiarę.

— Nie może to być, nie może—począł Brühl. Dwór cesarski, mam najpewniejszą wiadomość, wysłał siły znaczne do Czech. Korpusem jednym dowodzi Broun, ten stanie pod Kolinem, drugim Piccolomini pod Königsratzem.

Generał Wied wykomenderowany zostanie do Peterswalde, aby nam podał rękę. My też wojsko nasze musimy zgromadzić w tej stronie.

— A Drezno?—spytał Rutowski—a król? królowa?

— Drezno! —uśmiechając się zawołał Brühl—pan hrabia się lękaś o Drezno! Drezna nikt się tknąć, nikt się do niego zbliżyć nie waży, choćby w niem nie było jednego człowieka. O Drezno ja jestem spokojny.

— A ja nie—rzekł Rutowski.

— Panie hrabio—odezwał się minister—proszę przypomnieć sobie, że gdy za ś. p. ojca waszego, Karol XII zajmował i nękał Saxonie całą, gdy mógł najłatwiej opanować stolicę, przecież się nie ważył nogą stąpić na próg jój, a gdy tu przybył, to z uszanowaniem i w gościnę. Jużciż Fryderyk nie będzie zuchwalszym od Karola XII?

— Wasza ekscellencya nie znasz Fryderyka, a ja służyłem w wojsku pruskiem i znam ducha jaki tam panuje—mówił Rutowski. W Karolu XII, jakkolwiek zdziczałym, było coś rycerskiego, było poszanowanie pewnych praw i przyzwoitości. Fryderyk który się z Pana Boga śmieje, z religii drwi publicznie, nie wierzy ani w piekło ani w niebo, a teraz już nawet, ani w pana de Voltaire swojego przyjaciela; nie poszanuje nic i wejdzie wszędzie, gdzie siłą wejść będzie mógł bezkarnie.

— Nie sądzę — rzekł Brühl głosem niepewnym.

— Mamy pierwszy dowód tego na wkroczeniu do Saxonii — dodał Rutowski.

— Król JMość już podpisał list, który natychmiast wysyłamy.

— List! — ruszając ramionami mruknął von Spörken — wyślijcie armaty, ale list! list nie poskutkuje pewnie.

— Zobaczmy — odparł Brühl — to są strachy człowieka, który sam się boi. Fryderyk II wie że naprzeciw siebie ma nie jedną Saxonję: ale Austryę, Francję i Rosyę; wie że jest zgubiony. Wiem jakie są jego plany: chce nas tą groźbą zmusić abyśmy szli z nim przeciwko Austryi.

Rutowski pokręcił głową tylko.

— Nigdy w świecie z Fryderykiem — dodał Brühl — za nic w świecie. Król JMość na to się nie zgodzi.

— A tymczasem Saxonja padnie ofiarą — rzekł hrabia.

— To chwilowa kryzys — gorzko odparł minister. — Fryderyk zgubiony, zrozpaczony, targa się jak hyena w klatce zamknięta, ale darmo! Prusy zostaną wymazane z rzędu mocarstw europejskich.

Rutowski ruszył ramionami znowu i milczał.

— Radźmy, panie generale — odezwał się po małym przestanku Brühl. Mojem zdaniem i zdaniem generała Nostiz, wszystkie nasze siły należy zgromadzić w obozie pod Pirną. Tam będziemy czekali, oparci o Königstein, dalszych wypadków. Fryderyk nie będzie śmiał. Generał Wied poda nam rękę, a przez niego utrzymamy komunikację z Bourem i Piccolominim.

Obejrzał się Brühl: nikt się nie sprzeciwił. Rutowski stał zamyślony.

— Jakże wy sądziecie panie hrabio?—spytał minister.

— Ja nie chcę mieć głosu aby nie brać na siebie odpowiedzialności—rzekł Rutowski.—JKMości służyć chcę i będę, ale w takiem położeniu w jakim się znajdujemy, z piętnastu tysiącami na czterdzieści, bez przygotowania, zaskoczeni niespodzianie, możemy bronić honoru tylko nie Saxonii.

— Panie hrabio! pan widzisz wszystko zbyt czarno. Za naszymi piętnastoma, przeciw Prusom staje kilkakroć sto tysięcy sprzymierzonych.

— Za pozwoleniem—przerwał Rutowski—traktat podpisany?

Brühl się zawahał.

— W tém była cała moja przebiegłość i polityka, aby go nie podpisać i nie dać pozorów do wojny. Traktat jest tak jak zawarty. Gdybym go podpisał, Fryderyk jutro miałby jego kopię, a tak..

— Wié tylko coście pisali do Wiednia i to mu wystarcza—zakończył hrabia—nie mówmy o tém. Na słowa dziś już nie ma czasu: co robić. Robić! robić!—dodał Rutowski—rozkazy! rozkazów trzeba.

— Tak jest—potwierdził baron Spörken.

— Obóz pod Pirną—odparł Brühl—pozycja jest doskonała! obronna, położenie nad które nie znajdziemy szczęśliwszego. Całe siły nasze pod Pirną. Pan generał zechcesz obmyślc...

Rutowski nie mówiąc słowa wziął za kapelusz leżący na stoliku.

— Idę, wysyłam rozkazy.

Brühl z pewnym niepokojem przeprowadził go do progu. Spörken począł chodzić po gabinecie. Hr. Loss, Stammer i Globig rozmawiali pocichu; Brühl powrócił czoło ocierając i padł na krzesło.

— Tak—rzekł—nie przeczę, jesteśmy w chwilowém za-kłopotaniu, ale kosztem tym pozbędziemy się raz tego nieprzyjaciela, któryby nam wiekuiście wpity siedział do boku. *Il faut en finir une bonne fois pour toutes.* Nigdy plan szczęśliwszy nie był obmyślany, nigdy zwycięstwo nie mogło być pe-

wniejszém. Niech wchodzi do Saxonii; bardzo dobrze: obszczymy go tutaj i weźmiemy. *S'en est fait de la Prusse!*

Gdy to mówił, twarz mu się stopniowo wyjaśniała.

Hr. Loss stał przed nim zadumany.

— Jak myślicie, archiwa sekretne należałoby wywieźć do Königsteinu?—zapytał.

— Po co?—rzekł Brühl.

— A jeśli wnijdą?

— Dokąd?

— Do Drezna.

Brühl się rozśmiał.

— Mówcie panowie co chcecie, jest to rzecz tak niemożliwa, tak niemożliwa...

Wszyscy zamilkli.

— Król chce sam być w obozie pod Pirną—rzekł zwracając się do Spörkena Brühl—napróżno usiłowałem go od tego odciągnąć. Mój Boże! ile go to zdrowia i spokoju kosztować będzie? Powiedział mi że jeśli Prusacy natrą, sam gotów do nich strzelać; ale Prusaków nie zobaczymy.

Rozśmiał się Brühl.

Marszałek dworu wszedł w tej chwili oznajmując, że obiad stygnął oddawna.

— Jeść zawsze potrzeba—odezwał się Brühl wstając—proszę panów z sobą do stołu.

I podawszy rękę hrabiemu Loss, wyszedł układając twarz do salonu, w którym hr. Moszyńska i hr. Sternberg i cały dwór jego nań oczekiwał.

Gdy się to działo w pałacu pierwszego ministra, około zamku gęstsze niż kiedykolwiek stały strażę. Służba była przebrana najtroskliwiej. Po korytarzach ukryte czatowały warty, na wschodach i w przedpokojach snuły się różne postacie, kosemi oczyma mierzące nietylko przechodzących przez pokoje, ale nawet ukazujących się w dziedzińcu.

Król August III siedział w swém krześle zadumany nieco, ale ukołysany już tak obietnicami posiłków przez Brühla, planem jego przeciw Prusakom, przedstawionym mu doskonałym stanem armii saskiej, której dla króla było zawsze trzydzieści tysięcy, iż myślał już więcej o księdzu kanoniku Crespi, o kupnacku Algarottego, o galeryi, o polowaniu, o różnych potaje-

mnych przyjemnostkach życia, które O. Guarini pod warunkiem tajemnicy rozgrzeszał, niż o Fryderyku II i Prusakach. W duchu też był przekonany, że ten Fryderyk nie mógł mu być tak nieprzyjaznym, że można go było ująć, ukołysać tymczasem, a potem do Brandeburga odesłać, żeby mu się niewiedzieć czego nie zachciało. August III czuł się tak silnym, iż chwilowy kłopot domowy nie zdawał mu się groźnym. W ostatnim razie alboż nie miał jeszcze Krakowa i Warszawy, i puszczy polskich i niedźwiedzi i wilków, a nawet żubrów, gdyby mu się ich koniecznie zachciało...

Wprawdzie szlachta polska nie wszystka mu była do smaku, naród był burzliwy i krzykliwy, zuchwały i niegrzeczny, a jednak między niemi byli ludzie choć do rany przyłożyc. Pałac Saski nie był nazbyt niewygodny... toż za Willanowem i za Pragą lasy, a w lasach zwierzyny moc.

I dumał król fajkę paląc a wzdychając niekiedy nad niezmierną niegrzecznością Fryderyka.

A w zamkowej ulicy pod bramami zbierały się potajemnie kupki ludzi. Szeptano sobie na ucho i spoglądano ku oknom zamkowym.

Nieopodal ztąd w sklepiku naprzeciwko, pod orłem białym, gospodarz pan Weiss, otyły, połyskujący Niemiec, z rękami na żołądku, rozmawiał z sąsiadką panią Krause.

— Powiadam ci panie Weiss, żem w zamku słyszała... idą Prusacy; król Fryderyk nasz, ewangelik...

— Co waćpani w głowie—uśmiechnął się Weiss—on, ewangelik, poganin. Wiem to najlepiej. Mają swój osobny kościół w Berlinie, do którego się zgromadzają nocami dla odprawiania swych obrządków. Kozła na ołtarzu czczą ze złoceniemi rogami.

— Ale pfe!—zawołała pani Krause—to nie może być!

— Wiem najlepiej od duchownych: z Francyi przyjeżdża ich arcykapłan.

— Otóż za to Pan Bóg karze! za to—odezwała się pani Krause.—Już były w tym roku znaki. Czy nie pamiętacie co się u nas działo w styczniu z 13 na 14? Sądnny dzień! Dachówki leciały jak liście, kominy się sypały, okna wyrywało,

koło Wilsdrufskiej mur wywaliło. A w lutym znowu jaka była burza? Czy kiedy co podobnego ludzkie oczy widziały?

— Tę pamiętam, bo w kilka dni potém spaliło się w Kaitz jedenaście domów — westchnął Weiss. — Ale do Drezna, nie-doczekanie ich, Prusacy nie przyjdą — dodał — mury mocne.

— Kto ich wie, jeśli z kozłem mają do czynienia, a czary na posługi... — I westchnęła Krausowa, dygnęła i poszła.

Około ratusza kilku mieszczan rozglądało się po ulicach.

— Kuryery latają jak oparzone — rzekł jeden.

— Trzech na Pirnajską bramę posłano; sam widziałem — odpowiedział drugi.

— Gdzież, mówią, Prusacy? — spytał trzeci.

— Kto to może wiedzieć? Plotą ludzie tak że człek głowę traci. Gadają jedni że już w Lipsku, drudzy że w Meissen, inni że w Stolpen.

— Nie może to być: wojny słyszę nie wypowiedzieli — rzekł jeden polityk.

— A co myślicie — odezwał się z boku inny — gdyby Saxonie i zajęli, albowy nam było gorzej?

Syknął któryś. — Bo już chyba nie może być gorzej. Ale drudzy znak dali aby milczał.

W tém Beguelin się zjawił, znajomy kilku.

— Panie Braun! — rzekł szybko — bierzże swój sér, na miłość Boga!

— A kto go będzie jadł, jeśli wojna przyjdzie?

— O to nie ma biedy — wtrącił drugi — spytaj lepiej kto go będzie płacił? Zjeść, zjedzą!

— Panie radzco — zapytał zcicha Braun — prawdażto że wasi nam Saxonią zajmują?

Beguelin stanął jakby niesłychanie zdziwiony.

— Kto? gdzie? oszaleliście czy co! ja nic nie wiem. I odszedł szybko.

Do późnej nocy trwał ten ruch niespokojny w ulicach. Wieczorem, że się bez rozrywki obejść niepodobna, król w Jägershofie wyprawił sobie strzelanie do celu. W Gewarghausie dworscy komedyanci niemieccy, grali przedziwnie wesołą sztuczkę.

Lecz tego dnia pan Ksawery Masłowski nie potrzebował dla rozrywki iść do teatru: dosyć mu było w pałacu Brühla i w ulicach przysłuchiwać się i przypatrywać skutkom ogólnego popłochu. Ktoby go był widział prychającego kiedy niekiedy, gdy śmiechu wstrzymać nie mógł, myślałby że istotnie coś nadzwyczaj szczęśliwego mu się trafiło.

Wychodził właśnie z pałacu zamyślając iść wcześniej do domu, aby nieszczęśliwemu Simonisowi dotrzymać towarzystwa, gdy Blumli się do niego przyłączył.

Zmieniony był i smutny. Zrana z powodu Simonisa, musiał przebyć złą chwilę: posądzono go o współnictwo, przetrząśniono mu dom i papiery i tylko opiece hrabinéj, która zań zaręczyła, winien był iż cały wyszedł a swobodny.

— Patrzajże panie Ksawery — rzekł do niego — com odpokutował za tego człowieka? Ale któżby się był tego po nim spodziewał!

— W istocie — odparł Masłowski — miał taką minę jakby trzech zliczyć nie umiał.

— I niezręczny, w dodatku! — zawołał Blumli — dać się złapać na pierwszym kroku.

— Jako złapać? — przerwał Masłowski.

— Jego jeszcze nie złapano, ale listy — mówił Blumli — a co się z nim stało?

— Jak się wam zdaje? co się z nim stać mogło? — spytał Masłowski.

— Kto go wie! Wymknął się pewnie z pomocą baronów lub baronównéj.

— Taby go była nie ocaliła — rzekł Masłowski — nadto dobra Saxonka.

Blumli mówiąc szedł ciągle jak gdyby w zamiarze odwiedzenia Masłowskiego. Panu Ksaweremu zaczynało być przykro.

— Idziecie do domu? — spytał Szwajcar.

— Ja? niekoniecznie: wolałbym się powłóczyć jeszcze.

— A jabym się do was wprosił w gościnę na kilka godzin — dokończył Blumli — do domu nie chcę iść. Któż wie? może im przyjść fantazyja i po mnie przysłać, tymczasowo na odwach wsadzić: wolę u siebie nie być.

Masłowski się zmieszał widocznie.

— U mnie taki nieład! — rzekł — Fuchsowa właśnie zabrała się szorować i robić porządek.

— Musiała go skończyć — rzekł Blumli — już ciż polak niegościnnym być nie może. Czyżbyście mnie u siebie przyjąć nie chcieli. Czy się obawiacie?

W dwie drażliwe struny trącił Szwajcar: w gościnność i odwagę. Masłowski aż się rzucił.

— Nie mówcież mi tego! — zawołał. — Idę przodem o dwa kroki, abym Fuchsowój nakazał corychlój izbę oczyścić: proszę za mną.

Pobiegł pan Ksawery i pędem skoczył na górę, drzwi znalazł zamknięte i pięściami bić w nie począł. Nie rychło jednak Simonis mu otworzył.

— Zamknij się w sypialnym pokoju — krzyknął pośpiesznie go popychając. — Nie mogłem się odzwać od Blumlego, który tu idzie. Ruszaj i siedź cicho!

Zaledwie drzwi się zamknęły za kawalerem, który do alkowy umknął, Blumli był na progu.

— Fuchsowa dziś nie robiła porządku, chwala Bogu — odezwał się Masłowski — zajęta jest Prusakami. Całe miasto o nich gada. W sypialnym tylko pokoju nastawiała mi konewek i balij.

— Siadajcie!

Masłowski posłał po wino i owoce i siedli tak gwarząc, a gospodarz z wielką pilnością chodził około drzwi zamkniętych, lękając się aby Blumli nie przyszła fantazyja zajrzeć do balij i konewek. Jakby naumyślnie Szwajcar rozwodził się nad niegodziwą zdradą Simonisa, nad podwójną rolą jaką odegrywał, nad kłopotem jaki z tego powodu miała stara baronowa. Słowem, nie żałował go wcale, a ukryty w izbie obok wszystkich tych narzekań słuchać musiał.

— A! — zawołał w końcu Blumli — gdyby mi popadł w ręce! Nie zaręczam cobym zrobił? Dla oczyszczenia samego siebie oddałbym go Brühlowi; przecieżby go nie powiesili, a niechby się raz strachu najadł, drugi raz byłby ostrożniejszy.

Hrabina mówiła mi dziś rano, że gdyby wpadł w ręce sprawiedliwości, prosiłaby męża o surowość: jest oburzona.

Wśród tej rozmowy, zdawało się Masłowskiemu jak gdyby okno w alkowie brzęknęło, jakby ruch jakiś dał się w niej

słyszec. Zagadywał jak mógł Szwajcara i głużył go, lecz zbyt blisko drzwi siedzieli żeby rozmowa ujść miała uszu nie-szczęśliwego.

Dwie długie godziny tak przeszło.

— Teraz, gdy już noc nadchodzi—odezwał się Blumli—pójdę do Miny, ona mnie przechowa. Wątpię żebym tam dziś Brühla zastał: nadto ma na głowie.

Pożegnali się; Masłowski go na wschody wyprowadził i co najprędzej wrócił do pokoju, aby Simonisa uwolnić. Otworzył alkowę, spojrzął: okno stało na oścież... począł szukać po ką-tach, nigdzie Simonisa ani śladu, tylko koniec skręconych prze-ścieradeł białą przywiązany do listwy, a spojrzawszy w ogród dojrzał pan Ksawery końców sznura na gałęzi starzej gruszy.

— Skorzystał z mojej instrukcyi doskonale—rzekł wcią-gając prześcieradła—a jeśli go teraz gdzie pochwyca, jam nie winien!...

I rozśmiał się na całe gardło.

KONIEC TOMU I-GO

RELIGIA POZYTYWNA,
CZYLI NOWA POWSZECHNA RELIGIA
LUDZKOŚCI.

ROZBIÓR DRUGIEJ POŁOWY DZIAŁALNOŚCI UMYSŁOWEJ COMTE'A.

Z POWODU NOWEGO WYDANIA JEGO KATECHIZMU.

NAPISAŁ

Seweryn Smolikowski.

(D o k o ń c z e n i e).

Chociaż Comte w ogóle wygłasza przepisy nowój religii bar-dzo stanowczo i na każdym niemal kroku zdradza despotyczne swe usposobienie względem przyszłych wyznawców pozytywizmu, to je-dnakże mówiąc o kulcie prywatnym, (culte privé) zmienia nieco ton mowy a nawet przymusza się do nader wielkiej jak na niego tolerancyi. I tak wszystkie wymienione dotąd obrzędy, to jest zarówno modlitwa

jak i sakramenta, tworzą moralny tylko obowiązek, który jednakże będzie wpajany w młode pokolenia przez odpowiednie wychowanie i podtrzymywany przez opinią publiczną.

Żeby w spełnianiu tych praktyk duchownych nie było nawet cienia przymusu, jednocześnie z temi przepisami religijnymi istnieć będą i odpowiednie obrzędy cywilne obowiązujące każdego i mające sankcją w prawnym przymusie.

Swoboda ta w przystępowaniu do obrzędów ustanowionych przez nową religię ludzkości, odnosi się zarówno do wszystkich sakramentów. I tak np. co do małżeństwa, albo też co do *admissyi* i *der-tynacyi* (trzeciego i czwartego urzędu sakramentów), można nie żądać uświęcenia tych ważnych, zdaniem Comte'a chwil w życiu obiektywném człowieka, ale natomiast zachować koniecznie należy odpowiednie im przepisy cywilne, które przez same państwa wkrótce mają być ustanowione; przepisy łatwiejsze do spełnienia, ale też i obowiązkowe.

Słowem w wykonywaniu praktyk religijnych tylko moralny przymus istnieć będzie; pomimo bowiem despotycznej swęj natury, Comte czuł to dobrze, że w rzeczach wewnętrznego przekonania nie można nikomu narzucać obowiązków. I to wiele i bardzo wiele jak na niego, że umitygował swój zapal rozstrzygania absolutnego kwestyi, zwłaszcza przy tém pojęciu znaczenia społeczeństwa wspólném mu ze wszystkiemi socyalistami; pojęciu przy którym jednostka znika w ogólnej massie ludzi. Niewolno jęj bowiem myśleć o sobie i dla siebie, ale wszystko poświęcić winna dla wymarzonej idei, dla owego ogółu, który istnieje tylko *in abstracto*, bo któż pytam korzysta wtedy z tych poświęceń wszystkich dla ogółu? Jest to podobny paradox jak owe marzenia *Rousseau'a* o wynalezieniu takiej formy państwowej, opartej na swobodnej umowie społecznej (*contract social*), w którejby każdy ulegając woli ogółu (*la volonte generale*) słuchał tylko sam siebie.

Comte jednakże inaczej rozumie to pojęcie ogółu, tę oderwaną ze świata rzeczywistego istotę. Na zapytanie: kto wtenczas korzysta z pracy wszystkich? Comte a za nim wszyscy wyznawcy pozytywnej religii, odpowiedzą jednogłośnie: ludzkość. Ale jakaż to ludzkość, spytamy znowu? Nie obecne nam społeczeństwo, nie dzieci ani wnukowie nasi, nie przyszłe choćby najodleglejsze pokolenia nasze, ale idea ludzkości, owa *wielka istność*, owo pojęcie, na które składają się minione i przyszłe wieki, odpowiedzą jeszcze pozytywiści. Jednem słowem pracować winniśmy dla istoty, pojęcie której bardziej jest oderwane, niż najwięcej metafizyczne produkcyje myśli heglistów, kantystów i t. d. bo, jak sam Comte mówi, istotę tę stanowią bardziej umarli niż żyjący, bardziej subiektywne niż obiektywne istnienie. Zrozumielibyśmy jeszcze to pojęcie ludzkości w znaczeniu idei Platona, ale, ponieważ Comte stanowczy wziął rozbrat ze wszelkiemi myślaniami metafizycznymi, ponieważ filozofów idealne budujących syste-

maty uważa po prostu za waryatów, przyznajemy, że trudno nam zrozumieć tę par excellence ludzkość jego metafizyczną, jeśli tylko w tém dopatrywać głębszej jakiejś myśli, a nie czczej gry wyrazów i dziecinnego mamidła dla przyszych swoich wyznawców, jakim jest jedynie, zdaniem naszym, i bóstwo Comte'a, i jego sakramentologia i wreszcie jego nieśmiertelność duszy, jakkolwiek „udoskonalona“ i „uszlachetniona.“

To pojęcie idei społeczeństwa, jako panującej istoty, którym Comte szczyli się niepomiernie jako nieocenionym wynalazkiem, nie jest zresztą niczém nowem: jest to po prostu zwrot do przeszłości, jakby potwierdzenie „*Ricorsi*“ *Vico*'na. Jest to pojęcie świata starożytnego, pojęcie *Platona* i *Arystotelesa*, z tą różnicą, że zamiast przewagi państwa nad jednostką, Comte chce społeczeństwo postawić jako jednolitą całość, pochłaniającą w sobie indywidualia. Jest to poniekąd i pojęcie Rzymu pogańskiego (mówię tu naturalnie o przewadze państwa) jakkolwiek tam widnieje już *Civis Romanus*, obywatel; nie jest to jeszcze uznaniem praw człowieka, ale przynajmniej praw obywatela kraju, to jest uprawnionego przez państwo członka jego.

Słowem ten ogromny przełom, jaki chrystyanizm w dziejach spowodował, to podniesienie jednostki, wyrwanie człowieka z pod przemocy państwa, w którym indywidualium ginęło, znikало w zupełności, jest zapoznanem przez religią pozytywną, przez religią mianującą się odrodzeniem ludzkości (la régénération de l'humanité); podobnie jak zapoznają tego postępu w przekonaniach ludzkich, postępu, który o tysiąc z góry lat dźwignął najprzód narody, i wszystkie teorie socjalistowskie, wszystkie systematy sztucznego przekształcenia ustroju społecznego.

To więc, co stanowi wykwit tyłowiecznej cywilizacji europejskiej, co rozwijało się w dziejach kosztem walki i cierpień całych narodów, co stanowi nieodłączną już i nigdy odtąd nie zapoznaną zdobycz, prawdę całej ludzkości, jednym słowem owe wielkie, przyznane każdemu człowiekowi prawo rozwoju swobodnego własnej swój istoty; Comte usiłuje zniweczyć jednym pociągiem pióra. Zajaśniały dla niego w dali złote czasy (l'âge d'or) o których głosili socjaliści, obala więc wszystko, co, zdaniem jego, krępowałoby rozwój i zbliżanie się ku owej jutrzence odrodzenia się człowieczeństwa, wszystko, co dotychczas zdobyła ludzkość w pochodzie swym dziejowym. I jak niegdyś poprzednicy Chrystusa, przygotowując narody do przyjęcia nauki „boskiego ich Mistrza,“ powoływali je do pokuty, ukazując strapionym i cierpiącym niebo; tak i Comte woła o wytępienie w sobie egoizmu, o przejęcie się uczuciem poświęcenia się dla wszystkich, o zapanowanie „*altruizmu*,“ owego najwyższego objawu szlachetnej strony człowieka, a w nagrodę obiecuje im „życie subiektywne“!

Jakaż to ironia, jaka niepojęta pewność siebie, jakie zaślepienie!

A jednak w zasadzie Comte pragnie swobody dla człowieka, i dlatego wrywa go nawet z pod opieki państwa; ale po co?, oto by go wtłoczył pod jarzmo społeczne, pod jarzmo religii ludzkości, bo kto nie żył wedle zasad wypowiedzianych bądź co bądź przez jedną tylko kastę, przez jedną małą cząstkę społeczeństwa, to jest przez kapłanów-filozofów, stanowiących przedstawicieli myśli całej ludzkości, ten potępiony, ten nie żył moralnie, ten nie istniał wcale.

Rousseau płakał niegdyś nad skutkami cywilizacji, którą chciałby obalił dla uratowania ludzkości od smutnych jej następstw; pragnął on żelaznego ramienia dla narodów despotycznych rządów nie w formie wprowadzenia ale w rezultatach, jednym słowem wierzył w obowiązek państwa zmuszania ludzi być szczęśliwymi; dlatego też podobnie jak Comte uważał on za konieczne ustanowienie religii państwowej (la religion civile), nieuznawanie jednego z trzech zasadniczych dogmatów ¹⁾ której, byłoby karane wygnaniem z państwa, niezastosowywanie się zaś do takowych po ich uznaniu, śmiercią ²⁾.

A *Saint-Just*, a *Robespierre*, a *Rabaut Saint-Etienne*, i t. d., a *Baboeuf* wreszcie, czyż nie pragnęli dobra ludzkości, czyż poświęcając pojedynczych ludzi dla idei, jaką sobie o społeczeństwie wytworzyli, nie działali ze szlachetnych pobudek? Czyż nie wychodzili oni z tychże zasad co i August Comte? Cała różnica ich teorii w jej zastosowaniu tylko: jedni, żyjąc w czasach spokojnych i normalnych, drogą łagodności i nauczania rozszerzali swe teoryje; drudzy, kataklizmem dziejów wyrwani na widownię ruchów ludowych, czując za sobą massy, nie przebierali w środkach, nie wyczekiwali dalekich owoców swego nauczania, ale nóż i pochodnię porwawszy w dłonie, głosili światu swobodę i spokój, szczęście i raj.

Wszyscy oni, jak niegdyś Plato praojciec w tym względzie utopistów, ³⁾ przekonani byli, że obowiązkiem państwa jest prowadzenie

¹⁾ *Du Contrat Social*, Liv. IV. Chap. VIII. Dogmata te zasadnicze, zdaniem Rousseau'a są następujące: „L'existence de la Divinité puissante, intelligente, bienfaisante, prévoyante et pourvoyante, la vie à venir, le bonheur des justes, le châtement des méchants, la sainteté du contrat social et des lois.“

Prócz tych głównych dogmatów „pozytywnych“ jak je Rousseau nazywa, ma on jeszcze i negatywne (les dogmes négatifs), które wszystkie zbija on w jeden *l'intolérance*.

²⁾ L. c. Sans pouvoir obliger personne à les croire (mówi tu o dogmatach), il peut (to jest panujący) bannir de l'état quiconque ne les croit pas;... etc.“ Dalej mówi Rousseau:

„Que si quelq'un, après avoir reconnu publiquement ces mêmes dogmes, se conduit comme ne les croyant pas, qu'il soit puni de mort; il a commis le plus grand des crimes, il a menti devant les lois.“

³⁾ *Louis Reybaud* w klasycznym swém dziele o nowoczesnych socyalistach słusznie zauważył: Le plus grand, le plus sublime des eutopistes appartient à la philosophie grecque. C'est Platon. Sa République imaginaire

jego obywateli do szczęścia: inna rzecz w czém oni szczęście upatrywali; większość jednakże idąc za Platonem, widziała je w cnocie a raczój w rozwoju harmonijnym wszystkich cnót. Zmuszanie więc ludzi, aby byli szczęśliwemi, oto, ich zdaniem, zadanie najszczytniejsze, najwyższy cel państwa. W obec tój wzniosłej misyi jego, naturalnie nie było środka, któryby nie zdawał się im być dozwolonym, nie było przymusu i repressyi, któreby nie wydawały się mało skutecznemi lub zbyt łagodnemi.

Otóż podobnie i *Saint-Simoniści* chcieli ustanowić despotycznego arcykapłana; *Fourrier* zamieniwszy wszystkich w robotników, poddawał ich pod dozór rozmaitych Archów, począwszy od Unarecha do Omniarcha. Tak samo tóż nareszcie i August Comte pragnie poddania się ślepego władzy swego arcykapłaństwa niczem nie kępowanej; tym bowiem sposobem jedynie ma on nadzieję utrzymać charakterystyczną swą *jednolitość*, zmusić wszystkich do uznania jego teoryi społecznej, najbardziej może despotycznej i absolutniejszej od wszystkich znanych nam urządzeń fantastycznych państwowych; jednym słowem wymaga on, by społeczeństwo zastosowało do życia to, co spodobało mu się o ludzkości wymyśleć.

Nie od dziś, nie od wczoraj więc, jak widzimy, występują te marzenia w rozwoju historyi; od „Rzeczypospolitej“ Platona do najnowszych systematów socjalistów i komunistów widać w pochodzie dziejów tę samą nić przeciągniętą bez przerwy.

Jednakże zastosowanie tych teoryj, budowanych przy świetle lampy nocnej, pod wpływem marzeń pogrążonego w swym fotelu filozofa, lub rodzących się w ustroniu sielskiém, zdala od ludzi, o naturze których zapomina się, nie widząc ich zbliżka; zastosowanie powtarzam, wprowadzenie w życie tych teoryj, gasnących razem ze światłem dziennem i rozpraszających się w miarę przyjrzenia się naturze ludzkiej; zastosowanie ich do społeczeństwa, datuje dopiero od pierwszej rewolucyi francuzkiej. Niewidziany dotąd w dziejach przełom w ustroju państwa, wpoił w ludzi wiarę w możność przeprowadzenia idei nagle, nie pytając się o wolę ogółu i ustrojenia tym sposobem ludów w szaty choć święteczne, absolutnie jednak dla nich skrojone.

Rok 1789 i 1848 oto arena popisu dla „przespoleczniaaczy;“ Ameryka oto miejsce próby, gdzie nowe zakładają się koła ludzi, nowe uspołecznienia, nowe sztuczne państewka.

I dziwna rzecz, że tylokrotne usiłowania spełzły na niczém, tyle przykładów niemożebności zastosowania do życia społecznego

a defrayé presque toutes les fictions sociales qui se sont succédé depuis lors. (*Etudes sur les reformateurs ou socialistes modernes*. Paris. 1856 t. I. str. 45). Co zaś do związku pojęć świata starożytnego a mianowicie Platona z pojęciami nowszych socjalistów i komunistów, patrz nader trafne uwagi *Pawła Janet* w dziele jego: *Histoire de la science politique dans ses rapport avec la morale*, Paris. 1872 tom II str. 702.

tego, co stwarza bujna wyobraźnia marzycieli, że jednym słowem historia nie przekonała tych pseudoorganizatorów: że ludzkość kroczy po wytkniętej jej przez Opatrzność drodze, że państwa nie są sztucznym wytworem woli pojedynczych ludzi; że są wszakże prawa rozwoju dziejów, że warto przecież zastanowić się nad naturą rzeczy („la nature des choses“ *Montesquieu*'go), nad naturą człowieka, nad jego istotą, a nie arbitralnie wszystko chcieć przerobić, wszystko podług swoich teorii urządzać.

Co do obrządku publicznego (*culte public*) takowy zależy na objawianiu czci ludzkości w jej świątyniach.

Szczęściem Comte nie opisuje szczegółowo tych przybytków kultu pozytywnego, jest bowiem tego zdania, że wprzód powszechna jego religia powinna przeniknąć wszystkie warstwy społeczne, nim te wynajdą odpowiednie dla ich przekonań i gustu, styl tych budowli i wewnętrzne ich urządzenie. Tymczasem radzi on użyć istniejących już kościołów, jako pozostałości teologizmu i takowe zastosować do potrzeb nowej wiary.

Bardzo chwali Comte zwyczaj mahometan zwracania się w jedną stronę świata przy modlitwie, bo to, zdaniem jego, uwydatnia „rozzwiewiającą solidarność” we wspólnem ubóstwianiu Najwyższej Istoty; otóż i kościoły pozytywistów w tymże celu zwrócone będą ku „*metropolii świata*”, na którą głos przekonania powszechnego wskazuje Paryż. Tym sposobem na całej przestrzeni naszej planety, samo już jednostajne położenie świątyni przedstawiać będzie tę „uniwersalność” która, zdaniem Comte'a, cechuje pozytywizm.

Przybytki ludzkości mają nadto wznosić się wśród cmentarzy, i to tak, aby je okalały groby najzasłużonych mężów a to dla tego, że „Ludzkość” owe bóstwo religii pozytywnej, składa się przeważnie z zasłużonych zmarłych jej członków (str 126.).

Nie będziemy przytaczali wszystkich uwag Comte'a o tém, jak ma być urządzone wnętrze kościoła pozytywnego; dość wspomnieć, że między innymi rzeczami, będą tam i popiersia sławnych kobiet i jakieś wzniesienie, jakoby ołtarz ludzkości (*la tribune sacrée*), i różnobarwne chorągwie ruchome dla pochodów uroczystych, niby procesyi przeznaczzone (*marches solennelles*). Słowem wszystkie działy sztuki pięknych: architektura, malarstwo, rzeźba, muzyka, i poezja, wszystko to złoży się na uczczenie ludzkości, symbolem której będzie zawsze i wszędzie kobieta w trzydziestym roku życia, trzymająca w swych objęciach syna. Wyższość religijna płci pięknej usprawiedliwia zdaniem Comte'a, ten emblemat, przedstawiający mężczyznę pod „świętą opieką kobiety”.

Nie godzi się co prawda wysmiewać obrzędów jakiegokolwiek bądź religii, obrzędów, które zawsze wypływają z chęci uczczenia publicznie Najwyższej Istoty, w którą wierzą i którą ubóstwiają jej wyznawcy; ale czyż można zachować powagę w obec przepisów katechizmu Comte'a?, w obec tych drobiazgowych urządzeń tego kultu, któ-

ry możnaby nazwać komedią teatralną, bezwiedną ironią i naigranowaniem się ze wzniosłych porywów serca ludzkiego, ale nigdy, przecnie nigdy religią i to jeszcze „religią ludzkości”. Czytając zwłaszcza to, co Comte mówi w rozbieranym przez nas części katechizmu o sposobie zachowania się wiernych w świątyniach pozytywizmu, jakżeż podziwia się tę powagę, z jaką Comte wygłasza swoje niedorzeczności, a jeszcze więcej tę pewność siebie, ten charakter wyroczni, który go nie opuszcza ani na chwilę.

Tu bowiem występuje w całej pełni ów znak „charakterystyczny (bo wszystko u Comte'a jest charakterystyczne), mający zastąpić żegnanie się krzyżem świętym w świecie chrześcijańskim, ów znak stokroć wymowniejszy, zdaniem jego, niż wszelkie słowa, znak który odróżniać odtąd będzie wyznawcę pozytywizmu. Każdy np., wstępujący w progi świątyni nowej religii, wygłaszać będzie zasadniczą formułę pozytywizmu, o której już mówiliśmy, ale nie słowy, tylko właśnie temi znakami charakterystycznymi, a to wskazując kolejno ręką te części głowy, w których mieści się substancya mózgowa, będąca siedliskiem miłości, porządku i postępu.

Znakologia ta oparta jest na teorii mózgu *Galla* i *Spurzheima*, rozwiniętej jednak i udoskonalonej przez Comte'a, jak sam się wyraża. Odszliśmy ciekawych w tym względzie do jednej z tablic dodanych do katechizmu pozytywnego, tej mianowicie, w której numerami oznaczone są wszystkie części mózgu, powodujące odpowiednią działalność naszych uczuć i usposobień, myśli i woli. Comte'owi widocznie zdawało się, że wszystkie objawy ducha wyczerpał, określiwszy je liczbą 18; to też, zdaniem jego, dość będzie wypowiedzieć w świątyni numer odpowiadający uczuciu lub myśli wyrażonej w tablicy mózgowej, by objawić swe usposobienie dla bóstwa, by publicznie wypowiedzieć uczucia, jakie powstają w danej chwili w sercu naszym względem ludzkości. Widać z tego wszystkiego, że Comte przypuszczał, iż każdy z pozytywistów będzie miał w pamięci wszystkie tablice, przedstawiające teorię pozytywizmu. Nie zazdrościmy tego trudu jego wyznawcom, praca to niemała, wątpimy nawet, czy wszyscy oni będą w stanie rozumieć te cyfry, które mają publicznie wypowiadać.

To przebieranie czaszki palcami, zapewne w ten sposób jak się gra na fortepianie, jest zdaniem Comte'a, nierównie wymowniejsze, aniżeli wszystkie oznaki czci wyznania katolickiego i religii mahometańskiej. Zgodzilibyśmy się na to najzupełniej, jeźliby to miało służyć za środek rozweselenia widzów.

Kapłani noszący zwyczajnie charakter filozofów, w świątyniach ludzkości jednak pod wpływem ekstazy, w chwilach ważnych życia narodów, stawać się będą nawet wieszczami ludzkości, wygłaszając improwizację i przewodnicząc tym sposobem ogólnemu wylaniu uczuć (*effusions générales*)

Celem kultu publicznego prócz uczenia ludzkości jest zarazem wpojenie w serce i umysły pozytywistów zasad, które mają kie-

rować życiem ich obiektywném, a to przez przedstawienie im ideału uspołecznienia ludzkiego. Ztąd rok pozytywny (l'année positiviste) dzielący się na 13 równych miesięcy, po dni 28 każdy, wypełniony jest odpowiedniami świętami, z których *główne* przypadają raz na miesiąc, a *mniejsze* co tydzień. Uroczystości miesięczne są nadto trojakiemu rodzaju, bo dzielą się na tak zwane 3 „*serie socyolatryczne*” a to w miarę tego, czy przedstawiają one zasadnicze, istotne węzły społeczne, na których opiera się wspólne pożycie ludzi; czy wyobrażają szereg stanów przygotowawczych, przez które ludzkość przejść musiała, owe konieczne studia rozwoju społeczeństwa; czy wreszcie idealizują tak zwane *funkeye normalne*, któremi objawia się życie społeczne.

Pierwszy rodzaj tych uroczystości obejmuje 6 początkowych miesięcy, z których pierwszy przeznaczony jest na cześć *Ludzkości*, owego symbolu jedności, od którego wszystko bierze początek i w którym wszystko ginie. Następne miesiące czczą po kolei 5 *stosunków elementarnych* (relations élémentaires) czyli węzłów społecznych, idących po sobie w rosnącym stosunku ich powszechności (généralité) a w malejącym co do siły uczucia, jakie je ożywiać winno. Tę zasady hierarchicznój Comte nigdy nie opuszcza z widoku, ilekroć idzie o systematyzowanie czegoś, lub grupowanie, czyto objawów uczucia, czy działalności ludzkiej umysłowej. I tak więc drugi miesiąc poświęcony jest małżeństwu, trzeci ojcowstwu, czwarty przywiązaniu, jakie rozwija się w rodzeństwie, piąty uczuciu braterstwa powszechnego, szósty nakoniec przywiązaniu spowodowanemu wspólnim mieszkaniem, np. sług względem panów, czeladzi względem majstrów, a któremu to uczuciu nadał Comte ogólną nazwę *La Domesticité*. Bardzo wysoko podnosi on ten rodzaj przywiązania i uważa go nawet za łącznik między rodzinami a obywatelskimi uczuciami.

Co do stanów przygotowawczych, mających na celu rozpamiętywanie historii ludzkości, to takowe przedstawiają 3 po sobie następujące miesiące, w których stopniowo idealizują się 3 doby dziejów: *Fetytyzm*, *Politeizm* i *Monoteizm*. Miesiące zaś 10, 11, 12 i 13 poświęcone są uczczeniu czterech, jak je Comte nazywa, „klas zasadniczych” tj. następujących stanów społecznych: *uczuciowego*, *myślącego*, *patryjuszowskiego* i *plebejuszowskiego* (str. 130). Pierwszy z tych stanów przedstawia kobieta, którą Comte nazywa *opatrnością moralną*; drugi duchowieństwo pozytywne, noszące także nazwę *opatrności umysłowej*. Patrycyat i Proletaryat mają także odpowiednie nazwy, i tak pierwszy jest *opatrnością materialną*, a drugi *powszechną* albo *ogólną*.

Oto przedmioty tak zwanych „trzynastu uroczystości miesięcznych”. Ideę, którą każda z tych uroczystości wyobraża, święcą w kościele pozytywnym w ciągu całego miesiąca, głównie jednakże w czterech uroczystościach tygodniowych, tak, że w całym roku pozytywnym wszystkich świąt wypada tyle, ile tygodni, to jest 52.

Nie będziemy po szczególe opisywać wszystkich tych świąt, ciekawych odsyłamy do samego katechizmu Comte'a, zwracając przytem ich uwagę na tak zwaną przezeń *tablicę socyjaltryczną*, przedstawiającą plastycznie część ludzkości w rozmaitych fazach roku, tablicę, którą Comte bardzo ceni i nawet nazywa ją czasami „świętą”. Dodamy tylko, że tak dnie tygodnia, jak i wszystkie uroczystości religii pozytywnej są nieruchome, a to przez oznaczenie każdego dnia odpowiednią stałą nazwą i przez ustanowienie dwóch tak zwanych *dnów wyjątkowych*, to jest dnia zakończającego rok pozytywny i dnia dodawanego w razie gdy rok jest przestępnym. Nadto tak jak pierwszy dzień roku poświęcony jest czci ludzkości w ogóle, tak znowu ostatni stanowi jakby Dzień zaduszny (*Fête universelle des Morts*); w dniu zaś dodawanym w przestępnym roku wielbi się specjalnie pamięć zasłużonych niewiast (*Fête générale des Saintes-Femmes*).

Kalendarza tego nie należy jednak mieszać z innym, jaki u Comte'a spotykamy, a którego tak on sam, jak i jego wyznawcy używają do oznaczania czasu. Różnica między niemi jest ta, że pierwszy, jaki już przedstawiliśmy, jest ogólną kanwą, tłem, na którym przyszli wyznawcy pozytywizmu, stosownie do czasu i okoliczności, nakreślą może kiedyś bardziej szczegółowe i obrazowe święta oraz reguły ich kultu. Drugi zaś, noszący nazwę nie *abstrakcyjnego* jak poprzedni, ale *konkretnego* kalendarza, przedstawia przebieżoną już historią, jest dokładnym obrazem dziejów i święci w 13-u równych miesiącach pracę przygotowawczą całej ludzkości (*préparation humaine*). Jako wynik historii jest on niezmierny, że zaś dla społeczeństwa dopiero teraz, zdaniem Comte'a, otwiera się pole właściwego, normalnego, to jest pozytywnego życia, ztąd zdaje się, że okaże się wkrótce potrzeba albo zmienić go albo dodać nowe miesiące.

Ostatni miesiąc, przedstawiający najwyższy szczebel rozwoju umysłowości nowożytniej, naturalnie poprzedzający pozytywizm, nosi ogólną nazwę *Bichat*; jestto wyobrażenie stanu nowoczesnej umiętności, w czterech świętach tygodniowych; czci on pamięć głównych jej przedstawicieli, za jakich uważa Comte: *Galileusza, Newton'a, Lavoisier'a* i *Galla*. Dnie zaś powszednie tegoż miesiąca noszą nazwę: *Kopernik, Kepler, Euler, D'Alembert, Berzeliusz, Linneusz* i t. d.

Wszystkie miesiące mają podobną temu ostatniemu ogólną swą nazwę zacząwszy od *Mojżesza, Homera, Arystotelesa, Archimedesza, Cezara, S-go Pawła, Karola W.*, a skończywszy na *Szekspirze* i *Fryderyku W.* I święta tygodniowe, odpowiadające niedzielom naszym, noszą odpowiednie nazwy: *Numma, Buddha, Konfucyusz, Mahomet, Thales, Sokrates, Plato* i t. d. Podobnież i każdy dzień w tygodniu poświęcony jest pamięci sławnych ludzi, wpływ których jednakże nietyle był wielkim jak owych osobistości miesięcznych; są tu i święci chrześcijańscy, i filozofowie, i poeci, historycy i filolodzy znakomitsi, znani matematycy i uczeni, sławni strategicy i mężowie stanu: sło-

wem przedstawiciele wszystkich działów wiedzy ludzkiej i sztuk pięknych.

Tablica ta jest bardzo dowcipnem a nieraz nawet trafnem choć jednostronnem przedstawieniem dziejów umysłowości ludzkiej. Jest ona właściwie rezultatem *dynamiki socyalnej* Comte'a, mającej odpowiadać filozofii historyi, a która wypracowaną była w ostatnich trzech tomach jego Kursu pozytywnej filozofii i w 3-im t. *Polityki pozytywnej*. W katechizmie zaś Comte'a ten kalendarz historyczny podany jest raz dla przypomnienia wyznawcom nowej religii pozytywnej rozwoju dziejów (*la théorie d'évolution*), stanowiącej najważniejszy dogmat wiary pozytywnej; z drugiej zaś strony, jako przedstawienie plastyczne całości dziejów i potwierdzenie tym sposobem prawdziwości praw wykrytych przez Comte'a. Ostatnie też dwa rozdziały rozbierané przez nas książki, przedstawiające historję pojęć religijnych w ogóle, nie są niczém inném, jak szczegółowém objaśnieniem tój tablicy dziejów. Historia ludzkości bowiem czyli historia w ogóle jest, zdaniem Comte'a, głównie historją pojęć religijnych, rozwijających się z nieubłaganą koniecznością wedle znanego prawa Comte'a o trzech stanach ludzkiego umysłu, to jest przechodzących stopniowo przez stan teologiczny i metafizyczny, nim w końcu dojdą do ostatecznego swego rozwoju, na jakim stawia je stan myślenia pozytywnego.

Nie będziemy tu rozbierali, ani dogmatów nowej religii socyalnej, ani odpowiedniego jój ustroju społecznego; ani też myślimy zbyt szczegółowo rozpatrywać prawideł i wskazówek, jakie daje katechizm pozytywny dla życia rodzinnego i społecznego (*Régime privé et public*). Pierwsze bowiem, to jest przedstawienie dogmatów religii pozytywnej, jest to właściwie streszczenie tylko głównych, kardynalnych zasad pozytywizmu a raczjéj systemu jaki Comte podał za takowy w pierwszym i zasadniczém swém dziele noszącém nazwę „Kursu filozofii pozytywnej.“ Spotykamy tu więc i znane zasadnicze jego prawo przechodzenia ludzkiego umysłu, zarówno w jednostkach, jak i społeczeństwach, przez 3 fazy rozwoju: teologizm, metafizykę i pozytywizm; spotykamy daléj i systematyzacyę wiedzy ludzkiej, opartą na zasadzie hierarchicznej ogólności i prostoty zjawisk wszechświata, i wreszcie jego teorię natury ludzkiej, za twórce której uważał on *Gall'a*, sobie przypisując tylko udoskonalenie i ostateczne jej wykończenie.

Normy zaś, jakie Comte przepisuje dla regulowania czynności ludzkich (*régime*) tworzą niewyczerpany zbiór najróżnorodniejszych wskazówek, dotyczących zarówno życia codziennego, jak i zadań społecznych. Jest tam i organizacya przyszłego społeczeństwa pozytywnego, oznaczone są zadania w nim kapłanów i kobiet, przemysłowców i bankierów. Znajdujemy tam politykę państw nowo utworzyć się mających, określone są reguły dla mogących się między nimi zawiązać stosunków politycznych, wskazany jest nawet sposób

zachowania się nawróconych już narodów względem ludów, które nie ujrzały jeszcze *zbawczego światła* pozytywizmu.

Ustrój wewnętrzny nowego społeczeństwa opiera się głównie na formie dualistycznej rządów. Są tam bowiem oddzielne organa władzy świeckiej a oddzielne duchownej. Cała maszynerya zarządu państwowego przewidziana jest w najdrobniejszych szczegółach, tak dalece, że nawet oznaczony jest budżet wydatków państwa na utrzymanie rozmaitych dekasteryj rządowych, oznaczone są odpowiednie pensye wszystkich urzędników społecznych, począwszy od najniższych ich stopni do samego arcykapłana i bankiera, dwóch najwyższych sterników państwa. I tak duchowieństwo np. dzieli się na 3 kategorie: 1-a kandydatów do tego stanu, 2-ga wikaryuszów i 3-ia właściwych kapłanów. Otóż płaca ich roczna jest następującym sposobem ustosunkowana: pierwsi pobierają mają 3,000 franków, drudzy 6, ostatni zaś 12 tysięcy. Arcykapłan zaś (le Grand Prêtre de l'Humanité), posiadający najwyższą władzę nad całą ludzkością i będący jakoby głową całego ciała społecznego, ma sobie przyznana nader skromną listę cywilną, gdyż pensya jego wynosić będzie zaledwie pięć razy większą płacę, niż zwyczajnego kapłana ludzkości. Naturalnie w to nie wchodzi koszt odpowiedniego utrzymania jego bióra i wydatki, jakie ponosić będzie przy spełnianiu swego wysokiego posłannictwa.

Wszystkie te drobiazgi nie są ani oryginalniejsze, ani rozsądniejsze od podobnych im zamków na lodzie, spotykanych u znanych utopistów, jakimi są np. Tomasz Morus lub Stefan Cabet. Nie chcąc więc nużyć czytelników, opuszczamy ten rozdział katechizmu Comte'a, tém bardziej, że nie uważamy go za konieczny wynik religii pozytywnej, ale raczej za absolutne, sztuczne urządzenie stosunków społecznych pod wpływem innych, podobnych i współczesnych nawet Comte'owi utopij, którym za podstawę służyły silne rozbudzone i powołane do literatury, trudne do rozwiązania kwestye kapitału i pracy. Słowem wszystkie rozwijające się wówczas we Francyi teorye społeczne, znalazły swe odbicie i w socyologii Comte'a i weszły tym sposobem w tę część katechizmu, która jest właściwie tylko streszczeniem jego „*Polityki pozytywnej*,” tak jak część jego dogmatyczna jest streszczeniem pierwszej połowy „*Kursu filozofii pozytywnej*.” Dodać jednakże musimy, że ani położenie klas roboczych, ani los proletaryatu, ani stosunek jego do kapitalistów, nie zostały przez Comte'a właściwie pojęte; jednem słowem żadna z tych kwestyj socyalnych, które tak wielką odgrywają rolę w polityce wewnętrznej państw nowoczesnych, nie została przezeń zadawalniająco rozstrzygnięta, ani nawet właściwie postawiona.

Pominąwszy tym sposobem szczegóły katechizmu Comte'a, nie możemy jednak opuścić kilku jeszcze rysów głównych, charakterystycznych jego teoryi, i dla tego przedstawimy niektóre przynajmniej ciekawsze strony téj książki. Za takie uważamy przedewszystkiém nakreślone przezeń plany dla przyszłego odrodzenia się ludzkości

i uroczyście wygłoszone przepowiednie losu religii pozytywnej, oraz wskazówki dla tych, którzy mogą znaleźć się u steru kierownictwa tą, zdaniem Comte'a, zdawna oczekiwaną przez wszystkie ludy, reformą społeczeństw.

„Zachód“ to jest prawie całą Europę zlewa Comte w jedno organiczne ciało, mające przodować światu i na najodleglejszych krańcach kuli ziemskiej zatknąć sztandar pozytywizmu. Sto dwadzieścia milionów obywateli tej nowej społeczności religijnej, porwanych prawdą i wzniosłością zasad *religii ludzkości*, ze swym arcykapłanem na czele, którym naturalnie będzie nie kto inny, jak założyciel tej nowej wiary, to jest sam Comte, utworzyć mają niewidzianą dotąd całość harmonijną, jedną olbrzymią rzeczpospolitą zachodnią. Owiani duchem zgody i miłości braterskiej, wyższej nawet niż braterskiej, bo miłości nakazującej kochać bliźniego więcej niż siebie samego, członkowie tego państwa ulegną dobrowolnie urządzeniom i przepisom, które wypracują dla nich kapłani-filozofowie, poświęcający całe swe życie badaniom umysłowym i usługom tego nowego społeczeństwa.

Ogromne to państwo zachodnie dla celów praktycznych, mia- nowicie zaś dla łatwiejszego zarządzania niém, podzielone będzie na mnóstwo małych rzeczpospolitych. W urzędzeniu tych państewek wszystko jest przewidziane, obmyślane i wyrachowane. Nawet tak zwana „statystyka przyszłych rzeczpospolitych“ nie jest pominięta. Otóż owe „stany zachodnie“ mówi Comte, „nie będą rozleglejsze nad obecną Toskanię, Belgię lub Hollandyę“ (str. 301). Ludność bowiem zjednoczyć się mających członków oddzielnych grup tej nowej społeczności; większe ciała polityczne są niedogodne. Nietylko uczucie patriotyzmu, jako wynik poczucia wspólności celów ale i zarząd odpowiedni warunkuje się, wedle Comte'a, małą przestrzenią terytorjum.

I tak przed schyłkiem XIX stulecia (le Comte oznacza nawet szczegółowo czas ostatecznego odrodzenia się ludzkości), Francya cała prócz Algieru i Korsyki, które utworzą niezawisłe państwa, rozpadnie się na 17 niezależnych rzeczpospolitych, składających się każda z pięciu odpowiednich dzisiejszych departamentów: Wielka Brytania t. j. cała Anglia dzisiejsza nie będzie w stanie utrzymać się przy zjednoczeniu sztuczném odrębnych państw, jakie utworzą Irlandya, Szkocya a nawet Wallia, które także prócz pierwszej ulegną dalszemu podziałowi. Takim sposobem więc Irlandya i Portugalia będą na początku nowej ery ludzkości t. j. w pierwszych latach XX stulecia największemi rzeczpospolitemi zachodniemi.

Do tak przygotowanego już Zachodu, da się też skutecznie zastosować ów porządek publiczny (*régime public*) a raczej polityczny, o którym mówiliśmy poprzednio. W ten czas dopiero będziemy mogli, zdaniem Comte'a ocenić zalety tej nowej powszechnej administracji;

„przy takiem bowiem rozklasyfikowaniu obecnych a normalnie wielkich państw,“ powiada on, „poczucie narodowości stanie się prawdziwem uczuciem pośredniczącem między przywiązaniem rodzinnem a miłością uniwersalną ogółu“ (str. 302).

Każdy jednak domyśli się, że *Wielki ów Zachód* nie jest jedyną uprzywilejowaną rzeszą narodów, w tym względzie, żeby przez tę religią odrodzony (régénéré), on jeden tylko miał z niej korzystać. Tém bardziej, że ta nowa rozległa „rzeczpospolita duchowna,“ jak ją nazywa Comte, jest zaledwie piątą częścią wszystkich mieszkańców kuli ziemskiej. Otóż owe narody, które pierwsze ujrzały światło pozytywizmu t. j. Francya, Anglia, Niemcy, Włochy i Hiszpania, mają go propagować względem innych ludów niemniej powołanych do uczestniczenia w przyszłym błogim stanie budzkości. Dla tém łatwiejszego zaś i prędszego nawrócenia innych narodów, owe pięć wybranych państw mają ustanowić tak zwany „Komitet pozytywistów zachodnich,“ któryby miał główne siedlisko w Paryżu a był wybierany z rozmaitych warstw społecznych, w ogólnej liczbie 30-u członków, a mianowicie: 8 Francuzów, 7 Anglików, 6 Włochów, 5 Niemców i 4 Hiszpanów. Komitet ten miał być jakoby „nieustającym soborem kościoła pozytywnego.“

To wzniosłe posłannictwo apostołstwa stanie się nawet jednem z główniejszych zadań duchowieństwa pozytywnego przynajmniej do tego czasu, nim wszystkie ludy nawrócą się na wiarę przez nich głoszoną. Ta zaś atrybucya nowego duchowieństwa wynika, zdaniem Comte'a z samej istoty tej korporacyi, gdyż nikt, powiada on, nie może jój zaprzeczyć prawa regulowania stosunków między najodleglejszymi nawet narodami. Duch pozytywizmu t. j. charakter jego względności o wiele ułatwić ma kapłanom spełnienie tego posłannictwa, temu téż głównie charakterowi ich religii, zdaniem Comte'a, zawdzięczać będą narody prędkie swoje zjednoczenie i ostatecznie wienienie do jednolitej nierozzerwalnej całości ludów. Bo wszystko u Comte'a wypływa z pojęcia jedności i wszystko do niej dąży. Ona téż jest dźwignią pozytywizmu, jak w ogóle każdego systemu.

To wielkie odrodzenie w duchu pozytywnym czyli nawrócenie wszystkich narodów, konieczne dla ostatecznego ukonstytuowania się ludzkości, w pochodzie swoim zawisło jednak od praw dziejowych, najważniejszém z pomiędzy których jest owe zasadnicze prawo trzech stanów ludzkiego umysłu t. j. pojęć teologicznych, metafizycznych i pozytywnych czyli właściwie umiejętnych. To prawo o trzech dobach albo trzech fazach bytu ludzkości, które umysł tak pojedynczego człowieka jak i całych narodów koniecznie i to stopniowo przechodzić powinien, jest rzec można osią, w około której obraca się cała teoria pozytywna Comte'a. To téż i wszystkie narody jeszcze nie nawrócone, są, zdaniem jego, w stanie teologizmu i jakkolwiek powinnyby, stosownie do owego zasadniczego prawa ewolucyi ludzkiej, przejść stan pojęć metafizycznych t. j. pośrednią fazę umysłu ludzkiego, nim-

by zdolne były zrozumieć pozytywizm; to jednakże religia pozytywna dokazać ma cudu i oszczędzić im długiej i mozolnej pracy, skracając dla nich czas zwykłej ewolucyi.

Ale i teologizm zaznaczył swój pochod dziejowy stopniowym rozwojem właściwych mu pojęć, coraz bliższych metafizyki a tém samém coraz bardziej oddalających się od pierwotnych najgrubszych wyobrażeń ludzkich t. j. fetyszyzmu; jedném słowem i teologizm ma swoje epoki, swoje doby niższe i wyższe w rozwoju myśli ludzkiej. Otóż prędkość w nawracaniu się narodów zależeć będzie, zdaniem Comte'a, od stopnia i siły pojęć teologicznych, jakie w danej chwili przedstawiają stan umysłowy narodu: i tak najpierw nawrócą się monoteiści, następnie politeiści a w końcu dopiero fetyszyści.

Apostołowie pozytywizmu mają więc otwarte pole do działania, wskazane im są drogi i przepowiedziany jest czas. W tém wysokiem swém posłannictwie, zastosują oni znajomość praw rozwoju ludzkości, znajomość ewolucyi człowieczeństwa własném nabytą doświadczeniem i jakkolwiek nie będą w stanie tak prowadzić narody, by te przeskoczyły lub ominęły stadya konieczne swego rozwoju, jednakże zdaniem Comte'a, przeprowadzą oni takowe przez te nieodzowne stopnie rozwoju w znacznie skróconym czasie. Tak więc to, na co trzeba byłoby całych wieków w normalném położeniu rzeczy, da się uskutecznić, dzięki religii pozytywnej, w przeciągu najdalej trzech generacyj, rachując czas jednej generacyi, dla każdego stopnia rozwoju teologizmu. Ale zastrzega Comte, że aby duchowieństwo mogło w tak krótkim stosunkowo czasie przekształcić przekonania społeczne, powinno ono być u steru cywilizacyi.

Ciekawe jest szczegółowe przedstawienie tego porządku nawracania się do pozytywizmu, porządku, który Comte nazywa „naturalnym biegiem“ rzeczy ludzkich.

Wschód t. j. wszystkie narody prócz owych pięciu wybranych, tworzących *Zachód* i prócz mieszkańców Afryki, zachowają w swoim nawróceniu wiadomą już kolej. I tak najprzód ujrzą światło pozytywizmu wschodnio-monoteiści, następnie politeiści a w końcu dopiero fetyszyści afrykańscy.

Co do wyznawców religij monoteistycznych, ci składają się z chrześcian i muzułmanów, pierwszych przedstawiają mieszkańcy Rosyi, drugich Turcyja i Persya. Otóż państwa te, jeśli wierzyć mamy Comte'owi, bardzo wiele skorzystają z pozytywizmu, gdyż ten zdaniem jego oszczędzi im w nader znacznym zakresie zwykłej pracy dziejowej. „Można po części podnieść wszystkie narody do równości z Zachodem,“ powiada Comte (str. 322). „nie zmuszając ich do niewolniczego i niebezpiecznego dla nich naśladowania burzliwych i ciężkich katastrof, których koniecznie wymagała pierwotna ewolucya dziejów ludzkich.“ Już teraz nawet pozytywizm przez swoją

teoryę historyi może, zdaniem jego, oddać ogromne usługi rządowi tych narodów, oświecając je w ich roli przewodniczenia postępowi całego człowieczeństwa i ochraniając je tym sposobem od zbrodni, jakie przechodził w swym czasie *Zachód*.

Turcy nawet, jakkolwiek nie przygotowani do owęj sławnej jego *charakterystycznej jednolitości*, w tęg mierze jak inne narody, które przebyły już chrystyanizm, nie są jednak, zdaniem Comte'a tak dalecy od pozytywizmu, jakby to napozór zdawać się mogło. Uważa on bowiem, że chociaż nawet islamizm pozbawił Wschód postępu duchowego, dokonanego w wiekach średnich pod wpływem katolicyzmu; to za to uchronił go w dalszym rozwoju dziejów od anarchii, dręczącej Zachód przez pięć ostatnich stuleci a która to anarchia obrawszy Paryż (będący odtąd u Comte'a typem dążności rewolucyjnych) za swe stałe ognisko, tyle przeszkód stawiała zbrataniu się narodów pod sztandarem pozytywizmu.

Dzięki więc historycznym warunkom, muzułmanie takim sposobem wolni byli od *metafizyków*, pierwszych na świecie anarchistów, zdaniem Comte'a a nawet i od *legistów*, którzy tyle złęgo wnieśli w umysły zachodnich ludów. Pozytywizm naturalnie wstrzyma ich od naśladowania Zachodu, dowodząc im przykładami wziętymi z dziejów przeszłości Europy, co łatwo przyjdzie nowemu duchowieństwu przy wykształceniu jego uniwersalném, dowodząc im, powtarzam, że takowe naśladowanie byłoby dla mahometan straszną klęską. Wskazując zaś szczęśliwe położenie nawróconych narodów zachodnich i dając tym sposobem możność oceny zalet pozytywizmu, przyszli kapłani ludzkości ułatwią i dopomogą narodom wschodnim w ostateczném ich odrodzeniu się. Nie wiem tylko, czy Turcy wiedzą o tym projekcie uszczęśliwienia ich i czy zwykłą koleją losu, nieusłuchawszy zbawienych rad nie staną się w końcu głuchymi a głos Comte'a, głosem wołającego na puszczy proroka.

Co do wyznawców politeizmu, stanowiących prawie połowę rodu ludzkiego, pozytywizm zdaniem Comte'a będzie dla nich pożyteczniejszym nawet, niż dla monoteistów, bo oszczędzi im drogi mozolniejszej jeszcze i znacznie dłuższej. Naturalny bieg rzeczy wymagałby, aby wyznawcy religii politeistycznej przeszli choć jeden jakikolwiek bądź monoteizm, ale od tego właśnie ma ich uchronić pozytywizm, a to usposabiając ich do ominięcia tęg drogi i uczynienia olbrzymiego skoku wprost ku ostatecznej formie myślenia ludzkiego, ku najwyższej i ostatecznej fazie wiary, jaką zdaniem Comte'a, jest wyznanie pozytywne.

Otóż tu widzimy nakręcanie prawa historycznego, wynalezione go przez Comte'a. Łatwo jest jemu wytłumaczyć to tęg, że monoteizm jest koniecznym i niezbędnym tylko w pierwotnym biegu dziejów (str. 324), ale pomimo to prawo zasadnicze trzech stanów umysłu ludzkiego znacznie osłabia się tą możnością ominięcia jego rygору. Wielu młodzieńców, powiada Comte, pod kierunkiem ka-

planów ludzkości odrazu przejdzie te trzy stany swego rozwoju umysłowego, podczas tak zwanego *nowicyatu encyklopedycznego*. Dlaczegożby więc, zapytuje on, praca systematyczna duchowieństwa zachodniego nie mogła wstrzymać politeistów od wkroczenia w tę fazę przejściową? Tém bardziej, że główne dogmata politeizmu łatwo nawet nadają się do przerobienia ich w pozytywne, będąc tylko jak się Comte wyraża, „obleczone w formę boską,” w formę, która sama z siebie wkrótce zniknie, zdaniem jego, rozpraszając promienie nadprzyrodzonego światła, które je oświecało (str 325).

Co do fetyszystów, ci znowu pomimo małej swjej liczby zajmują wielką przestrzeń Afryki środkowej i są zdaje się jak—nateraz przynajmniej—nieodstępni dla światła nowej wiary, jak w ogóle dla wszelkiej cywilizacyi europejskiej. Ale gdzież nie dosięgnie zbawczy promień téj wiary. „Dla czcigodnych naszych missyonarzy”, mówi Comte, „Afryka jako otwarte i nęcące pole pracy będzie nawet silnym bodźcem do ich wykształcenia teoretycznego i do podniesienia w nich zapału ku wzniosłemu ich posłannictwu, jakiém jest oszczędzenie tym hordom naiwnym, dzikim przejścia przez monoteizm i politeizm, a wprowadzenie ich odrazu na łono powszechnéj religii świata.”

Możność udania się trudnej téj missyi wypływa, jak się wyraża Comte, ze *ścisłej pobratymczosci pozytywizmu z fetysyzmem*, który zdaniem jego, różni się od pierwszego co do dogmatu jedynie tém, że w bieżących objawach siły elementów widzi życie, a co do obrządku tém, że cześci przedmioty t. j. grubą materję a nie organicznie żyjące jéj wytwory t. j. stworzenia.

Fetysyzm nadto, zdaniem Comte'a, zarówno w normalnym rozwoju ludzkości jak i przy kierownictwie pozytywizmu t. j. np. w wieku dziecięcym człowieka, jest jedynym ze szczebli teologizmu czyli fikcyjnego stanu umysłu (*état fictif*), którego niemożna uniknąć. Comte objaśnia to tém, że ta forma myślenia zjawia się wtedy, gdy tak ród ludzki, jak i pojedynczy człowiek nie jest zdolny do refleksyi samodzielnej czyli do zastanawiania się nad zjawiskami i do rozumowania w ogólności.

Wedle Comte'a więc przejście z fetysyzmu do pozytywizmu jest łatwiejsze, aniżeli z innych szczebli rozwoju umysłowego. Myśl ta, zdaniem naszém, stanowczo sprzeciwia się właśnie jego teorii. Z drugiey zaś strony zjawienie się jéj w umyśle Comte'a, dowodzi także, że przy użyciu metody jednostronnej a przytém i niczém nie krepnącej się wyobraźni, takie wyniki badań nietylko są możebne, ale i konieczne. Otóż jak tylko Comte wszedł na drogę zastosowania wyników teorii pozytywizmu, wypracowanej w kursie jego, do produkcyi bujnej swjej wyobraźni, jaką jest jego socjologia, to trudno już nam dopatrzeć u niego, związku pojęć i ścisłości wywodów. Rzeczywiście więc w tém położeniu rzeczy łatwość przejścia z fetysyzmu do pozytywizmu sprawdza się na samym Comte'cie, jakkolwiek w odwrotnym porządku; bo on sam przy schyłku życia, obawiając się

urojeń metafizycznych, jak mówi nieraz, w zamian tego stwarza teorię, w której na widownię jego systematu występuje jako przedmiot kultu tak zwany przezeń „*Wielki Fetysz*” (le Grand Fétiche) t. j. ziemia nasza, ziemia która nas kocha i która dla nas jedynie stała się mieszkalną, zdaniem Comte’a. *Wielki ten Fetysz*, do którego należą także i inne planety naszego systematu słonecznego, oraz słońce i księżyc, jest jedyną z trzech istot składających „*Trójcę*” Comte’a (la Trinité inalterable). Drugą osobistość godność tę piastującą stanowi *Ludzkość*, (le grand-être) teorię której przedstawiliśmy już na wstępie naszej pracy; trzecią zaś osobą trójcy jest „*Przestrzeń*” inaczéj *Wielkim Srodkiem* (le Grand Milieu) zwana. ¹⁾

Słowem pozytywista przeszedł w fetyszystę a przekonawszy się o tym możebnym skoku w tył, Comte był zdania, że można również skoczyć i na przód. Pozwolimy sobie jednak stawić pytanie, czy warto w takim razie narażać duchowieństwo pozytywne na tyle mozolnej pracy, by np. mieszkańcy Afryki, losem których tak sumiennie zajmuje się nasz arcykapłan, powrócili w końcu, tak jak i sam Comte, do dawniej czci materyi.

To zboczenie Comte’a od własnego jego prawa o trzech stanach ludzkiego umysłu jest nader ważném, zdaniem naszym, przy ocenianiu wartości pozytywizmu. I rzeczywiście, jakżeż mało zadawalniają nasz umysł, wszelkie jednostronne i skrajne systematy filozoficzne, a tém bardziej pozytywizm. Duch ludzki, jakto widzimy na Comte’cie i wielu innych filozofach, jeśli mu podciąć skrzydła, pełza po ziemi a niemogąc pozbyć się poglądów metafizycznych i myśli wrodzonych człowiekowi, łono ziemi obiera za siedlisko najwyższej istoty metafizycznej i po długich bezowocnych koczowaniach wraca wreszcie do punktu z którego wyruszył, z tą tylko różnicą, że pojęcie dawniejsze przyczyny wszechrzeczy przenosi z zewnątrz zjawisk w nie same, skutek bierze za przyczynę a środek za cel. Tak téż i Comte odrzuciwszy możność istnienia czegoś wyższego nad człowieka ²⁾, ziemię podniósł do godności *Wielkiego Fetysza* i stał się tym

¹⁾ Synthèse subjective, 1856. str 24.

²⁾ Człowiek jest tak potężną istotą, zdaniem jego, że nie ma granic dla ulepszeń jakie umysł ludzki mógłby zaprowadzić w swém otoczeniu. I tak możemy udoskonalić całą przyrodę, rośliny, zwierzęta a nawet własny nasz rodzaj (Vierge-mère). Ustrój zaś wszechświata, ani tak bardzo sztuczny, ani tak logiczny, by nim się zachwycić, powiada Comte; umysł ludzki dostatecznie rozwinięty potrafiłby nawet zdaniem jego, wymyślić system słoneczny o wiele wyższy od tego jaki niesłusznie podziwiamy w ustroju świata. Odsyłamy w tym względzie ciekawych do jego filozofii astronomii, stanowiącej treść drugiego tomu Kursu filozofii pozytywnej. To przecenianie rozumu człowieka, to idealizowanie istoty ludzkiej, ubóstwianie jój prawie, dziwne sprawia wrażenie, gdy widzimy jak umysł Comte’a, ów najwyższy umysł jaki kiedykolwiek istniał, zdaniem jego szkoły, sam w końcu wpada w *fetyszyzm*.

sposobem nietylko metafizykiem, mistykiem, czego się obawiał, ale najgrubszym dziecinnyim fetyszystą; wrócił więc do tego, co sam uważał za najpierwszy, najniższy stopień rozwoju umysłowego, tak ludzkości w ogóle, jak każdego człowieka w szczególności.

My widzimy w tém bardzo naturalną kolój rzeczy, bo zaprawdę stokroć łatwiej wpaść w marzenia bezmyślne i dać polot bujnej wyobraźni, będąc z profesyi pozytywistą, takim przynajmniej jak Comte, aniżeli wyznając teorye najsztubtelniejsze nawet metafizycznej. Bo jakżeż trudno umysłowi ludzkiemu wytrwać w myśleniu konsekwentném, gdy się ograniczy jedną stroną zjawisk wszechświata, jakżeż mu trudno przychodzi ciągle opędzać się widmom pozagrobowym i walczyć z myślami nie z tego świata, które bądź co bądź stanowią część przyrodzonego ducha naszego. To téż pozytywisci, którym się zdaje, że wolni są od tych dziecinnych, niedorzecznych, ich zdaniem, marzeń, od których jakoby uwalniała ich metoda indukcyjna, często i to bardzo często sami bezwiednie im ulegają, inaczej tylko nazywając wyroby swoje metafizyczne i zamykając je w daną przestrzeń lub materję. I rzeczywiście jak tylko kto uznaje istnienie prawa w zjawiskach choćby najwięcej materyalnych, ten jest już tém samém na drodze uznania idealnego pierwiastku w ustroju wszechświata, bo trudno doprawdy uznać istnienie prawa a nie uznać konieczności jego początku, gdyż samo pojęcie prawa, jest czysto idealném a wypływając z idei, do niej koniecznie doprowadza. Daleko téż konsekwentniejsi w tym razie są, zdaniem naszym, skrajni fatalisci. Ci zaś, co przyznają postęp w ludzkości, postęp ku lepszemu, odbywający się wedle praw stałych, nie mogą odrzucać celowości w objawach świata, jeśli sami sobie nie chcą przeczyć; a kto uznaje pewną ideę, myśl jaką wyższą, jedném słowem cel do którego dąży świat, mimowoli wpaść musi na tor pojęć metafizycznych. Gdzie niema metafizyki, tam, zdaniem naszym, niema filozofii; możnaby więc pozytywizm nazwać metodą badań, choćby i przedstawieniem encyklopedyczném wiedzy ludzkiej i to nie całej, ale nigdy filozofią ani pozytywną, ani filozofią natury, ani filozofią umiejętności, jak chce Comte. Bo zaznaczenie i odkrycie praw we wszechświecie jest zadaniem oddzielnych nauk, badanie zaś przyczyny tych praw i tego rozwoju, wiązanie wszystkich zjawisk w jedną nić przewodnią, mając na względzie cel do którego dążą, oto dopiero zadanie filozofii, przynajmniej w naszym jój pojmowaniu. Inaczej między nauką a filozofią niepotrzebne byłoby rozróżnienie i nazwa jednej byłaby dostateczną.

Ale wróćmy do dalszego przedstawienia myśli samego Comte'a.

Otóż chcąc np. dziecko zachować od politeizmu, opierając się na tém co wygłasza Comte, moglibyśmy w tym celu utrzymywać je w ciągłym fetyszyzmie aż do chwili, w której stopniowo przygotowane, byłoby zdolne pojąć pozytywizm. Ale mówi Comte, sztuczne takie wysilenie umysłu nie byłoby pożyteczném a nawet niepotrzebnie wstrzymałoby pochod naturalny wyobraźni ludzkiej. Co zaś do wspólnego

nej dla wszystkich przemiany pojęć w Afryce środkowej, tam rzecz ma się zupełnie inaczej, zdaniem Comte'a; tam przeciwnie z powodu takiego przeskoku ewolucji naturalnej, najzbawienniejsze ujrzymy skutki, tak w pojedynczych ludziach, jak i w całych narodach. Dlaczego zaś? tego autor nie powiada; jest to jedno z tych zdań apriorystycznych, które dziwnie wyglądają przy jego teorii pozytywizmu a zwłaszcza obok ścisłej metody badań, która ją charakteryzować powinna.

Gdy zaś kobieta, którą kapłan ludzkości objaśnia o tym przysłym pochodzie religii pozytywnej, wynurza obawę, czy różnice rasowe nie będą czasem przeszkodą w rozpowszechnieniu niewidzianej dotąd, jej zdaniem, w żadnej religii, takiej powszechności wiary: kapłan ów w następujący sposób, stara się ją uspokoić, usuwając płonne jakoby jej obawy:

„Prawdziwe pojęcie biologiczne ras ludzkich, moja córko,“ mówi on, (str. 326—7), „wynika z teorii *Blainville'a*, który różnice rasowe przedstawia jako zmiany wywołane miejscowymi warunkami, to jest otoczeniem w jakim żyją ludzie.“ Zmiany te z początku powierzchowne, nie istotne, zdaniem Comte'a utralają się coraz bardziej i stają się nawet cechą dziedziczną, gdy dojdą do swego rozwoju najwyższego. Wedle tej zasady, mówi dalej Comte, można subiektywnie utworzyć doktrynę, która w swęj istocie zupełnie odpowie różnaitościom charakteru ludzkiego, spostrzeganym przy badaniu ich obiektywnem. Doktryna ta, nad którą Comte rozpisuje się dość obszernie, w ostatecznym rezultacie odkrywa i uznaje tylko 3 rasy rzeczywiście różniące się między sobą w istotnych cechach, t. j. rasę *białą*, *żółtą* i *czarną*.

Otóż te różnice istotne i trwałe nie mogły, zdaniem Comte'a rozwinać się inaczej, jak tylko pod wpływem przewagi jednej z trzech głównych części systematu mózgowego względem dwóch pozostałych t. j. *spekulatywnej* części, *czynnej* lub *uczuciowej*. Ogół badań sumiennych i obserwacyj ras potwierdza to najzupełniej, zdaniem Comte'a, względem różnic owych wyżej wspomnianych trzech ras ludzkich, z których każda przewyższa pozostałe albo rozumem, albo działalnością, albo uczuciem. To też poznanie właściwych cech, odróżniających jedne narody od drugich, powinno powstrzymać je od wzajemnego jak dotychczas pogardzania się, wszystkie bowiem, powiada Comte, są sobie równe, gdyż każda rasa przewyższa inne w danych tylko objawach swego życia, ale jest zarazem przez nie przewyższaną w innych sferach swęj działalności. Pewnik ten powinien nawet, zdaniem jego, przekonać narody o korzyściach jakie mogą wynikać z ich zjednoczenia się a to w celu uformowania ostatecznego owęj „*prawdziwej, rzeczywistej Wielkiej Istności*“ jaką zdaniem Comte'a jest bóstwo religii pozytywnej t. j. Ludzkość.

Kiedy praca pozytywistów, mówi zatem kapłan, „uzdrowi naszą planetę,“ te różnice organiczne między rassami zaczną znikać same

przez się a głównie przez godne małżeństwa (par de dignes mariages) t. j. przez małżeństwa zawierane z powodu prawdziwego przywiązania a nie dla interesu. W tym też celu zapewne w nowym społeczeństwie Comte'a, kobiety nie będą posiadały posagów. To wzajemne zaś oddziaływanie na siebie wyższych stron każdej rasy, czyli właściwie mówiąc językiem Comte'a, wzajemny wpływ więcej udoskonalonych części mózgu na inne mniej wyrobione, do tego systematycznie prowadzone pod kierunkiem duchowieństwa powszechnego, spowoduje najdrogocenniejsze ze wszystkich ulepszeń, bo ulepszenie całości systemu mózgowego, całego jego składu. Udoskonalony więc takim sposobem organ życia naszego duchowego, stanie się, wedle teorii pozytywnej, jeszcze bardziej zdolnym i to w szerszym zakresie myśleć, działać a nawet i kochać.

Wszystko to wypowiada Comte z bezprzykładną pewnością siebie, nie utrudza się nawet dowodzeniem tego, co samo z siebie wpływa zdaniem jego. Jakaż w tém różnica z kursem filozofii pozytywnej, gdzie najmniejszy wynik swej teorii stara się stwierdzać na przykładach ciągnących się bez końca, gdzie do znudzenia czasem usiłuje przekonać słuchaczy o prawdziwości swoich wywodów. Otóż o ile w pierwszej połowie swojej działalności naukowej, Comte okazuje się badaczem skromnym wypowiadającym filozoficzne myśli, nietyle jako coś nowego, stworzonego jego geniuszem, ile jako tkwiące w naturze rzeczy ludzkich, jako myśli będące już nieraz wypowiedane przed nim, a to wskazując poprzedników swoich i dopatrując w nich tego samego niemal rozwoju pojęć; o tyle znowu w tej drugiej części swojej pracy umysłowej, przenosząc się na pole polityczne, ogarniając przewodnią swą myślą reorganizacji, całą ludzkość, wygłasza absolutnie swe wyrocznie, wzywa wszystkich i napomina do posłuszeństwa ¹⁾). Niepojęta wiara w prawdziwość głoszonych przezeń zasad a z drugiej strony silne przekonanie, że on jeden tylko był w stanie przeprowadzić takowe w życiu społecznym, uprawniały go, w jego przynajmniej mniemaniu, do żądania od ludzkości nie tylko popierania teorii jego pozytywnych, ale i osobistego dla siebie wsparcia. Ztąd owe szarpanie się moralne, owe słowa goryczy rzucone nawet dobroczyńcom chwilowym, którzy nie poczuli się do obowiązku niesienia mu stałej pomocy; owe zażalenia na obojętność ludzką w obec tak wzniosłych celów obywatelskich: wreszcie owe przesadne charakteryzowanie obecnej mu chwili, jako typu anarchii, tak politycznej jako i moralnej.

Wszystko to jednak dowodzi jak dalece Comte był zaślepionym w przekonaniu swoim o zbawienności wygłaszanych przez siebie

¹⁾ Dowodem tego smutna sprawa o wspomnienie go, gdy po odebraniu mu posad egzaminatora i repetytora niektórych kursów matematyki wyższej w Szkole Politechnicznej, został w zupełnej nędzy pogrążony.

reguł dla przyszłego ustroju społecznego, jak dalece czarowny obraz odrodzonej ludzkości, która w nowej swej szacie roztaczała się poważnie na widowni twórczej jego wyobraźni, nęcił umysł jego i do wytrwałości go zachęcał. Bolesnym było zapewne czuć w sobie siłę ruchu nadania dla tej nowej „ewolucji człowieczeństwa,“ siłę mogącą w jego mniemaniu przyspieszyć jej rozkwit, i zobaczyć się w końcu opuszczonym przez tych właśnie, dla których najwięcej może pragnęło się szczęścia. Jednakże żadne zawody, żadne przeszkody, które naturalnie musiał spotkać w propagowaniu swoich idei, nie osłabiły w nim wiary w to, co gorączkowo rzucający się umysł jego, przedstawiał mu jako niebawem ziścić się mające.

Jak niegdyś Rousseau cierpiał z powodu wymarzanych często intryg nieprzyjaciół, czyhających jakoby na jego spokój domowy, tak i Comte miota się wewnątrz i boleje nad postępowaniem owych „pedantokratów“ jak ich nazywał, uczonych członków akademii, którzy zasad jego uznać nie chcieli i usuwali go od mównicy professor-skiej, gdzie jedynie mógł wpływ wywierać, z kąd głos jego mógł być z zapałem słuchany przez młodzież chciwą wówczas przeskazać nowych socjalnych. Pomimo to wszystko jednak widnieje w nim często spokój i ta pogoda myśli, która jest zwykle dowodem przekonania o słuszności, i wiary w pewność ziszczenia się tego, co się wygłasza światu. I tak w jednym z listów pisanych do Miss Martineau ¹⁾ znaniej w Anglii propagatorki jego teorii; tak pisze Comte pod datą 6 kwietnia 1854 r.:

....., Sądzę, że nie łudząc się przewidywaniem zbyt prędkiego odrodzenia się społeczeństwa, mogę jednak naprzód cieszyć się przyszłym niechybnym powodzeniem ludzkości..... Gdybym tylko żył lata *Hobbesa* ²⁾, chociaż mam już obecnie 56 rok życia, ujrzę niezawodnie Zachód ostatecznie kroczący po obszernym i prostym gościńcu, wiodącym do normalnego przeobrażenia się ludzkości. Widok ten, jakkolwiek nie ukaże mi jeszcze w całej pełni oczekiwanych skutków, rozproszy jednak obawę i niepokój o ich ziszczenie się.“

Zadziwiająca to pewność siebie, niesłychana ufność w swój umysł i w prawdę wymarzonych planów dla ludzkości, dziwne zaślepienie w nieomylności swojej. Ale bo też Comte'owi, niewidzącemu odąd innych objawów w dziejach, prócz ciągłej dążności do połączenia się wszystkich ludów pod sztandarem pozytywizmu—tego ostatecznego kresu ewolucji, który miał ziścić przepowiadany złoty wiek Saint Simona, nie trudnym było dojrzeć w obecnej mu chwili przedświt tu tej różanej jutrztenki ludzkości. Francya za życia

¹⁾ Miss *Hanriett Martineau* zaszczytnie znana w literaturze angielskiej, wydała także w 1853 r. i filozofię Comte'a w wolnym przekładzie i w streszczeniu p. t. *The positive philosophy by Auguste Comte freely translated and condensed.* London, 2 vol.

²⁾ Wiadomo że *Hobbes* żył przeszło 90 lat, bo od 1588 do 1679 r.

jego wrzała teoryami socyalistów, a Francya, to, zdaniem jego jak i wszystkich Francuzów, przedstawicielka całej ludzkości. Same narody więc domagały się reformy społecznej. Te objawy mającej się zbliżyć jutrzemki uszczęśliwiły go ale i przestraszyły zarazem, widział on bowiem w dali wszystko obalone i nierząd przed sobą, bo tłumy jeszcze nieoświecone a ztąd niezdolne spokojnie wkroczyć na drogę postępu, woła więc: *porządek i postęp!* Widział objawy wściekłości zapamiętałego ludu i zatwardziałość zbrodniarzy, zemstę i krew, wygłasza więc wzniosłą zasadę: *żyjmy dla innych!* I cóż zatem dziwne-go, że ukochawszy ludzkość, porywa za sztandar wiary pozytywnej, téj doktryny, która jak łódz zbawienia, miotana falą przeciwnych losów, sama tylko może ocalić, w jego przekonaniu, wiernych swych wyznawców. Mając zaś, jak powiada, cały szereg poprzedników w dziejach, bo od Arystotelesa do Galla, ufny w siłę swej nauki, sam staje na czele téj armii wiekowej, żyjącej w nim *subiektywnie* i w nim radującej się odrodzeniem ludzkości a ztąd i wierzy, że ujrzy kiedyś, i to w niedalekiej przyszłości, bratające się narody, że hydra domowej wojny uleci w dalekie przestwory, że miłość zapanuje światu, słowem że *altruizm* odniesie ostateczne zwycięstwo nad egoizmem.

W to wszystko wierzy Comte, bo zdaje mu się, że całe dzieje potwierdzają to, a obecna mu chwila przekonywa go nawet o możności prędkiego ziszczenia się jego marzeń. Bo za wiarą pozytywną, woła więc zapamiętałe, niema zbawienia; po za powszechnym kościołem ludzkości, śmierć i potępienie! Przypatrzcie się całemu biegowi dziejów a przekonacie się.

Od czasu jak Rzym zapanował światu, ludzkość szuka religii uniwersalnej, ale napróżno, zdaniem Comte'a. Dwa monoteizmy, islamizm i katolicyzm w widowni nowszych dziejów dążą do téj powszechności, bez której ludzkość nie może dopiąć swego przeznaczenia. Ale bezskuteczne usiłowania Wschodu i Zachodu dowodzą, zdaniem jego, że po za teologią i metafizyką szukać należy podstaw do zjednoczenia się zarówno moralnego jak i umysłowego. To złączenie może wyniknąć tylko z pozytywizmu to jest „doktryny,“ jak mówi Comte, „charakteryzującej się pogodzeniem rzeczywistości z korzyścią.“ Religia pozytywna bowiem, dosięgłszy uczucia, będącego podstawą jój jedności, stała się tym sposobem, zdaniem jego, społeczną ze swój natury. Ten społeczny charakter jój jednolitości zasadza się na złączeniu, jak mówi Comte, „uczucia i myśli w celu uporządkowania działalności człowieka.“ W obec przewagi myśli nad uczuciem, która cechuje, zdaniem jego, Zachód, nowa ta religia bierze sobie za zadanie powołać do życia krępowane dotychczasową cywilizacją uczucie, a najgodniejsze narzędzie do tego, organ, który posiada czarowną siłę w dziedzinie serca, widzi ona w kobiecie. Tak jest: w pozytywizmie ma ona znaleźć apoteozę swój wielkości, kobieta bowiem, wedle ducha téj religii, jest najwyższym ideałem, jaki człowiek może przedstawić sobie tu na ziemi. To téż rola jój w nowem

społeczeństwie pozytywném, jest odpowiednio wielką, kobiéta jest jedyną z istot żyjących, przed którą pozytywista zgina kolano. Ona téż prędzej i łatwiej niż inni, w mniemaniu Comte'a, pojmie tę religię ludzkości. „Nawet cała nasza filozofia“ powiada on „jest jakby naumyślnie zastosowaną do jój umysłu, bo szereg nauk kończy *etykę* (la morale), która jako nauka i umiejętność jest najważniejszą, straszcza bowiem wszystkie inne i góruje nad niemi.“ A cóż bardziej przystaje do pojęć kobiety, zapytuje Comte, jak *etyka*, owe prawo moralności, które jój od kolebki niemal jest wrodzone. Rozwijając zaś uczucia rycerskie, kult pozytywny wywyższa nadto rodzaj niewieści, ów rodzaj czuły (le sexe affectif) i podnosi go do znaczenia opatrności moralnej, czuwać mającej nad nami. Gruntując nadto rodzinę, owe ognisko miłości, w którym człowiek zaczyna żyć nie egoizmem ale dla drugich, jako podstawę normalną społeczeństwa, religia pozytywna ostatecznie utrwała wpływ niewieści. Gdy dodamy jeszcze do tego prawo wiecznego wdowieństwa, cechujące małżeństwo pozytywne, przekonamy się zdaniem Comte'a, że wszystko to razem wzięte, podnosząc zapoznaną część rodzaju ludzkiego, uczyni zarazem z kobiet najpierwsze krzewicielki religii, która im tak wzniosłe posłannictwo wyznacza. To téż ostatnie słowo ruchów socyalnych, ostatni objaw woli ludzkiej, spocznie, zdaniem jego w tej prawdzie niezaprzeczalnej, w tej nieodwołalnej zasadzie, która nawet kiedyś stać się ma prawem obowiązującym, t. j. że sami mężczyźni powinni dbać o utrzymanie żon swoich, by te mogły godnie wypełnić *świętą swą missyę* względem społeczeństwa.

Wszystko to razem wzięte powinno, zdaniem Comte'a, przekonać nas ostatecznie, że religia pozytywna wynika z samej natury ludzkiej, wiecznie dążącej do uszlachetnienia się wszechstronnego, że ona jest najwyższym stanem cywilizacyi, do jakiego ludzkość, przebywszy zwycięzko konieczne stadya swego rozwoju, dojść wreszcie mogła. Od niej więc tylko oczekiwać należy zbawienia, twierdzą jój wyznawcy, bo ona jedna nas uszczęśliwia, ona jedna objaśnia nam najskrytsze tajniki tak własnej jak i otaczającej nas natury, ona jedna we właściwém świetle przedstawia nam istotę naszą i równolegle rozwija umysł i serce.

Czytając te bez końca ciągnące się przepisy religii pozytywnej, te rozwickłe uwagi Comte'a, szczególniej nad jój dogmatami, te z niepojętą jak dla nas śmiałością nakreślone ramy przyszłego jój rozwoju i wreszcie owe unoszenia się deklamatorskie nad jój znaczeniem dla ludzkości; często i to bardzo często przychodziło nam na myśl, czy plan całej tej budowy nowjéj religii socyalnej a tém bardziej część jój wykończenia, nie powstał w głowie Comte'a w chwilach, które spędził w domu obłąkanych w Esquirola? A jednak tak nie jest; jest on często ciemnym, nudnym w dowodzeniu, absolutnym we wnioskach; ale w głównych rysach nie zbacza on z raz powziętego, jakkolwiek fałszywego kierunku, jaki uderza już na samym wstępie

jego pracy. To też nie dziwi nas, że tacy nawet ściśli i metodyczni myśliciele, jak *Mill* i niektórzy z wyznawców jego wiary, ujęci tą pozorną jego systematycznością i ścisłością w wykładzie, zachwycają się katechizmem Comte'a; jedni jak *Mill* wprowadzie tylko głównym zarysem takowego i niektórymi jego domysłami, drudzy zaś najmniejszemi nawet szczegółami. Kto bowiem z zasady uznaje teorię Comte'a, jako jedyną prawdę świata, tego z początku nie razi kierunek w jakim Comte rozwija swe myśli, o tyle droga ta jest systematyczną i o tyle Comte jest ścisłym w swoich wywodach; ale jak tylko który z adeptów jego mimowoli, bezwiednie zapyta siebie, do czego to wszystko wiedzie, gdzie jest przyczyna i jaka istota tych przekonań, pytań usuwanych zwykle przez pozytywizm; wtenczas zatrzymuje się on w biegu i przerażony nie wie, czy ma iść dalej za swym mistrzem. Zkąd więc to płynie, pytamy, gdzie przyczyna tego, że podziwiają konsekwencyę Comte'a a iść za nim nie chcą? że jedni, jak *Mill*, uważają całą jego działalność umysłową za całość jednolitą, za jeden nieprzerwany łańcuch logicznego myślenia, gdy tymczasem inni i to więcej pozytywni niż *Mill*, niż sam Comte nawet, zarzucają mu subiektywizm, mistycyzm, marzenia w przeprowadzeniu jego socyologii? Jakaż wreszcie przyczyna, że i my, pisząc o jego religii, raz nazywamy go wzorem ścisłego myśliciela, drugi raz niekonsekwentnym filozofem? Odpowiedzieć na to możemy scharakteryzowaniem umysłu Comte'a następującym orzeczeniem, oto, że dzieła jego są *wzorem konsekwentnych wywodów z błędnych, często sprzecznych ze sobą, a zawsze nieuzasadnionych podstaw*. I rzeczywiście wszystko, co tylko Comte wyprowadza z głównego swego założenia, jest ścisłe i logiczne, ale czy to założenie ma jaką podstawę prawdy, czy może służyć za nieomylnie źródło wzystkich dalszych wywodów; czy jednem słowem zasada ta jest pozytywną? oto pytanie, które pominął Comte; pominął *Mill*, pominęli i wszyscy pozytywisci, nawet i pozytywista *par excellence*, sam *Littre*.

I cóż z tego, że *Littre* i to nader słusznie wykazał niekonsekwencyę między socyologią Comte'a a jego kursem filozofii pozytywnej? czegoż to dowodzi? czy jest w tém argument i kryterium prawdy dla jedyné ze stron jego teorii? *Littre* mówi, że kurs Comte'a jest pozytywnym t. j. że wygłasza prawdę niezachwianą, stwierdzoną doświadczeniem, a dla czegożby niemożna powiedzieć, że szukanie wiary w sercu, że natchnienie i mistycyzm są również pozytywne, bo czy jest choć jeden człowiek, któryby mógł uwolnić się od tych wrodzonych nam pytań. Comte odpowie na to, że razem z rozwojem cywilizacji, znikają te pytania, że jestto nic więcej, jak przyzwyczajenie umysłu, drogą wychowania i tradycyi nabyte. My zaś przeciwnie, opierając się na pozytywném także badaniu t. j. na zaznaczaniu objawów tych uczuć i myśli u wszystkich narodów, na każdym stopniu ich rozwoju cywilizacyjnego, słowem u wszystkich ludzi; możemy twierdzić, że one są wrodzone człowiekowi a ztąd konieczne. Gdzież więc

kryterium prawdy? pytamy jeszcze; czy w doświadczeniu jak mówi pozytywizm? Dobrze więc, ale dlaczegoż tylko objawy materialne świata mają mieć ten przywilej i podlegać doświadczeniu? Czyż cały obszar innego świata, cała summa walk i cierpień, natchnień i rozkoszy złożonych w duszy człowieka; czyż rozwój myśli i uczuć jego, mają być zupełnie wyrugowane z zakresu badań naszych? Czyż tak zwane *wewnętrzne doświadczenie*, niema wejść w program wiedzy ludzkiej? A w takim razie czyż usuwać, znaczy: objaśnić, czyż to zaspakaja myślącego badacza, czyliż zastąpienie oczów uwalnia od wyrzutów sumienia, w kształcie widm nawiedzających duszę człowieka? Jeśli jest prawo we wszechświecie, jeśli najmniejszy atom, czy w kryształach czy w mózgu, nie zmienia swego położenia bez konieczności prawa, któremu ulega; to objawy ducha, literatura, nauki, wszystkie sfery sztuk pięknych, miałyby być tylko przypadkowym zjawiskiem, nie miałyby i one mieć praw dla swego rozwoju? Tak jest, odpowiedzą pozytywiści, i one podlegają prawu, przypadkowości niema na świecie. Dobrze więc, przyznajecie prawa, ale gdzież ich źródło? Na to ukażą oni materję; objawów ducha niema na świecie: wszystko jest przejawem materji, powiada Comte. A zatem pozytywizm to materializm? Broń Boże! wykrzykną oni wszyscy a Comte na czele, niema nic bardziej przeciwnego sobie, jak pozytywizm i materializm. Gdzież więc logika wasza; jeśli chcecie być konsekwentni, powiedźcie: jesteśmy materialści, jeśli zaś nie znacie praw rozwoju ducha, to niedowódźcie, że ich niema i nie róbcie ich płodem ślepych praw natury bezwiednej. Słowem, jeśli nie znacie *przyczyny i źródła* duchowych objawów w człowieku, nie mówcież, że ich niema.

Na tém kończymy przedstawienia religii Comte'a, powtarzając z *Laurent'em*: „zaprawdę, nie warto było rugować ze świata i dziejów, Boga, by na miejsce Jego postawić Nicość!“¹⁾

WSPOMNIENIE

o ś. p. Tomaszu Dziekońskim.

W dniu 22 maja r. b., przed wieczorem, poważny orszak żałobny towarzyszył trumnie, niesionej na barkach czcicieli zmarłego z kościoła św. Antoniego na cmentarz Powazkowski. Za trumną postępował parokanny, bez ozdób karawan. Widoczném było, że odprowadzano na wieczny spoczynek zwłoki męża, który nie zebrał w żywocie swoim ziemskich dostatków, ale nie mało nagromadzić musiał bogactwa z zastugi i miłości ludzkiej, kiedy przedstawiciele najrozmaitszych stanów i sfer społecznych, zbrali się z własnego popędu, by ostatnią zmarłego

¹⁾ *Études sur l'histoire de l'humanité* Tome XVIII. Paris. 1870 str. 215.

mu oddać posługę. Byli to powiększej części ludzie już przeszło pół-wiekowi, z siwizną na skroniach, którzy przyszli odprowadzić do grobu ukochanego swych lat młodych przewodnika, albo zasłużonego w pracy około wychowania młodzi krajowej kolegi. Orszak ten pogrzebowy liczbą nie odpowiadał wszelako wielości zasług zmarłego. Wprawdzie zawód jego był cichy, bez rozgłosu, osoba jego młodemu nie była znaną pokoleniu, bo zmarły dawno już usunął się był z widowni świata; nie zebrał on też żadnych głośnych za życia laurów, na polach najwięcej dzisiaj przez ducha czasu cenionych. Nieboszczyk, któremu ostatnią w d. 22 maja oddawano posługę, był oraczem na niwie najwięcej krajowi przynoszącej pożytku, a stosunkowo najmniej może mającej w społeczeństwie odpowiedniego zasługom uznania, bo był on niezmordowanym pracownikiem w trudnym i cierniowym zawodzie nauczyciela.

Mówimy tutaj o ś. p. Tomaszu Dziekońskim, b. rektorze, członku b. rady wychowania i t. d.

Wszystkie pisma warszawskie uznały za właściwe uczcić pamięć ś. p. Tomasza szerszém wspomnieniem, na które ów nestor pedagogów naszych niezwykle sobie zasłużył. Niech nam wolno będzie dorzucić w tém miejscu słów jeszcze kilka, dotyczących meża, którego żywot splótł się jaknajściślej z dziejami oświaty krajowej w tym wieku i podnieść niektóre wspomnienia, w ściśłym z życiem ś. p. Dziekońskiego będące związk. Wszakże każdy szczegół, odnoszący się do dziejów wychowania narodowego, uronionym być nie powinien, zwłaszcza też u nas, gdzie sprawa oświaty tylu uległa przeobrażeniom i gdzie pojęcia o wychowaniu młodego pokolenia w samych rodzinach tak często są błędne, a nierzadko też w praktycznym zastosowaniu do smutnych doprowadzają zawodów.

Oddając niniejszém hołd nasz ś. p. Dziekońskiemu, pragniemy w jego osobie uczcić równocześnie nauczycielskie powołanie, które przez zmarłego tak znacznie było przedstawione, a które w obec trudnych losu kolei, z niem ściśle splecionych, na najwyższe uznanie i na powszechny zasługuje szacunek i zachętę.

Szczegóły życia ś. p. Tomasza znane są z pism codziennych warszawskich. Z nich dowiadujemy się, że urodził się w Łonży w d. 29 grudnia 1790 r., że tam odbył nauki w szkołach ks. Pijarów, że w roku 1807 wszedł do tego zgromadzenia, czasowo żadnymi nie związawszy się ślubami.

Z owych zaczątków nauczycielskiego zawodu ś. p. Dziekońskiego, jeden z ówczesnych jego uczniów, dziś sędziwy p. C następujący charakterystyczny udziela nam szczegół, który mniemamy, że z wielu względów na dosłowne zasługuje powtórzenie:

„Osobiście znałem ze szkół ks. Pijarów warszawskich, pisze p. C., ś. p. Dziekońskiego, który jako wówczas należący do tego zgromadzenia, był w tych szkołach nauczycielem i dawał lekye w klassach niższych, do których i ja chodziłem. Był on względem uczniów łagodnym, ale czasami dosyć ostrym. Zwykle pod sutanną nosił dyscyplinę

bo ten środek w szkołach był wtedy w użyciu. Pamiętam, jak wykładając lekcję języka polskiego, wyrwawszy jednego ucznia, posłyszał, że tenże źle wymawiał literę *ł*, bo ją wymawiał przez *eu*. Dziekoński na to odezwał się temi, dotąd mi pamiętnymi słowy: „widzicie go, oto mi Beniaminek. Mama go wypieściła, wymuskała, a mówić nie nauczyła; pisz smarkaczu, co ci podyktuję — i podyktował mu:

„Sadło, masło, motowidło, spadło z pułki, stukło sobie łeb.“

„A powtórzywszy mu te wyrazy dobitnie, dobył z pod sutanny dyscyplinę i okazawszy mu ją zagroził, że dopóki nie nauczy się wymawiać litery *ł* jak należy, dopóty na każdej jego lekcji po pięć plag otrzyma. Obyło się wszelako bez tego, bo ów uczeń na następnej lekcji literę *ł* należycie już wymawiać umiał. Za autentyczność tego ręczę, mówi p. C., bo osobiście byłem tego faktu świadkiem, który głęboko rozumie się, utkwiał w pamięci mojej i kolegów moich.“

Ś. p. Dziekoński był późniój, jak dowiadujemy się z jego życiorysu, własną kreślonego ręką ¹⁾ nauczycielem w Rydzyniu w Poznańskim, poczem wystąpiwszy od ks. Pijarów, professorem w Toruniu, następnie w liceum warszawskim. Lecz najświetniejszą zapewne w zawodzie ś. p. Dziekońskiego była chwila, gdy w 1828 r. powołanym został na rektora świeżo otwartej w Warszawie na Lesznie w pałacu Działyńskich szkoły praktyczno-pedagogicznej, która do włącznie r. 1830 służyć mogła w istocie za wzór doskonale prowadzonej *szkoły 6-cioklasowej*. Nosila ona nazwę praktyczno-pedagogicznej dlatego, że w niej młodzież, wychodząca z uniwersytetu warszawskiego, sposobie się miała praktycznie do zawodu nauczycielskiego, pod okiem doświadczeńszych i wytrawnych już profesorów, na czele których stojący ś. p. Dziekoński, niewątpliwie był mistrzem niezrównanym. Tam znaliśmy go i oceniali nauczycieli. W owychto szczególniej latach ś. p. Dziekoński potrafił zaszczerpić w licznem kole młodzi, do tej szkoły uczęszczającej, dozgonną dla siebie wdzięczność i nie wygasłą pamięć.

Ogół też profesorów w tej szkole ożywiony był niezwykłym zapalem, a ś. p. Dziekoński przewodził im z taką dystynkcyą, powagą, taktem, energią i znajomością głęboką serc i umysłów młodocianych, że wyznajemy szczerze, iż tych wszystkich przymiotów, zebranych razem w jednej osobie, obok gruntownej nauki i wielkiej umiejętności wykładu, w przełożonym zakładu naukowego nie łatwo napotkać. Był to w istocie, jak się dobrze wyraziło jedno z pism warszawskich, nauczyciel-obywatel, który poza szkolnemi formułkami, szeroko i z wysoką ogarniał ważność swojego stanowiska i w całym tego słowa znaczeniu umiał mu sprostać. Sposób swój widzenia przelewał on na całe grono otaczających go nauczycieli. W rodzicach i opiekunach powierających mu młodzież, budził on bez granic zaufanie. Liczni ówczesni dygnitarze, często odwiedzający z ciekawością zakład świeżo otwarty, odznaczeni ś. p. rektora szczególnym poszanowaniem, które on też w każdym dla siebie wzbudzić umiał. Młodzież kochała go jak

¹⁾ Kuryer Codzienny Nr. 110 s r. b.

ojca: a przecież był to rektor w karności umiejący trzymać wszystkie klasy swęj szkoły. Oblicze jego nosiło na sobie cechę powagi i jakoby surowości, poza którą wszelako zawsze wyczytać było można pełną dobroci skłouność i do wesołego humoru i pożartowania z młodzieżą, którą prawdziwie ojcowską otaczał miłością. Już blisko połowa docho- dzi wieku, a wyraz tego zacnego i typowego wśród młodzieży szkolnej oblicza, żywo stoi nam przed oczyma.

Prefektem tęg szkoły był zgasky przed laty kilku, znany w War- szawie opiekun ubogich ks. Gołembowski. Najbardziej odznaczające- mi się professorami byli z nieżyjących już niepospolity filolog Szwajnic, Palicki, Kopytowski, Kozłowski, z żyjących Rogiński, Antoni Waga, Stręczyński, Smardzewski, Czajewicz. Te słów kilka piszemy pod wra- żeniem chwil, spędzonych w tęg szkole w klasie V i VI-ęg w roku 1829 i 1830. W piérwszég ławce siedzieliśmy wraz z Augustem Cieszkowskim, Aleksandrem Kurtzem i Feliksem Zielińskim, założycielami Biblioteki Warszawskieg, do tógórw wspomnienie to przesłać postanowiliśmy.

Ś. p. Dziekoński wykładał w klassach wyższych literaturę polską. Wykład jego był bardzo zajmujący, gruntowny i urozmaicony. Sam pisał jasno i potoczysto.

Niepodobna nam pominąć tutaj jednéj nader dramatycznég w ży- ciu ś. p. Dziekońskieg przygody, tógórw byliśmy świadkiem naocznym. Ś. p. rektor miał dwóch synów, z tógórw starszy Józef był w drugieg połowie r. 1830 drugoletnim uczniem klasy VI-ęg. Zdolny i bystry, prześcignął był jednakże wszystkich kolegów w psotach i figlach stu- denckich. Rzeczy w późnéj jesieni r. 1830 doszły do tógórw stopnia, że postanowiono stanowczo go ze szkół wywalić i ojciec rektor przyszedł osobiście oświadczyć to zebranég klassie.

Łatwo pojąć, jaka to walka odbywać się musiała w duszy tégórw czeigodnego człowieka, który względy ojcostwa poświęcał spełnieniu obowiązku rektora. Uroczyste próśby kolegów syna długo nie podola- szém rozczuleniu uległ usilnym naleganiom całég klasy, zkądinąd fig- larnego Józefa niezmiernie kochającég.

Mniemamy, że z rokiem 1830 skończyły się najświetniejsze i naj- milsze w zawodzie ś. p. Dziekońskieg wspomnienia. Nie przestaje on wszelako dalej być czynnym, aż do r. 1839, na posadach dyrektora gimnazjum na Lesznie, a następnie gimnazjum w b. pałacu Kazimiro- wskim.

Z owych czasów, o ile zasłyszeliśmy, były chwile w tógórw ro- biono ś. p. Dziekońskiemu zarzuty zbytecznéj jakoby surowości z mło- dzieżą. Nie znane nam są bliższe szczegóły ówczesnego życia jego; mniemamy jednakże, że nie mogą one rzuć jakiegokolwiek bądź cie- niu na pełną zasług osobistość ś. p. Dziekońskieg, który dobrowolnie bez żadnych widoków, opuścił zbyt wcześnie swój zawód, aby zdała od świata, przy skromnych funduszach oddać się licznym pracom literac- kim, oryginalnym i tłumaczonym.

W roku 1863 spotykamy sędziwego już ś. p. Dziekońskiego w radzie wychowania publicznego, w której pracach aż do czasu jój rozwiązania przyjmuje udział. Nie był to już wszelako ów pełen życia i bystrości rektor szkoły praktyczno-pedagogicznej. Wiek, ciężkie przejścia rodzinne—przeżył bowiem ukochaną żonę i obu synów—tyloletnia praca, nakoniec różne okoliczności na przebieg jego zawodu oddziaływające, podkopały były nie pomalą tę niepospolitą wśród pedagogów naszych osobistość, którą pomimo to, dla znających bliżej jego przeszłości kolegów w radzie, nie przestawała otaczać świetna aureola obywatelskiej zasługi. Mniemamy, że obowiązkiem jest uczniów jego uczcić pamięć zmarłego stosownym na jego grobie pomnikiem.

A. G.

PAMIĘTNIK Z POBYTU W AMERYCE.

PRZEZ

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg).

IV.

Washington 15 stycznia. Już od Bożego Narodzenia, powietrze zaczęło być coraz ostrzejsze i zadziwiająco zmienne; tak, że tego samego dnia z rana miewamy często zimno przejmujące a wieczorem ciepło duszne. Pomimo że Washington położony jest pod tym samym stopniem geograficznym co Neapol, jednakże mrozy dochodzą tu często do dziesięciu stopni; już kilka razy mieliśmy nawet śnieg dosyć obfity; nie długo trwał wprawdzie, ale i z tych kilku dni jego trwania sportsmeni miejscy korzystali i szlichtady używano z zapalaniem, zwłaszcza na Penzylwania-avenue, która jest tém w Washingtonie, czém Krakowskie-Przedmieście w Warszawie.

Washington, jakkolwiek od lat kilkudziesięciu istnieje i jest stolicą Stanów Zjednoczonych, jednak w ostatnich czasach dopiero zaczął się wznosić raptownie, i niema roku, ażeby jakaś zupełnie nowa dzielnica mu nie przybyła. Powodem do tego jak zawsze, są pewne kombinacye przemysłowe i kilka linii kolejowych świeżo przeprowadzonych. Zapewne żaden z naszych budowniczych, uwierzyłby nie chciał, że tutaj dom drewniany staje gotowy w przeciągu dwóch dni, a murowany w przeciągu dziesięciu; a jednak właśnie świeżo miałam tego przykład przed oczami, i patrzyłam jak naprzeciw moich okien stawiano dom, rozpoczynając od fundamentów, a w tydzień stał

już dachem pokryty. Szczegółowe wykończanie z równą szybkością postępuje i zwykle miesiąc czasu wystarcza, ażeby na placu, przedtem pustym i zarosłym chwastem, stanął dom całkowicie wykończony; otoczony ładnymi żelaznymi lub kamiennymi sztachetami, z zaprowadzonym gazem, wodociągiem i już zamieszkały.

Wprawdzie, waląc się częstokroć domy zupełnie nowe, nie dowodzą, ażeby ten sposób budowania był trwały; jednak tu o to nikt się nie troszczy, bo domy tu najczęściej budowane są przez przemysłowców, którzy zakupują plac, stawiają na nim kilka domów, które potem częściowo sprzedają. Żaden zaś ojciec gdy stawia dom dla siebie, nie kłopotuje się wcale, czy synowi swemu dom lub gruzi tylko zostawi, stosując się w tém do zasady swego społeczeństwa: iż każde pokolenie, tylko dla siebie obowiązane jest pracować, przyszłość zaś, do przyszłych ludzi należy.

Washington niedługo zapewne będzie dość pięknym miastem; domy ozdobne, ulice szerokie, wylane asfaltem, lub wyłożone drewnianym brukiem, chodniki wyłożone cegłą, obszerne i obsadzone drzewami, które dziś jeszcze młode, ale przy szybkiej vegetacji tutejszej, wkrótce cieniem swoim chronić będą przechodniów od palących promieni słonecznych. Pomimo to wszystko jednak, ma i mieć będzie zawsze charakter monotony w skutek zawsze tej samej reguły kwadratów; przyjętej, jak to już wspomniałam, we wszystkich miastach Stanów-Zjednoczonych, według której formują się ulice, tak jedna do drugiej podobne, że je odróżnić trudno. Mają tu nadzwyczaj praktyczny sposób podziału mieszkań. Ponieważ domy, jak przed chwilą wspomnieliśmy, budowane są przez przemysłowców; ci zakupują więc pewną ilość placu i budują na nim gmach, dosyć okazały, jedno lub dwupiętrowy, dzieląc go na kilka, lub kilkanaście domów, grubą ścianą, jeden od drugiego odłączonych, zajmujących przestrzeń nie szerszą nad dwa lub trzy okna, a mieszczących w sobie wszystko co do wygody i pomieszczenia jednej rodziny potrzebne. Tym sposobem nabywca lub lokator takiego domu, jest wyłącznym jego właścicielem i niepotrzebuje mieć żadnych stosunków z sąsiadami. Urządzenie takie jest tu koniecznym, ze względu na to, że w tym tłumie, jaki tu jest, rozmaitych klas i sfer towarzyskich, które wszechwładny dolar stawia na równi, często bardzo wszelkie bliższe stosunki sąsiedzkie byłyby do niezniesienia uciążliwe. Żaden dom tutejszy nie ma bramy wjazdowej, a osobne ganki wchodowe nadają całej budowie pozór oryginalny i wcale ładny. Każdy gmach taki, cofnięty jest o kilka łokci od trotuaru, od którego oddziela się niską sztachetą żelazną lub kamienną; w ten sposób, że każdy właściciel ma przed swoim domem ładny taras, który zwykle ozdobiony jest bardzo gustownie kwiatami. Wewnętrzne rozporządzenie domu, z małemi odmianami jest takie: dół albo tak zwany besment, to jest suterene zajmuje sala jadalna i kuchnia; pierwsze piętro, tak zwany parloir, czyli salon do przyjmowania gości; wyższe zaś piętra, pokoje sypialne

i mieszkalne całej rodziny. Jeżeli umeblowanie pokoiów, zwłaszcza salonu, przesadzone pretensjonalnie, z wyteżeniem na efekt, niezadowolnia wykształconego europejskiego smaku; to jednak wzorowa czystość jaką się odznaczają mieszkania Amerykanów, wiele rzeczy wybaczyć każe.

Parloir w domu amerykańskim jest gruntem neutralnym całego domu, na którym równe i niezaprzeczone mają prawa wszyscy członkowie rodziny. Zwyczajem jest tutaj, że jeżeli się przychodzi z wizytą, służącemu otwierającemu drzwi, wymienić potrzeba osobę którą się chce widzieć, a ta przychodzi do parloiru i przyjmuje swego gościa. Tym sposobem można długo bywać w jakimś domu i oprócz tej jednej osoby nie znać nikogo z rodziny. Według tego zwyczaju, żona nie zna gości swojego męża; mężowi obce są stosunki towarzyskie i znajomości żony; a matka, nie interesuje się wcale i nie wie prawie, kogo przyjmuje i z kim i jakie stosunki ma jej córka. Tutaj młoda, zaledwie wyszła z dzieciństwa panienka, zabiera jakie się podoba znajomości ze zwykłą temu wiekowi lekkomyślnością, bierze pierwsze lepsze; a nikt się jej w tém nie opiera, ani téż przewodniczy. Zwyczajem jest, że młoda panna przyjmuje wizyty mężczyzn, którzy nigdy w życiu jej rodziców mogli nie widzieć; idzie z nimi na spacer, układa plany wspólnych rozrywek; z wybranym idzie do teatru, na wieczór tańczący, lub na bal publiczny. Wszelkie bale i wieczory tańcujące tutaj, dziwnie ujemne robią wrażenie na świeżo przybyłym nieobytym ze zwyczajami krajowemi. Ponieważ nie jest przyjętém ażeby kobiety starsze, poważniejsze bywały na takich nawet prywatnych zebraniach a zatem całe towarzystwo złożone jest tylko z młodzieży płci obojój; płochéj, lekkomyślnéj, która, cała oddana zabawie, z właściwą tutaj bezżeną i zupełną swobodą, nie krępuje się bynajmniej koniecznemi gdzieindziej formami. Młode panienki, do sali balowój nie wchodzą jak u nas, pod opieką matki, poważnéj matrony, która majestatyczną powagą swoją osłania młode dziewczę i nakazuje dla niéj poszanowanie. Nie obaczysz tutaj tych wszystkich prezentacyi, pełnéj uszanowania grzeczności i tego całego szyku, eleganckiej a przywoitój manieri, które u nas stanowią główną ozdobę każdego takiego zebrania. Tutaj, młoda, ustrojona panna, śmiała, pewna siebie, wchodzi pod rękę z młodym chłopcem, który sam tylko na tę zabawę jej towarzyszy. Zabawa rozpoczyna się bez żadnych wstępnych form i prezentacyi; każdy się bawi, jak i z kim mu weselej. Mężczyźni prowadzą panny do bufetu; tam rozlega się śmiech, wesoła, głośna gawędka, gwar, brzęk wychylanych szklanek, (kieliszków Amerykanie nie używają), wszędzie rozchodzi się przykra woń whisky, krórym młodzi ludzie suto animuszu sobie dodają; stołem bal publiczny ma pozór podobny jak u nas ma zapewne, każdy balik kawalerski, zupełnie nieprzystępny dla kobiet przyzewoitych. Nawet co do tualety balowój nie ma tu żadnej przymusowój formy; kobiety ubierają się strojnie i według reguł balowych; ale to już z włu-

snego w strojach upodobania, które tu jest szczególniej namiętne. Mężczyźni zaś przychodzą na bal, jak się któremu podoba; jedni więc tańczą we frakach, białych krawatach i rękawiczkach, a drudzy w tuzurkach lub żakietach.

Kiedy razu jednego przypatrując się z galeryi, jednemu z najświetniejszych balów karnawałowych, zapytałam mojej towarzyszki, czy te panie tak strojne, nie czują się obrażone, że mężczyźni tak się abnegują w ubraniu? odpowiedziała mi z zadziwieniem „a cóż to może obchodzić kobiety? to kraj wolny; wolno więc każdemu robić, jak mu się podoba.“

Karnawał wre w najlepsze; niema więc domu, ażeby nie było w nim kilka tłumnych zebrań, tak zwanych „partii“. Bywam często w pewnym domu, gdzie są dwie młode panny; tam też dwa razy już uczestniczyłam na takich partyach: były to jak zawsze zebrania samej młodzieży. Żadna matka nie przyszła razem z córką, pomimo dawnych między domami stosunków dobrej znajomości. Młode Miss przychodziły same ze swemi kawalerami, „bean“, starającemi się, czy assystentami, trudno to stanowczo określić; bo taki assystent a raczej kochanek, nie zawsze jest jeszcze starającym się. Gospodyni domu, matka domowych panienek nie wychodziła wcale do *parloiru*, ale wysłała tylko przez służącą ciasto i jabłka, zwykłe i jedyne w takich razach poczęstne dla gości. Ponieważ ta pani jest polką i jestem z nią w stosunkach dobrej znajomości, zesłałam więc na dół i usiłowałam namówić ją, ażeby przyszła także do *parloiru* i chciała należeć do bawiącego się towarzystwa; lecz powiedziała mi, że byłoby to zupełnie przeciwnem ogólnemu zwyczajowi. Ponieważ i mnie całe to towarzystwo więcej razito niżeli bawiło, i dość mi było tego czasu, jaki wśród niego spędziłam, ażeby doznać pewnego niesmaku; pozostałam więc na resztę wieczoru z panią T. a pijąc herbatę, rozmawialiśmy o niektórych ekscentrycznych zwyczajach, jakie tu w życiu towarzyskiem są przyjęte, a które wiele bardzo zgubnych następstw za sobą prowadzą.

Pomiędzy innymi jest przyjętém, że młoda osoba, nietylko że ze swoim beau idzie na bal do teatru i inne tym podobne rozrywki, ale z nim razem robi wycieczki w bliższe i dalsze okolice kraju, czasem kilka dni, a czasem i kilka miesięcy trwające; nikt się temu nie sprzeciwia, a młoda kobieta wychodząc z zasady koleżeństwa, robi, co jej się podoba. Stosunek tych dwojga ludzi wychodzi wszakże poza obręb koleżeństwa, ale nie zawsze małżeństwem się kończy, a często się zdarza, że mężczyzna powraca sam, a kobieta dobrawszy sobie jeszcze przyjemniejszego towarzysza, dalej podróż kontynuje. Pytałam pani T. czy to nie gubi ostatecznie w opinii osobę tak swobodnego postępowania; zapewniła mnie wszakże, że takie właśnie zwykle najlepiej wychodzą za mąż, bo są zręczne i dobrze powiadomione ze środkami ujęcia sobie mężczyzny, a po naszymu mówiąc, że są najrzęczniejszemi kokietkami, co, dziwna rzecz, tutaj najwięcej szan-

sy kobiecie zapewnia. Uderzającym jest, że tu w zupełności opinia publiczna nie istnieje: nikt się nie będzie oburzał na jakiś czyn nieczysty, z największym pobłażaniem patrzą wszyscy na postępek, wykraczający przeciwko prawidłom sumienia lub honoru, z gotowem już tłumaczeniem, że każdy może robić, co mu się podoba, bo to kraj wolny, a wszystkim dany rozum i wola, niech się więc każdy strzeże, ażeby go nie oszukano. Te słowa *wolny kraj* (fry country) są w ustach wszystkich, gotowe do odparcia każdego w podobnym rodzaju zarzutu. Amerykanie najwyższą chlubę sobie robią z téj niczem nieskrępowanej samowoli, ku której wszelkie dążenia są skierowane. Wszakże, patrząc na tę społeczność, jój kierunek i rozprężenie, które się coraz gwałtowniej w obyczaje wciska, przekonujemy się dowodnie, że tak bardzo nieograniczona swoboda, daje pochop namiętnościom, które wzburzone granic nie czują i w zupełny upadek społeczność tę ciągną, niszcząc do szczętu cnoty, które od wiek wieków były i będą podstawą każdego narodu. Że złe, które się dzisiaj wśród społeczności Stanów-Zjednoczonych tak wybitnie objawia, jest wynikiem li tylko tych wszystkich wybrków i mrzonek samowoli, najlepszy w tém mieć możemy dowód, że ta sama społeczność dawniej o wiele odmienny miała charakter. Ludzie z epoki Washingtona i Franklina byli to obywatele prawi, zdolni do cnoty i ofiary; życie prywatne było nacechowane godnością i poszanowaniem tego, co uszanowanem być winno. Dziś nawet, ile razy zdarzyło mi się zbliżyć się do ludzi starszych wiekiem, zwłaszcza kobiet, widzę zawsze uderzającą różnicę, od całego nastroju kobiet młodszych, nowoczesnych, zgangrenowanych już do gruntu tą nieszczęsną mrzonką samowoli emancypacyjnej. Starsze kobiety tutejsze zachowały jeszcze ten urok powagi i godności, który młode pokolenie stara się jak najusilniej i co najśpieszniej zetrzeć z siebie. Żal tylko że te, co same znać inne za niciejsze miały dążenia i uczucia, nie miały jednak dość ugruntowanych zasad, na których mogłyby oprzeć wychowanie i kierunek córek swoich; że nie umiały im wpoić tak głęboko, ażeby byle świetnie błyszcząca zdaleka teoryjka wyrugować z serca nie mogła tego przekonania, że kobieta wtedy tylko jest człowiekiem, kiedy jest kobietą. Ale taka potęga zasad nie wyrabia się w pierwszym pokoleniu; potrzeba, ażeby naród do takiej siły wiekami postępujących po sobie pokoleń dochodził, potrzeba na to stariej, pocziwiej tradycyi, którąby pokolenie pokoleniu przekazywać mogło. Trudno więc mieć za złe Amerykanom starszej generacyi, że na potęgę takiej siły się nie zdobyły, one co téj tradycyi nie miały wcale.

Stan Massachusetts, którego stolicą Boston, jest siedliskiem obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy przedstawiają tam dość licznie jeszcze takie typy stariej daty. Są to powiększej części ludzie już w drugim lub trzecim pokoleniu, bogaci, których ojcowie pewne zasługi dla kraju ponieśli, a w czasie wojny o niepodległość i krwi swojej dla niego utoczyli. Ofiara ta stała się chryzmatem dla dzieci

i wnuków. W Massachusetts światła naukowego jest więcej, niżeli gdziekolwiek w Stanach Zjednoczonych. Zakłady naukowe obsadzone najlepszymi, jakich tu mieć można, professorami. Wielu też z tamtejszych obywateli, wysyła dzieci na naukę do Europy. W ogólności Amerykanie, których widzimy u nas, po większej części pochodzą z tej części kraju. W Bostonie jest już związek towarzystwa naukowego, które krząta się dosyć pilnie, nie szczędząc i kosztów około gromadzenia materyałów, do rozszerzenia wiedzy potrzebnych. Tam też i literatura krajowa ma swoje główne ognisko. Słowem, jestto jedyna część kraju, do którego prawdziwa cywilizacja ma przystęp ułatwiony. Szkoda tylko, że i w tym zakątku kraju, emancypacja kobiet robi wyłom w poważnych obyczajach, które dotąd zdołały się tam jeszcze przechować. Mnóstwo młodych pańien, uczęszczających do uniwersytetu Bostońskiego, tak dalece posuwają ekscentryczność, dążąc do najzupełniejszego równouprawnienia z kolegami płci męskiej, że dla ostatecznego zniwelowania wszelkiej różnicy, przyjęły strój męzki, i tak ukostiumowane wspólnie z kolegami, uczęszczają do wszystkich miejsc publicznych: knajp i tym podobnych.

Zwolennice takiego postępowania, tworzą osobne stowarzyszenie pod nazwą Blumerystek; dążeniem jego jest zupełne porównanie wszelkich praw, tak ogólnych jak indywidualnych, w życiu publicznym i prywatnym, porównanie w całej rozciągłości tego wyrazu.

Pomimo, że ekscentryczność tego stowarzyszenia do najwyższych potwornych krańców dochodzi; mówiono mi, że wszakże szerzy się z dziwną szybkością. Niewięcej jak lat kilka temu, mówiono tu o tém jak o pojawieniu się nowatorstwa, przez wyjątkowe zaledwie osobistości przedstawionego. A jak mi mówił pan K., o którym już wspominałam, ponieważ tutaj o różnorodność nowatorstwa i stowarzyszenia nie trudno, mało więc kto zwracał uwagę na to nowe zjawstwo. Dziś wszakże to stowarzyszenie Blumerystek tak wzrosło, że niema miasta prawie, któreby nie miało kilkudziesięciu, kilkunastu, lub kilku przynajmniej gorących propagatorek związku. A jeżeli nie przeciągnęły dotąd większej jeszcze liczby kobiet, to tylko dlatego, że pierwszym warunkiem i koniecznie obowiązującym, przystępujących do związku, jest przyjęcie ubrania męskiego. Amerykanki z nadto zamiłowane są w stroju, ażeby tak łatwo wyrzec się go mogły i przyjąć prostą odzież męską, z którą nie wszystkim do twarzy być może.

25 stycznia. Wieczór wczorajszy spędziłam w towarzystwie polskiem, samych wychodźców, co już od kilkunastu a niektórzy i kilkudziesięciu lat osiadłymi są obywatelami Stanów Zjednoczonych. Wszyscy najdokładniej powiadomieni są ze wszystkiemi co się tyczy tego kraju, mówili mi więc wiele nowych a ciekawych rzeczy. Głównym wszakże przedmiotem rozmowy była ostatnia wojna domowa, znana pod nazwą wojny o uwolnienie murzynów, która w Europie zjednała ogólną sympatyą dla Amerykanów i Stany Zje-

dnoczone postawiła na zaszczytném stanowisku wśród krajów cywilizowanych.

Nie chciałabym wydzierać złudzeń w tój mierze tym, co je dotąd mieli; ale w skutek postanowienia jakie zrobiłam, ażeby w niniejszém piśmie mojem dawać o wszystkiém, co mi tu pod oczy spada, sprawozdanie jak najsprawiedliwsze, nie mogę przeto zamilczeć wyjaśnienia, jakie w kwestyi tój wojny dali mi ci, co w tój wojnie sami czynny udział brali, jedni jako szeregowi, lub oficerowie, inni znowu jako liweranci i werbownicy. Być może, że u nas mała tylko liczba osób, z tych co specjalnie oddają się śledzeniu spraw politycznych obcych krajów, wie o tém, że ostatnia wojna domowa Ameryki Północnej, nie same tylko filantropijne miała pobudki. Głównym do niej powodem było współzawodnictwo o przewagę Stanów Północnych z Południowemi. Północne na których rozsiadły się największe miasta Ameryki, bogate w ludność, kapitały i przemysł, zapragnęły przewagi nad Południowemi, które ze swęj strony potężne były obszarem swojego terytoryum, bogactwem produktów i tłumami czarnych niewolników. Odjąć niewolników południowcom, to było ich osłabić. Ztąd powstała pierwsza myśl uwolnienia czarnych; wnioskowi temu, południowcy stanowczą postavili opozycję na kongresie, a z opozycji wynikła tak krwawa i zajadła walka, na jaką zdobyć się mogły tylko gwałtownie wzburzone namiętności i zapamiętały antagonizm, pod którego wpływem zostawały obie zarówno strony.

Nie będę tu przytaczać szczegółów, które mi opowiadano, tycających się tój wojny; kosztem najstraszliwszój rzezi i bezwzględnegó łupieztwa, przeciąganój długie pięć lat, przez tych, co znajdowali tysiączne zręczności robienia na nićj dla siebie fortuny. Jednóm słowem, była to, jak się wyraził jeden z naocznych jój świadków, „najznakomitsza złodziejska antrepreza, jaką kiedykolwiek widziano.“

Nacisnąć wszakże na to potrzeba, że wojna ta, stanowczo i przeważnie wpłynęła na zdemoralizowanie tutejszój społeczności. Przez pięć lat wśród mordów i rabunku wojny domowój, przyzwyczajano się do tego, ażeby stłumiwszy wszelkie szlachetne uczucia, po trupach braci iść po zdobycz na własną korzyść; ażeby szarpać na wszystkie strony własność cudzą i publiczną; by najważniejsza sprawa publiczna ustąpić była zmuszoną przed prywatnym interesem, który przedewszystkiém każdy miał na celu.

Przez pięć lat eksploatowano skarb narodowy w różnorodny sposób, a coraz bezczelniejszy. Było to obfite żniwo dla tych, co pragnęli łatwego a prędkiego dorobku; a tak to było powszechne, że starło zupełnie poczucie jakiegokolwiek bądź skrupułu.

Jeden z tych co mi o tój wojnie rozmaite szczegóły i system jój administracyi opowiadali, dodał z całą naiwnością: „Dobre bo to były czasy, chyba już ktoś był bardzo niezręczny, jeżeli się niczego nie dorobił.“

„Pieniądze płynęły jak woda, tylko je potrzeba było umieć pochwyć. Skarb wtedy był jeszcze bogaty; dawano pieniądze liwerantom naprzód, a zdając produkt, łatwo było, podzieliwszy się zyskiem z tym co go przyjmował, zbyć byle czém, i dzieląc się, we dwójnasób, ba! i więcej, zarabiano się jeszcze. Ci, co się trudnili werbunkiem ochotników, brali na nich żołąd bez kontroli; i można było brać go na pięćdziesięciu a czasem i stu, a mieć ich kilku za ledwie. Tłumaczenie było łatwe: druga strona zapłacała im więcej i zwerbowała do siebie. Opowiedziećby niepodobna wszystkich tych sposobów robienia pieniędzy, które każdy miał pod ręką.“ Gospodyni domu, dodała jeszcze: „Nie uwierzy pani, mówiła, jak to łatwo było przyjść do posiadania rzeczy kosztownych i pięknych; ja sama miałam, ten oto obok pokój, cały załadowany mnóstwem rzeczy, które przynosili mi oficerowie wychodzący z wojskiem, prosząc o przetrzymanie, dopóki nie wrócą. Były tam prześliczne aksamitne suknie, materye całemi sztukami, koronki, ogromnej wartości biżuterie, zegarki, srebra stołowe; wszystko to potem pozabierali napowrót, i sprzedawali za połowę wartości.“

Oto jest odwrotna strona medalu, który nam się niegdyś tak świetnym wydawał.

Nietrzeba wszakże sądzić, ażeby nie było tu już wcale takich, coby powodowani uczuciem ludzkości, czuwali nad kwestyą murzynów. Na czele takich stali prezydent Lincoln i senator Sumner; oba gorąco popierali myśl zniesienia niewoli. Senator Sumner znakomity mówca i człowiek prawdziwie rozumny, przy każdej sposobności starał się przekonać współobywateli, że jeżeli ze względu na postęp cywilizacji i rozwój uznania godności człowieczeństwa, dziś już niewola mieć miejsca nie może; to niemniej także zniesioną być musi z powodów czysto politycznych. Forma rządu rzeczypospolitej Stanów Zjednoczonych nigdy przez świat cały uznana być nie może, jeżeli w łonie swoim chować będzie taką sprzeczność, jaką w obec swobód rzeczypospolitej konstytucyjnej jest straszliwa niewola murzynów. Istotnie tymto ważnym obywatelom zawdzięczać należy, że wniosek równouprawnienia murzynów utrzymał się i przeprowadzony został w całej rozciągłości: za gwałtownie może, ale zato radykalnie. Zagwałtownie powiadam, bo takie nagłe przeprowadzenie dwunastomilionowej ludności w największej ciemności pogrążonej, ze stanu najhambniejszego poniżenia do stanowiska obywatela kraju, ze wszystkimi tego stanowiska przywilejami; więc wolnego głosu, zasiadania w radzie i tym podobne, nie jedno złe na kierunek społeczny wywarło. Trudno bowiem wymagać, ażeby ci, którym przez tak długi czas, nie wolno było mieć się za ludzi, naraz poczuli w sobie godność człowieka. Pierwój go zrobiono obywatelem, zanim mu dano poznać, co to jest być obywatelem kraju swego.

Pomimo tych wszystkich swobód, jakie otrzymali, murzyni nie zdołali jeszcze zetrzeć z siebie tego piętna spodlenia, które niewola,

a może niedawna jeszcze a wrodzona dzikość na nich wypiętnowała. Świeżo przybyły Europejczyk potrzebuje jakiegoś czasu, ażeby widok szkaradnej, dzikiej a bezmyślnej fizygnomii murzyna nie robił na nim przykrego wrażenia. Wstręt ten jest poniekąd usprawiedliwiony t \acute{e} m, że im się bliżej temu narodowi przypatruje, t \acute{e} m dokładniej się przekonać potrzeba, jak dalece odarty jest z uczuć ludzkich i jak zakorzenione, a może nawet wrodzone są w nim, złe skłonności, których ani okoliczności ani pewne nawet wykształcenie zetrzeć nie mogą. Pomimo, że w ostatniej wojnie, której rezultatem murzyni swoją swobodę otrzymali; Amerykanie ponieśli ciężkie ofiary, które dotąd jeszcze uczuć się dają; czarni nie tylko że żadnej wdzięczności dla swych wybawców nie czują, ale są skrycie zajadłymi wrogami białych. Nienawiść ta z czasem wybuchnąć może w strasznej i zawziętej walce, którą już dziś wielu przewiduje; i skutkiem tego, głębiej myślący obywatele, utworzyli prywatne towarzystwo, mające na celu wysyłanie murzynów do Afryki kosztem towarzystwa.

Brak jednak rąk roboczych, który się i dziś czuć daje, opóźnić musi wykonanie zamiaru pozbycia się czarnych, w końcu wątpić należy, czy ten zamiar mógłby nawet kiedykolwiek przyjść do skutku; bo murzyni stawszy się wolnymi obywatelami Stanów, radzi są z obecnego położenia swego i niechętnie słuchają tych, co ich do emigracji namawiają. Na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych, już tylko około miliona Indian czerwonych liczą zaledwie. Nieszczęśliwy ten naród, skazany jest na zupełne wyniszczenie, ku czemu rząd Stanów dąży systematycznie. Wprawdzie niewygodni to z nich sąsiedzi; bo większość pokoleń indyjskich pozostaje ciągle w stanie napół dzikim, lub dzikim zupełnie. Trudnią się często rozbojem i łupieżstwem i straszną są plagą dla okolicznych cywilizowanych kolonii. Ale wyznać potrzeba, że i ci niby cywilizowani, najczęściej zdzierstwem, oszustwem, a nieradko i morderstwem, sami bywają powodem do tego, że ciemny i dziki wojownik czerwony, mści się krwawo za swoją krzywdę. Ztąd nieskończone zatargi, co zwykle kończą się wyniszczeniem pokolenia, za współudziałem siły zbrojnej rządu, który czuje się w obowiązku osłaniać swoich obywateli.

Amerykanie obwiniają Indian, że się nie cywilizują; lecz uderzywszy się w piersi, wyznać powinni, że nikt tu nie myśli o t \acute{e} m, ażeby światło cywilizacji wnieść do wigwamu Indianina. Ze strony cywilizowanych niema żadnego usiłowania ażeby przyciągnąć ku sobie ciemnych swych braci i złagodzić ich obyczaje, dając im przykład miłości chrześcijańskiej. Rząd Stanów, chcąc o ile można usunąć Indian z ziem białymi już osiedlonych, wyznaczył ogromną przestrzeń ziemi, nazwaną Territoryum Indian i tam powoli stara się gromadzić wszystkie pokolenia, rozrzucone dawniej po całej przestrzeni Stanów; dokonywa tego, za pomocą dobrowolnych ukł \acute{a} dów i zamian. System ten możeby przyniósł z czasem dobre rezultaty, gdyby nie to, że i tu psuje wszystko zdzierstwo prywatnych osób.

Rząd Washingtonski, układając się z Indyanami o zamianę, obowiązuje się zwykle płacić im pewną daninę produktami żywności, co daleko więcej znaczy dla czerwonych, niżeli ziemia, z której, jako nie trudniący się wcale rolnictwem, nie wielkie korzyści wyciągnąćby mogli. Dostawa umówionej daniny dokonywa się, jak wszystko tutaj, przez prywatnych przedsiębiorców; ci zaś, nie poprzestając na godziwych ztąd zyskach, tysiącnie robią malwersacye: zakupują zwykle w portach, zadarmo prawie, żywność napół zgniłą, którą kapitanowie okrętów wyrzucają, jako niezdatną do użycia i tém zbywają Indyan; ztąd nieustanne zatargi, bo czerwoni oburzeni, zrywają układy i napadając na sąsiednie kolonie, usiłują pomścić się krzywdy i straty swoje powetować. Charakter Indyan jest zawsze ten sam, dumny, wyniosły, nieugięty, ale pomimo dzikości ma pewne odcienia szlachetne, bardzo wybitne.

Czerwony wojownik, o ile nienawidzi Jankesów i Anglików, o tyle znowu szczególną ma słabość dla Francuzów; Francuz gdy wejdzie do wsi indyjskiej, jest tam najmiłym gościem i robi z Indyanami co zechce, stając się dla nich prawdziwą wyrocznią; rząd też zwykle, w ujawawionych kwestjach używa Francuzów jako pośredników.

Sympatya ta nie jest bezzasadną i datuje się od dawnych czasów, kiedy Ameryka Północna zostawała jeszcze pod panowaniem francuzkiem. Prawy i szlachetny charakter narodu francuzkiego i prawdziwie chrześcijańskie ciepło jego katolicyzmu, wywierało dziwnie łagodzący i zbawienny wpływ na dzikich Indyan, a wpływ ten musiał w bardzo błogi sposób dawać się im uczuć, kiedy pamięć jego, przez tyle pokoleń dotąd przechowali.

W czasie kongresu, rozmaite plemiona indyjskie wysyłają do Washingtonu delegacye, tak dla zawierania układów, jako też zanosząc tysiącne skargi i prośby o sprawiedliwość.

Delegacye takie składają się z kilkunastu a czasem i kilkadziesiątu osób; kobiety towarzyszą mężczyznom w nadziei otrzymania podarków. Lud to okazały, ogromnego wzrostu, atletycznej budowy, rysów niepięknych, ale wyrazistych, cała powierzchowność dziwnie poważna i imponująca. Strój zachowują najczęściej swój właściwy, składający się z koszuli przepasanej w pasie, kołdry wełnianej kolorowej, zawieszonej na ramionach w kształcie togi, mokasiny okrywają nogi do kolan, na głowie strój z piór jaskrawych, za pasem rewolwer, na plecach strzelba, w rękę tomahawk; wszystko to razem robi efekt malowniczy i charakterystyczny.

Niesłusznie poczęści, Amerykanie robią zarzut, że Indyanie, zupełnie nie są przystępni dla cywilizacyi, bo jednak pomimo, że jak piszemy, nikt nie usiłuje ich cywilizować, niektóre plemiona, które w spokojniejszych i szczęśliwszych znajdują się warunkach, straciły już dużo z dawniej swojej dzikości i idą ciągle, chociaż wolnym krokiem, po drodze postępu. Plemie Czerokezów, na czele takich stoi

i organizuje swój rząd na wzór Washingtonskiego, ma swoją szkołę, swoją gazetę nawet. Czerokezy trudnią się rolnictwem, przemysłem i w przyjaznych pozostają stosunkach ze swemi białemi sąsiadami. Dowód więc jasny, że gdyby pracować chciano nad rozszerzeniem cywilizacji wśród tego narodu, Indyauie amerykańscy stanąby mogli zarówno z innymi w szeregu cywilizowanej ludności, tém łatwiej, że dopomogłyby w tém niepomału ich znakomite zdolności umysłowe, ktorými się odznaczają, obdarzeni z natury, jak wiadomo, zadziwiającą przenikliwością i sprytem, przy wrodzonym charakterze poważnym a głębokim.

V.

W lutym. Wieczór się zbliża, wicher gwałtowny wyje i szumi, a wznosząc tumany śniegu tłucze o szyby; białe obłoki mkną szybko ku wschodowi, jakby tam daleko po za oceanem biegły szukać spokoju, wytchnienia i umiarkowańszej atmosfery. Myśli moje lecą za nimi i jabym téż chciała na skrzydłach wiatru przenieść się w świat stary, gdzie ludzie wolniej do celu dążą, gdzie namiętności nie tak wzburzone. Ale któż wie, czy Bóg mi pozwoli jeszcze ucieszyć serce wśród swoich, odetchnąć powietrzem rodzinnego kraju! Czy przebędę szczęśliwie przestrzeń, dzielącą mnie od niego? Niema dnia, żeby dzienniki marynarskie nie ogłaszały przerażających katastrof, co chwila straszliwe burze się srożą a ocean setki ofiar pochłania.

Kilka tygodni temu, przepyszny passażerski parowiec linii Transatlantycznej (Ville de Havre) stał w porcie New-Yorku; mnóstwo osób biegło do przystani obejrzeć to arcydzieło sztuki marynarskiej, wykończone bez zarzutu, tak pod względem mechaniki, jako téż wyszukaney wygody, elegancyi i gustu. Wesoło w tym roku bawiono się w New-Port, gdzie morskie kąpiele ściągnęły kwiat Bostońskiego towarzystwa i rodziny europejskich ambasadorów. Amerykanie bawić się lubią, a że to wszystko byli ludzie bogaci, ktorým o środki do wesołych rozrywek nie było trudno, a w dodatku kilka pięknych i poważnych panien na wydaniu animowało obecną tam młodzież męzką, do ożenku gotową; więc całe rozbawione towarzystwo ani się spostrzegło, kiedy zbiegły skwarne miesiące a rozpoczynające się lato indyjskie przypominać zaczęło, że nadeszła pora rozjeżdżania się do domów. Najweselsi z wesołych, nie mogli się zdecydować na to, ażeby już ostatecznie zakończyć szereg wesołych zabaw; zebrawszy się więc liczném gronem na lunch ¹⁾ pożegnali, postanowili razem, tłumnie pojechać na zimę do Paryża i tam nanowo rzucić się w wir wesołej zabawy. Uradzone i zrobiono; a każdy co rychlej pospieszył do domu, ażeby naprędce się rozporządzić, i na umówiony dzień wszyscy znaleźli się w New-Yorku a tak punktualnie, że nikogo na apel nie brakło.

¹⁾ Śniadanie.

Za kilka dni Ville de Havre odpływał do Francji, nie było nawet o czém debatować; zakupiono kilkadziesiąt biletów pierwszej klasy pysznego parowca i całe wesołe towarzystwo rozpromienione nadzieją przyszłych uciech, wśród śmiechu i gwaru weszło na pokład, a w kilka godzin potem stracili z oczu brzegi Ameryki, marząc o świetnościach Paryża, stolicy elegancyi i mody.

Czwartego dnia podróży, zerwał się orkan gwałtowny, wzburzyły się fale oceanu i tłukły wściekle o boki okrętu, ale dumny siłą swoją parowiec hardo stawiał czoło wściekłym bałwanom i pruł ich fale, zmierzając bez przerwy w raz obranym kierunku. W dali na horyzoncie od strony, z kądem coraz wzmagający się huragan dał rozszalały, ukazały się maszty żaglowego statku, a w kilka chwil potem patrzący z pokładu parowca ujrzeli niewielki dwumasztowy bryg, pchany ku nim gwałtownie potężną siłą wichru, co raz zawładnąwszy słabą nawą, zdawał się szydzić z usiłowań żeglarzy i parł ją naprzód o własnej woli. Kilka minut czasu potrzeba tylko było, ażeby bezwiednie śmigający po oceanie bryg, znalazł się o kilkanaście węzłów tylko od Ville de Havre, pędząc na oślep prosto na niego; kapitan parowca zawołał przez tubę na żeglarzy brygu, ażeby się strzegli starcia, ale tamtym nie starczyło już czasu aby odpowiedzieć, że to nie jest w ich mocy. Odpowiedzią było uderzenie gwałtowne, a ze wszystkich piersi wydarł się krzyk straszny, okropny, ostatni krzyk żyjących; w chwilę potem przebity uderzeniem brygu, pyszny przed chwilą parowiec, w mgnieniu oka poszedł na dno, pograżając ze sobą całą osadę; a kiedy w chwilę później, żeglarze brygu, miotanego ciągle falami rozszalałego żywiołu, obejrzelisi się poza siebie, obaczyli tylko w około piętrzące się bałwany, kryjące na wieki tych, którzy przed pół godziną jeszcze pełni nadziei i wesela, płynęli szukać nowych uciech, nowych rozkoszy. Wypadek ten przykre wywołał wrażenie. Wielu z tych, co tak okropną i niespodzianą śmierć ponieśli, miało w Washingtonie krewnych lub znajomych. Obwiniają tu kapitana, dowodzącego parowcem, o nieostrożność i zbytćnie lekceważenie niebezpieczeństwa, które w każdym razie groziło jednemu lub drugiemu z okrętów; być może, ale tymczasem nieszczęście się stało, oby przynajmniej posłużyło innym za naukę!

Takto dziś jeszcze, podróżujący do Ameryki doznawać mogą silnych, aż nadto silnych wrażeń, ale niezupełnie może takich, jak sobie nieraz zapewne wyobraża wybierający się w tę podróż. Nie myśl, kochany czytelniku, ażebyś, przybywszy do Ameryki, mógł łatwo się spotkać z ową przepyszną i bogatą naturą, widzieć te lasy dziewicze, tak przerażająco piękne, a które tak malowniczo opisują nam podróżnicy i powieściopisarze europejscy. Ameryka Północna, ulegając pochodowi cywilizacji, straciła już swój pierwotny charakter dziki, lecz potężny. Padły już pod toporem Jankesa odwieczne olbrzymie drzewa; zwierz dziki z przerażeniem słucha świstu nadbiegającej lokomotywy, a czując zbliżającego się straszliwego przeciwnika,

z trwogą ucieka w głąb stepów Nebraska i Colorado, których nie-przebyte a jałowe pustynie zapewniają mu spokój na jakiś czas jeszcze.

Dziś w wygodnym wagonie przelatując szybko kraje Stanów Zjednoczonych, ujrzyś łąny uprawnej ziemi, fermy porządnie zbudowane, przypominające nasze polskie dwory; tam i owdzie sterczący wysoki komin buchający czarnym dymem, każe się domyślać, że jakiś przemysłowiec na miejscu, przerabia na towar, surowy produkt krajowy. A jeżeli gdzie w dali na boku obaczysz jeszcze zabytek dawnej, groźnej natury, najeżonej skałami olbrzymich kształtów, to tylko dla tego, że białemu zdobywcy na drodze to nie stoi. Gdy plan nowej kolei, tamtędy ją przeprowadzić każe, wnet runą te przedpotopowe głązy, lub wewnątrz ich tunelem przewiercone zostanie, a kłęby pary zmyją z nich szron wieków, którym dotąd nakazująco imponują. Już ciągle wyzyskiwana natura, nie jest w stanie wysłać się na owe dziwotwory, które tak słusznie podziwieniem jej badaczy bywały. Rząd Stanów Zjednoczonych, widząc to niczém niepohamowane wyzyskiwanie i zniszczenie przyrody, chce przechować przynajmniej pamiątki tego bogactwa; nabywa więc na własność skarbu, wszystko cokolwiek jest bardziej podziwienia godne i obszary ziemi odznaczające się szczególném bogactwem roślinności; tym sposobem w południowej Kalifornii i południowej Florydzie są jeszcze zabytki lasów dziewiczych, troskliwie od zagłady strzeżone. Ciekawy podróżny zwiędza je, jak ogród botaniczny, już po ubitęj drodze i w wygodnym powozie, a patrząc z podziwieniem i żalem na te świetne szczytki, z oburzeniem pyta sam siebie: ażaliż wyniszczenie takie, bogactw pierwotnej natury, czynem cywilizacyi zwać należy?

Miasto Washington ma swój ogród botaniczny, ale z zadziwieniem znalazłam, że bardzo ubogo przedstawia roślinność krajową; mówiono mi, że i tu chciwość prywatnych jest tego powodem, bo znaczne fundusze na ten cel ze skarbu przeznaczone, pozostają w ręku administratorów. Chociaż rząd Stanów, na sposób europejski, wydaje ogromne summy ze skarbu na rozmaite gmachy i instytucye; wszystko to wszakże bardzo nędznie jest utrzymane, bo wszystko się zawsze rozbija o niesumienność tych, którym są powierzone, a wyobrazić sobie trudno, jak bez najmniejszego skrupułu się to robi. Pokazywano mi budowy rządowe, na które dwie trzecie części wyłożonego ze skarbu kapitału, przeszły w ręce uzurpatorów. Jednym ze znakomitych pomników takiego nadużycia, jest gmach ratusza *City-Hall* w New-Yorku. Nie wymienię tu cyfry przywłaszczonej summy, bo u nas nie chcieliby może nawet temu uwierzyć. Opinia publiczna nie karze wcale nadużyć podobnego rodzaju, owszem nawet z pewnym poszanowaniem mówią tu o człowieku, co kosztem prywatnej lub publicznej własności umie zrobić fortunę: nazywają go *smart-gentlemen* t. j. zręczny człowiek. Takie pobłażanie jest powodem, że zepsucie szerzy się niczém niepowstrzymane i paraliżuje rozwój

sił wewnętrznych państwa, które tak podkopywane we wszystkich gałęziach swojej ekonomii, nic prawdziwie gruntownego mieć nie może i na nic rachować nie jest w stanie.

Najokazalszym gmachem w całym kraju jest w Washingtonie gmach poświęcony obradom izby reprezentantów, senatu i rozmaitych innych komitetów (po naszymu ministerjów). Gmach ten nazywa się szumnie Kapitołem; cały z białego marmuru, obszerny, o dwóch skrzydłach; sam korpus zbudowany na wzór Panteonu paryzkiego z pięknym frontonem i wspianiałemi wschodami. Szkoda tylko, że wewnętrzne urządzenie gmachu nie odpowiada ani zewnętrznej okazałości, ani poważnemu swemu przeznaczeniu. Korytarze wąskie i ciemne, sale nie dosyć obszerne i wysokie, nie ozdobione żadnym arcydziełem sztuki, które w takim miejscu koniecznemi byłyby, nie ma tam nic, coby prawdziwie zaimponować mogło. Amerykanie, zwłaszcza tacy, co nie wydalali się nigdy poza granicę Stanów Zjednoczonych, dumni są swoim Kapitołem i uważają go za istotne arcydzieło sztuki i gustu, a nad niektórymi mianowicie szczegółami unoszą się z ekstazą, przyjeżdżając z dalszych części kraju, by je obejrzeć; dla nas jednak Europejczyków, są to wszystko rzeczy bardzo zwyczajne, a patrząc na nie i widząc tę powszechną a tak łatwą admiracyę wołamy w myśli: jakże ten nowy świat, o wiele jeszcze jest cofnięty we wszystkiem od europejskiego postępu, jakże wiele jeszcze czasu upłynie, zanim zrównać się z nim potrafi, i czy się zrówna jeszcze kiedykolwiek? to wielkie pytanie!

Ludzkość starego świata powoli dąży, ale każdy jej krok oparty na zdrowej i silnej podstawie, więc idzie śmiało a idzie prosto, nie błądząc, bo naprzód drogi sobie wytknęła. Nowego świata ludzie pędzą na oślep a sądząc z pośpiechu swego dążenia, myślą że lada chwila szczytu osiągną; ale czyż wszystkie drogi do tegoż celu prowadzą? ta młoda, płocha społeczność idąc po bezdrożach, któż wie dokąd zajdzie? Długoż dostoi ten gmach ich bytu, który bez fundamentów budują?

Samo nazwanie Kapitolu, nie wiele robi wrażenie, traci to straszną blagą; naród, co chce mieć swój Kapitol, powinien mieć także swoich Cyncynatów i Brutusów; a jakże zdobyć się na nich może społeczność, tak zgangrenowana na wskrós prywatą, jak społeczność Stanów Zjednoczonych.

Będąc pierwszy raz na galeryi w sali obrad, widziałam tam kilkunastu młodych chłopaków, od lat dwunastu do czternastu, przyzwyczajonej powierzchowności, snąc dzieci zamożnych rodziców, będących na ciągłej posłudze obradujących, to roznosząc papiery, to przynosząc od jednego do drugiego kartki i piśmienne komunikacye. Podobał mi się niezmiernie widok tych chłopców tak młodych, uprawiających się do posługi około spraw publicznych i najzupełniej byłam pewna, że to jest rodzaj honorowej służby; ale niestety! rozczarowano mię wkrótce, bo mi powiedziano, że to są miejsca wcale nie

honorowe, ale bardzo dobrze nawet płatne. Każdy z takich chłopców zarabia miesięcznie siedemdziesiąt pięć dolarów i zwykle reprezentanci i senatorowie swoich synów lub krewnych tam umieszczają. Kiedy przy tej zręczności, w czasie obiadu, opowiedziałam, że u nas do ostatnich czasów jeszcze na sejmach współobywatele z pomiędzy siebie wybierali urzędników, którzy bez żadnego wynagrodzenia o własnym koszcie swoje obowiązki pełnili; całe towarzystwo spojrzało na mnie z uśmiechem takiego niedowierzania, jakbym jakąś największą błagą powiedziała. To co znalazłam tutaj prawdziwie podziwiania godnym, to wszelkie mechaniczne wynalazki, służące tak dla zastąpienia pracy rąk ludzkich, jako też ułatwienia i udogodnienia wszelkiego rodzaju; rozwój na tym polu dochodzi do najwyższego stopnia. Co chwila podziwiać potrzeba jakiś pomysł dziwnie trafny, a prosty częstokroć, który daje dowód genialnego dowcipu. Ten duch wynalazku rozbudził się tu przeważnie od czasu ostatniej wojny, kiedy dało się uczuć gwałtownie brak rąk pracujących; wtedy to i rząd tutejszy, zaczął usilnie protegować wszelkie odkrycia i pod tą osłoną, mechanika wynalazcza zaczęła coraz wyżej postępować. Maszyny tu są zastosowane do wszelkiego działania, i pracę ludzi zastępują w rozmaity sposób. U nas przy większej ludności, możeby takie zastąpienie ludzkiej pracy nie było tyle pożądanem; tutaj jest prawdziwem dobrodziejstwem. Amerykanie pyszną się swemi maszynami i słusznie, lecz nie tylko chcą je mieć doskonałemi i nieomylnemi, ale każda z nich musi być powierchu wysrebrzona i wyzłocona, jakby jakiś sprzęt zbytku i elegancyi; słabość tę łatwo wybaczyć można, widząc istotną ich wartość.

To zamifowanie Amerykanów w zewnętrznej okazałości swoich maszyn sprawia, że cudzoziemiec przybywający do Stanów Zjednoczonych, widzi na wstępie, że jest w kraju przodującym mechaniką pomiędzy innemi krajami, i istotnie pierwszeństwo mu się w tym słuźnie należy. Pomiedzy innemi maszynami zadziwającami doniosłością swoją, jedne z bardziej udoskonalonych są maszyny, któremi się posługuje straż ogniowa; siła i działalność ich jest znakomita. Niedawno byłam świadkiem pożaru, który w bliżkiem naszym sąsiedztwie wybuchnął i patrząc z okna, miałam dobrą zręczność przypatrzenia się dokładnie ich działaniu. Sikawki, siłą pary pompujące, tak potężnie działały, że w mgnieniu oka opanowały płomień, który już dach obejmował, wybuchając na zewnątrz; dodać jeszcze należy, że każda z tych maszyn jest tak lekka, że dwóch ludzi wystarcza, ażeby ją dowolnie z miejsca na miejsce przesunąć, co także znakomicie dopomaga ich funkcyonowaniu. Co do tej lekkości w budowie, to byłoby może trudnem gdzieindziej do naśladowania, gdyż tu przeważnie temu dopomagają znakomite gatunki drzewa, popolicie używane do wszelkiej roboty stelmachskiej i stolarskiej, gąstunki, jakie tylko Ameryka posiada; w tém odznacza się szczególniej kilka rodzajów drzewa orzechowego, twardych i giętkich jak stal. Do-

bór takiego materiału sprawia, że tutaj każdy rodzaj powozu odznacza się mocą obok dziwnej stosunkowo lekkości, gdyż wszystkie szczegóły drewniane nie potrzebują być grube, ażeby były mocnymi. Żelazo amerykańskie jest nadzwyczaj kruche i z tego powodu wszyscy fabrykanci i mechanicy w swoich wyrobach posługują się stalą sprowadzaną z Anglii, co zwiększa niepomniernie cenę każdego podobnego przedmiotu. Miasta amerykańskie celują jeszcze znakomicie urządzeniem wodociągami, zaopatrującemi w dobrą wodę nietylko całe miasto, ale każdy dom z osobna, a oprócz tego jeszcze, na trotuarze co kilka kroków są krany tak urządzone, ażeby w razie pożaru straż ogniowa mogła zakładać rury i mieć w każdej chwili wodę pod ręką, nie potrzebując jej wozić z sobą. W Waschingtonie rozerwoar wodociagowy tak jest zastosowany, że woda z tych kranów sama bije na dwadzieścia stóp w górę. Można sobie łatwo przedstawić, o ile podobne urządzenie jest doniosłą pomocą dla działania straży. Pożary tu nadzwyczaj częste, skutkiem tego, że mnóstwo maszyn parowych, któremi całe ulice są przepełnione, pomieszczone najczęściej bywają w drewnianych szafasach, obok składów z palnymi materiałami, w fabrykach wyrobów drewnianych lub wśród innych przedmiotów takich, dla których jedna iskra wystarcza, ażeby płomień wybuchnął; ztąd też pomimo wszystkich udoskonaleń przeciwdziałania, ogień zbyt często straszne zniszczenia wyrządza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Literatura Malajozyków, odkryta przez filologów holenderskich. Bidasari, poemat malajski przekładu Ludwika Backer. Pieśni liryczne.—Rozwój idei demokratycznych w stosunku do sztuk pięknych.—Wystawa obrazów w pałacu przemysłowym. Szkoła realistyczna: Respha odganiająca sępa od powieszonych synów Saulowych, Beckera.—Spisek za Tarkwiniusów, p. Gluize.—Malarze różnobarodowi: Amerykanie, Szwajcarzy i t. d.—Prace trzystu czterdziestu kobiet na wystawie.—Piekło Dantowskie Dorego.—Obrazy religijne: Chrystus w pośród dzieci, Michela.—Śmierć św. Józefa, p. Landelle.—Chrystus w grobie, p. Sellier.—Sceny biblijne: Thamar Cabancla.—Samson p. Lehoux.—Pześladowanie za Dyoklecyana p. Sansay.—Obrazy historyczne: Julia siostra Cezara Lucylliusza, Ziera.—Śmierć Seneki i Sylwestra.—Neron, Schutzenbergera. Radegunda p. Pavis de Chavamus. — Obląkany Van der Goes, Wantersa.—Zawieszenie dzwonu Zygmunrowskiego, Matejki.—Rycerze krzyżowi, Wojciecha Gersona. — Obrazy mitologiczne: Pyram i Thisbe p. Delobbe. — Porwanie Ganimeda p. Ferrier. — Śmierć króla Rawany, Cormona.—Ofiara Eskulapowi p. Geudron.—Bella matribus detestata, Mersona.—Juliusz Cezar Ywona.—Portret hrabiny Caen: testament jej na rzecz młodych artystów.—Portret pani Pasca, Bonnata.—Portrety Carolusa Duran, Rodakowskiego i t. d.—Portret pedzla panny Izydory Mikulskiej, Uspiona Prządka.—Krajobrazy Corota: wystawa jego dzieł w Akademii Sztuk Pięknych.—Obrazy wojenne: Bitwa pod Villersexel, Neuville.—Utarczka tyralierów w Malmaison, p. Boerne-Belleacur.—Pułk maszerujący, Detaillo'a.—Obrazy rodzajowe: Ognie świętojańskie Juliusza Breton. Zbiór poezyi Bretona: Pola i Morza, Wiersz Sobótka, Do rodzinnej doliny.—Posąg młodości, p. Chapu, nagrodzony wielkim medalem.—Pomnik na cześć Krzysztofa Kolumba, p. Cordier.—Zmarły Fryderyk Eichhoff: jego prace lingwistyczne i literackie.—Uroczystość w Orleanie.—Archeologia językowa.—Pomnik Livingstona w Westminsterze.—Podpisy na pomnik dla Byrona.—Nowo odkryte dzieła sztuki: Portret Rafaela, św. Jan Chrzciciel, Michała Anioła.

Podczas kiedy zdroje poezyi zdają się wysychać w naszej staréj Europie, zmrożone technieniem realizmu, dowiadujemy się że daleko gdzieś za morzami, na drugiéj mało znanéj półkuli świata, zdroje te wytryskają z ziemi pełne siły żywotnéj. W roku zeszłym wspomnieliśmy o poetach południowo-amerykańskich, którzy pięknym językiem Cerwantesa i Kalderona, opiewają cuda podzwrotnikowych krajów swoich; dziś zwrócimy oczy ku innéj stronie, ku ostatecznym krańcom Wschodu, ku wyspom Malajskim. Tu lud nie tylko że tworzy nowe pieśni, ale co więcéj w rodzinnym swym języku, przechowuje dawne poemata zaczerpnięte z indyjskich podań.

Przewodnikiem naszym będzie tu uczony lingwista p. Ludwik Backer, Holender rodem, zamieszkały w Paryżu, któremu Francya zawdzięcza wiele dzieł filologicznej treści. Jego studia nad literaturą neerlandzką, zjednały mu niedawno nagrodę akademii francuzkiej, a Sagi północne chlubną wzmiankę w akademii napisów. Znane niemniej dzieło jego o literaturze Flamandów francuzkich, jak i tłumaczony zbiór pieśni historycznych Flandryi. Obecnie wydał przekład poematu malajskiego *Bidasari*, dokonany z holenderskiego tekstu. W obszernym wstępie autor porównywa poetyczne tradycje ludów wschodnich, z tradycjami przechowanymi na Zachodzie.

Prace akademii batakuskiej dały pierwsze poznać Europie literaturę Malajczyków. Dowiadujemy się z nich, że literatura ta dzieli się na starożytną i nowoczesną. Pierwsza na szczególną zasługuje uwagę, jako przesiąknięta na wskroś mitologią starożytnych Hindów.

Kroniki malajskie są po prostu zbiorem fikcyi, z których niepodobna żadnego uczynić wątku; rozprawy filozoficzne i moralne brane wprost z autorów indyjskich, arabskich i perskich: całą wartość tej literatury stanowi poezya prawdziwie oryginalna. Do wyższego jej rodzaju należą obszerniejsze poemata zwane *sijar*, opiewające przygody królów i bohaterów, pełne prostoty i głębokiego uczucia. Poemat *Bidasari* należy do ich rzędu. Bohaterką tej malajskiej epeji, jest królowna, cudo piękności, uśpiona czarodziejską sztuką w głuchym lesie. Król, zabłąkawszy się tam podczas łowów, odkrywa ją przypadkiem; odczyna urok, rozbudza ją i pojmuje za żonę. Wiadomo, że pierwotne podania wszystkich ludów europejskich mówią o zaklętych w lesie królownach; znajdujemy je zarówno w naszych klechdach ludowych, jak w Eddzie skandynawskiej, jak i w germańskich Niebelungach.

Malajczycy, ci zwłaszcza z pomiędzy nich, którzy pozostali przy religii budystańskiej, zachowali panteistyczne pojęcia o związku człowieka z przyrodą. Dziś jeszcze, w mniemaniu ich, wszystkie istoty stworzone, są to czyste duchy, wcielone bądź w człowieka, bądź w zwierzę, ptaka lub gadzinę. Dla nich niedziela jest dniem ognia; Bóg w tym dniu zakreślił siedm sfer niebieskich i podziemnych, stworzył duchy w kształcie węzów, czuwające nad owemi sferami. Poniedziałek jest dniem istot bajecznych: Bóg stworzył w tym dniu słońce; księżyc i gwiazdy, oraz duchy w formie jeleni, którym oddał w straż owe niebieskie ciała. We wtorek, w dniu *Pudi*, Bóg stworzył duchy napełniające niebo i ziemię: duchy te w kształcie stoniów, opiekują się ziemią. W środę, w dzień kwiatu kokosowego, Bóg stworzył wody, morza, rzeki i strumienie, i wszystko, co w nich żyje, równie jak i drzewa na ziemi: duchy w postaci ludzkiej pilnują tej swojej dziedziny. We czwartek, w dniu małp, Bóg stworzył niebiosy i chmury, piekło i raj, duchy mściwe i duchy wydające plony i owoce, oraz duchy w postaci myszy, aby im stróżowały. W piątek, w dniu ptaka *Peka*, Bóg stworzył mężczyznę i niewiastę, pozwolił im błąkać się po niebie, a do czu-

wania nad niemi przeznaczył duchy w kształcie wielbłądów. W sobotę, w dniu szarańczy, Bóg dokonał pracy tak w górze jak pod ziemią: stworzył tylko duchy w formie żab, aby strzegły całości jego dzieła.

Mistyczna wiara w związek człowieka z istotami niższego rzędu stanowi główny wątek poematu o Bidasari. Życie tej królowej, tak ściśle zespolonem było z życiem drobniuchnej rybki, że ilekroć wyjęto z wody ową rybkę, królowa padała bez zmysłów; ilekroć znowu rybka wracała do właściwego sobie żywiołu, dziewica budziła się z uśpienia.

Nie wszystkie epopeje malajskie nacechowane są taką cudownością. W innych dramatach życia oddany w warunkach zgodniejszych z rzeczywistością ziemską. Oto treść poematu o królewiczu Raden-Mahtri i brance Kin Tambuchan. Królewicz z kraju Pura-Negana, pokochał ową piękną brankę i zaślubił ją potajemnie. Królowa matka, która przeznaczała dla syna księżniczkę Randjar, poprzysięga śmierć niešťczęśliwej Tambuchan. Rozkazuje wiernemu słudze podczas łowów uprowadzić gwałtem królewicza i zabić młodziuchną jego żonę.

Daremny opór starego sługi, daremne przedstawienia.

— Jeśli nie spełnisz woli mojej, zginiesz sam!—woła królowa w gniewie.

Sługa rad nie rad, ulega pani swojej: serce pęka mu od boleści! Idzie do pięknej Kin Tambuchan, uderza w ziemię czołem.

— Księżno—rzecze—małżonek cię przyzywał!

Zbladł, zadrzał, gorące łzy wytrysły mu z pod powiek. Kin Tambuchan uczuła wielką trwogę; chwiejącym krokiem idzie za sługą. Niewiasty służebne cieszą ją łagodnymi słowami. Prowadzą ją do bram pałacu królewskiego. Tu następuje pożegnanie.

— Bądźcie mi zdrowe wiecne towarzyszki — rzecze księżna zalewając się łzami.—Wydziera się z ich objęć i zapuszcza ciemną drogą w głąb lasu.

Smutnaż to droga! łzy oblewają blade jęj oblicze. Ptaszęta patrzą na niešťczęśliwą i żalonną piosenkę kwilą wśród zielonych zarośli. Kwiatki spuściły główki na łodygach, zamykają wonne kielichy. Ona idzie, niewiedząc sama dokąd. Dwie stare sługi poszły za nią. Nogi biędnej ustały, krew ścina się w jęj żyłach, w miarę jak się zbliża do lasu. Potrąca stopką o złom skały, przystońiętej konarem drzewa, półomdlała pada na ziemię.

— Noc nadchodzi—poszeplnie w duchu—ciemność otoczyła mnie wkoło! Męzu mój!... przyjacielu!... tyś mi jedynem wsparciem. Ratuż mnie przed pomstą matki twojej!

Sługa, który ją przyprowadził, nie może powstrzymać łez; przystępuje do niej niešťmiało.

— Jam cię zwiódł!—wyrzecze żalonnie.—Najpotężniejsza z niewiast, do której należy ten lud i ta ziemia, pani moja rozkazała mi zabić cię w tém miejscu. Muszę spełnić ten straszny rozkaz: jam jęj niewolnik, księżno! Któżby mnie zastonił przed jęj gniewem?

Kin Tambuchan rzuca się w objęcia niewiast swoich. Słowo wyroku przebiło jój serce, jakby mieczem. Drży, blednieje, łzy strumieniem płyną jój z oczu, myśl zbolałą obraca do męża, wspomina jego miłość, minione szczęście swoje.

— Wszystko przepadło! wszystko ubiegło jak sen!—woła w najwyższej rozpacz. Nagle podnosi głowę:

— Uderz!—wyrzecz spokojna—spełnij powinność swoją! Ja nie ujdę smutnego losu, ale niebo patrzy na zbrodnię. Nim jednak wydobędziesz miecz z pochwy, pozwól mi nakreślić jedno słówko do męża.

I zrywa liść lontaru, drobnym paznokciem kreśli na nim te rzeźne słowa:

— Bądź mi zdrow, mężu ukochany! stoję na progu śmierci: wnet żelazo ugodzi we mnie. Bodajbym cię zobaczyła tam wysoko. Bądź posłuszny matce twojej, uczyni według jój woli! pojmię inną małżonkę. Ja umieram dla ciebie. Ty wiesz, ilem cię za życia kochała! Dla ciebie jedynie uderzało to serce; śmierć nie rozłączy mnie z tobą; będę cię kochać nawet poza grobem!

Tak napisała na listku lontaru, a potem rzekła do sługi z odwagą i godnością:—„Spełnij powinność swoją: jam gotowa!”

Starzec zadrżał, łza litości spadła mu z oka. To niewolnik... on zna powinność swoją! Pochwyca miecz: ilekroć wydobędzie go z pochwy, miecz opada natychmiast. Zbiera ostatek sił, podnosi oręż, zaptapia go w pierś nieszcześliwej. Kin Tambuchan stacza się na ziemię, śmiertelnie ugodzona.

Królewicz wraca z łowów, spostrzega trupa ukochanej, przebija się, upada u jój boku. Król uwiadomiony o śmierci syna i pięknej branki, pędzi jak szalony do lasu, gdzie leżą oba trupy; rozkazuje pogrzebać je z czcią przynależną. Ale królowa niezaspokojona śmiercią ofiary, ściga ją nawet w grobie. Król — dodaje poeta — powtarza stanowczo dany rozkaz.

— Pogrzebcież — zawoła — księżnę z drogim jój królewiczem: zjednoczeni byli za życia, niechajże ich grób nie rozłączy.

Królowa powstrzymała gniew, ale jad nienawiści nawskroś pali jój serce.

Podobny zupełnie poemat o królewiczu hiszpańskim Floryzie, i o brance francuzkiej Blanchefleur, znany był powszechnie w średnich wiekach i tłumaczony na różne europejskie języki. Tu już widzimy wspólny wpływ literatury maurytańskiej. Przez Hiszpanią oddziałała ona, jak wiadomo, na wszystkie europejskie ludy, odkąd zaś część Malajczyków przyjęła Islam, literatura arabska odbiła się zarówno w ich utworach, nie odebrała im przecież barwy oryginalnej.

Oprócz licznych epopei a między niemi całej sparafrazowanej Ramajany, którą Holendrzy Batawscy odkryli u Malajczyków, zebrali oni z ust ludu mnóstwo przygodnych i miłosnych pieśni, zwanych *Seloka* i *Sesambok*. Pieśni te śpiewa lud przy pracy, wiele z nich improwizuje doraźnie; częstokroć téż braknie w nich ścisłego związku

myśli, wszędzie jednak zachowany rym i miara, zwykle dziesięciozgłoskowa. Dajemy tu jedną na próbę:

Drzewo Waryngin po nad potokiem,
 Ocienia łąkę konary swemi;
 Tam leżą wieści skryte pomrokiem,
 O tych co żyli na owęj ziemi.

Ku temu drzewu pilnie ja chodzę,
 Wiém, co dawnemi stało się laty,
 Siłazem wieści spotkał po drodze,
 Z nich ja uplotę wianek bogaty.

Noc już zapada, czarno dokoła,
 Potok po zwirze zcicha szeleści;
 Opodał nasze pomija sioła:
 Samotnie stare pogwarza wieści.

Idźmy powoli krawędzią góry:
 Ze skały tryska jasna krynica,
 Tam się kąpały królewskie córy,
 Tam Katy myła bieluchne lica.

Sercu mojemu królewna droga,
 Będę ją słaWił póki tchu starczy!
 Bodajby zedrzcć włos z czaszki wroga,
 I tryumfalnie zatknąć na tarczy.

Jaki związek mają dwa ostatnie wiersze z poprzednimi? trudno odgadnąć. Byłaby ta Katy jakąś figurą poetyczną?

Zrozumiajsze za to wiersze starego zrzędy, który tak na wyspach Malajskich, jak w naszej Europie, obyczajem starych powtarza, iż dawniej lepiej było. Nie szukać tu poezji, ale znajdujemy za to ciekawy rys pod względem obyczajów.

Dzisiaj u ludzi rozumu siła,
 Lecz stara mądrość już się przeżyła:
 Zliczono gwiazdy wszystkie na niebie,
 Nikt baczném okiem nie spojrz w siebie;
 Ludzie o wszystkiém bezmyślnie gwarzą,
 Jeden drugiego ściga potwarzą;
 Młodzież dni trawi w bezmyślnym szale,
 Dziewczęta wstydu nie pomną wcale,
 Przyjęły jakiś obyczaj nowy,
 Wciąż swawolnemi bluzgają słowy,

Wszystko się psuje, wszystko się gmatwa;
Nawet małeńka szaleje dziatwa!

Oto wreszcie rozmowa młodej pary, taka sama jak i we wszystkich stronach świata, znać z jednego zaczerpnięta źródłu, z głębi serca kochającego:

- CHŁOPIEC. Ja ci przyrzekłem, kiedym był mały,
Kochać cię wiernie przez żywot cały!
- DZIEWCZYNA. Odkąd przyrzekłeś kochać mnie stale,
Jam nie spojrzała na drugih wcale.
- CHŁOPIEC. Ledwieś powiodła okiem po świecie,
Jam już małeńkie ukochał dziecię.
- DZIEWCZYNA. Dałam ci serce ale drzę z trwogi;
Czy mnie nie zwiedzisz chłopcze mój drogi!
- CHŁOPIEC. Niech się twe serce zdrady nie boi,
Nawet rodzice mili mi twoi.
- DZIEWCZYNA. Kochania mego niech będą pewni,
Twoi rodzice bracia i krewni.
- CHŁOPIEC. Ludzie za nami wodzą oczyma,
Piękniejszej pary w tej wiosce nie ma.
- DZIEWCZYNA. Skoro się szczerze miłujem duszą,
Ludzie nas wszyscy szanować muszą.

Takie dyalogi zwane *Seloka* bardzo powszechne w poezji ludu malajskiego. Niekiedy kochankowie kłócą się w nich zęb za zęb, wyrzucając sobie wzajemną zdradę, częściej jednak świegocą jak gołąbki. Chłopiec przysięga, dziewczyna radaby wierzyć, ale nieśmie; bojaźń zamąca chwile najśodszych uniesień.

- DZIEWCZYNA. Czas mocne węzły nieraz przecina,
Serce u chłopców wiotkie jak trzcina!
- CHŁOPIEC. Twoja nieufność próżna i płoża,
Mocno ten wierzy, kto szczerze kocha!

Piosenki dziewcząt pełne niekiedy rzewnej tęsknoty, przytaczamy z nich jedną:

Kędyż mój miły bawi tak długo?
Może ach! może pokochał drugą!
On gdzieś w dalekie puścił się kraje,
Wracajże drogi: sił mi niestaje.
Gdybym jak ptaszę skrzydełka miała,
Za ślady twemi w światbym leciała!
Dzieckiem płaśalam rada przy tobie,
A dziś w mém sercu ciemno jak w grobie;

Krążę samotna pustą drużyną,
 Po licu mojem drobne łzy płyną;
 I sen mi nocą powiek nie mruży:
 Bez ciebie, drogi, nie wytrwam dłużej!

Poprzestajemy na tych wyjątkach. Pan Backer korzystając z prac uczonych Holendrów, a szczególnież akademii batawskiej, rozpowszechnił wiadomość o literaturze Malajczyków, w innem jeszcze dziele, które wydał po francuzku p. t. *Archipelag Indyjski*: pochodzenie, języki, literatury, religie, moralność, prawo publiczne i zwyczaje miejscowych ludów.

W dniu pierwszym maja, kiedy wybieraliśmy się na otwartą własnie paryzką wystawę obrazów, wpadła nam w rękę świezo wydana książka p. Jacquinet p. t. *Fragment d'etudes sur l'homme et la société*. Przerzucając pobieżnie kartki, napotkaliśmy ten ustęp wyjęty z dzieła *Demokracja w Ameryce*. „Chceciez-li podnieść wysoko umysł ludzki, nadać mu szeroki pogląd na rzeczy świata? Natchnąć ludziom pogardę dla rzeczy materialnych? Pragnieciez-li usposobić duszę do głębokich przekonań i wielkich poświęceń? Macieź-li na myśli ogładę obyczajów, rozkwit sztuk pięknych i poezyi, rozgłos i chwałę w świecie? Chcielibyście tak usposobić wasz lud, aby oddziaływał silnie na inne ludy? aby uganiał wzniosłe cele, słowem wyżłobił w historii głęboki ślad swego pochodzenia? Jeśli w pojęciu waszém, takim jest zadanie ludu w społeczeństwie, strzeżcie się rządu demokratycznego! ten będzie złym dla was przewodnikiem! Jeżeli zaś zda wam się pożytecznie skierować czynność umysłową i moralną człowieka na potrzeby życia materialnego, spożytkować je na zapewnienie wszystkim dobrobytu, jeśli w oczach waszych rozsądek potrzebniejszy ludziom nad gieniusz, jeśli nad bohaterskie cnoty, przekładacie spokojne nawiąknienia, jeśli poprzestać zechcecie na mniejszej liczbie wielkich czynów, z warunkiem, że zmniejszy się także liczba przestępstw; jeżeli zamiast działać w łonie świetnego społeczeństwa, miliej wam żyć w pomyślności; jeżeli nakoniec nie jest w oczach waszych głównem zadaniem rządu, uczynić naród potężnym i błyszczącym, ale raczej zapewnić jednostkom dobrobyt, uchronić je od nędzy: w takim razie trzymajcie się demokracji!”

Pod wrażeniem tych słów weszliśmy do przybytku sztuki nowoczesnej, zwanego jakby przez antitezę *palacem przemysłowym*. Wszystko, co tu zobaczymy za chwilę, pomyśleliśmy w duchu, będąż to ostatnie odbłyśki tego zachodzącego słońca, które promieniem ideału przyświecało przez wieki ludom? ostatnią odpowiedzią na tę zaklętą pobudkę, głoszącą wybranym *sursum corda!* Wszystkoż to zaginie bez wieści w odmęcie materializmu, tém koniecznym następstwie równości społecznej, jak nauczają doktrynerzy?

Z ciężkiem sercem weszliśmy do wielkiego czworobocznego salonu, który zazwyczaj poświęcano najcelniejszemu z przedstawionych utworów. W tym roku jednak, sędziowie, trzymając się ściśle prawa niwelacyi, zawyrokowali, że obrazy mieszczono będą o ile można porządkiem abecadtowym, według nazwisk malarzy. Wypadek zrządził, że w tym wielkim salonie, naprzeciw drzwi wchodowych, miejsce przypadło na obraz p. Becker, ogromny rozmiarami, przerażający realizmem. Niechże sobie kto chce wyobrazi, na ciemnym tle pochmurzonego nieba, siedmiu ohydnych wisielców, przytwierdzonych za ręce do wielkiej szubienicy. Jedni już pomarli, znać to po sino trupiiej twarzy; drudzy szarpiają się w konwulsyjnych podrygach; inni żyją, lecz nie szamocą się nawet: patrzą na śmierć z jakąś bydlęcą obojętnością. U stóp szubienicy czuwa kobieta, straszna, wściekła od rozpacz, w sukni żółtej, w fioletkowej zasłonie, miotanej wichrem nad jej głową. W rękę trzyma wielką sękatą pałkę, odpędza nią czarnego sępa, rzucającego się na trupów; za tym sępem. cały chorowód drapieżnych jego braci, trzepie w skrzydła na ciemnym tle widnokregu. Przedmiot to wzięty z Biblii. Respha, małżonka Saula, pilnuje synów, wydanych Gabaonitom. Obraz okropny, a przecież Becker malować umie... pędzel jego śmiały, koloryst ponury, jak sam przedmiot. Artysta trzymał się do przesady niebezpiecznego godła romantyków *brzydota pięknem*, i wpadł w najgrubszy realizm.

Dziwna przekora ściagała nas przy samym wstępie do salonu. Rzuciliśmy okiem w inną stronę, cóż tam widzimy? oto inny historyczny obraz ze starożytnych dziejów Rzymu; z czasów, kiedy wilczyca, miała jeszcze straszne kły i pazury. Obraz przedstawia spisek za Tarkwiniuszów. Sprzysiężeni zamknęli się w domu ponurym i samotnym; pod ścianą ołtarz, na nim bogi domowe Lary. Na pierwszym planie powalony nagi trup niewolnika z odrąbaną głową. Rzymianie otoczyli trupa, napełniają czaszę krwią buchającą z żył ledwie co przeciętych. Puharem tym potwierdzają przysięgę. Twarze ich straszne, wzrok wściekły, pięści zaciśnięte zdają się grozić światu. Twórca obrazu p. Glaize wybornie włada pędzlem, muskuły rąk oddane z całą prawdą; trup odtworzony po mistrzowsku. Gdyby zadaniem sztuki było szarpać nerwy, obrazem rzeczywistych szkarad, tak wstrętnych dla oka i ducha, autor Glaiza byłby arcydziełem.

Przykre wrażenie nasze nie prędko przeminęło. Takiemiżto drogami, pomyśleliśmy smutno, przypadło brnąć dziś sztuce, w chwilach konwulsyjnego konania? a potem co? chłód, pomrok, stęchły wyziew cmentarzy, i szydery śmiech puszczyków, z szalonych, co przez wieki karmili ducha, wymyślonym przez siebie ideałem. W miarę przecież, jak obiegaliśmy długi szereg sal i galeryi, z oczu spadał nam tuman, w duszy coraz było jaśniej i pogodniej. Kiedy nakoniec po sześciogodzinnem krążeniu, zasiedliśmy w ogrodzie dla skupienia się w myśli własnej, przyszłe losy sztuki już nas bynajmniej nie trwożyły. Geniusz francuzki, powtarzaliśmy sobie w duchu, wynajdzie pod słońcem rzeczy,

o których dotąd nie śniło się filozofom ani doktrynerom; potrafi on wykrzesać iskłę ideału z rzeczywistości, potrafi do żelaza wydobytego z rudy nowój, dorzucić bryłę starego złota, i z tego zlewu zbudować dla sztuki, nowy pomnik, jakiego świat jeszcze nie widział.

Gdyby idea równości miała zabijać twórczość artystyczną, dwie prawdziwie demokratyczne rzeczypospolite, Stany Zjednoczone i Szwajcarya, nie okazałyby dziś najniższego popędu do sztuk pięknych. Przeciwnie jednakże objawy spotykamy dziś na wystawie paryskiej. Dwódziestu kilku amerykańskich artystów wystąpiło tu z udatnemi utworami. Wszyscy ci zaatlantyccy malarze kształcą się w pracowniach tutejszych mistrzów, niektórzy prawdziwie twórcze okazują zdolności. W ich gronie widzimy kilka młodych amerykanek.

Szwajcarzy tak okrzyczani z braku estetycznych pojęć, przynieśli także piękny plon do ogólnego wieńca. Trzydziestu artystów przedstawiło swe malownicze jeziora, swoje kwitnące podalpejskie doliny. Jeden przysłał śliczny obrazek: działwę tłoczącą się do szkółki wiejskiej. Wymowny to obrazek. Wiadomo czém szkoła dla tego ludu, który konieczność nauki tak ściskiem obwarował prawem, że ktoby nie chciał korzystać z niej dla dzieci, skazany na grzywny, na więzienie, a w razie oporu na ostracyzm! Obok tych malowniczych gór i jezior, ta grupa działwy wybornie maluje nam społeczeństwo szwajcarską, krzepką a nawet poetyczną po swojemu.

Dwie rzeczypospolite nie dały się na tegorocznój wystawie ubiedz innym narodowościom, w których przecież idea demokratyczna nie staje na przeszkodzie rozwojowi sztuk pięknych. Wielkie państwa, jak Austria, przysłały ledwie po kilka obrazów, Hiszpania, ojczyzna Welaskeza i Murylla, przedstawiona w dziesięciu malarzach, Włochy, gniazdo Rafaela, Tycyana i tylu olbrzymów, reprezentowane w szeregu dwódziestu imion; w téjże liczbie Niderlandy, w téj Belgia, dwie słynne niegdyś kolebki holenderskiej i flamandzkiej szkoły. Ateny, przysłały jedyny obraz. Co zaś do Niemców po za obrębem Austrii, sam tylko Holsztyńczyk Schenk wystawił swoje nieporównane owce, inni nie dali znaku życia. Gdyby silny centralizm państwowy, miał rozbudzić w nich genialną twórczość ducha, nie kryliby światła pod kocem; lecz wydobyli je na widownię: aby tém bardziej upokorzyć Francją!

Naszych artystów, tak malarzy jak i rzeźbiarzy naliczyliśmy jedynastu, utwory ich wymienimy później. Znakomity rzeźbiarz Brodzki nadesłał z Rzymu prześlizne, jak mówią, dzieciątka; lecz przesyłka nieszczęściem przybyła nazbyt późno: utwory mistrza naszego stoją po dziś dzień w pakach, czekając zapewne przyszłorocznój wystawy.

Nim przystąpimy do szczegółowego przeglądu celniejszych przynajmniej obrazów, radziłyśmy oddać piórem wrażenie doznane z pierwszego rzutu oka. Widmo realizmu, które nas uderzyło na pierwszym wstępie do sali, rozwiato się niebawem, w obec idealnego świata połykującego z przeważną większością utworów. Mało tu zapewne dzieł prawdziwie genialnych; częstokroć, przebiegając salę, napotykamy ob-

razy, świadczące o zbytnej pobłażliwości organizatorów wystawy. Sam jeden widok trzech tysięcy obrazów, w dodatni sposób działa na wyobraźnię. Dwa tysiące malarzy wykonało te prace w ciągu jednego roku, dwa tysiące artystów wyraziło w nich myśl swoją, zakłęto w nie iskierkę swego ducha!

Wśród tych licznych dzieł sztuki, widzimy z górą pięćset utworów wykonanych ręką niewieścią, licząc w to rzeźby i akwarelle. Trzysta czternaście kobiet wzięło udział w wystawie. Pomiedzy temi czytamy głośne imiona z arystokracji tak rodowej jak finansowej, lub zdobytej potęgą inteligencji. Obok księżnej de Chevreuse z arystokratycznego przedmieścia, widzimy tu baronową Rotszyld, widzimy Sarę Bernhard, sławną artystkę Teatru Francuzkiego, którą podziwialiśmy niedawno w córce Rolanda a dziś podziwiamy jako utalentowaną rzeźbiarkę. Same te cyfry wymownie świadczą o pracowitości francuzek, pomawianych zbyt często o lekkość i bezmyślność. Większa część tych kobiet nie bawi się sztuką, lecz pracuje na seryo; dość tu wspomnieć szkic fresków na ścianę do kościoła w Dieppe, utworu pani Lari-ble, i inny szkic panny Escallier na ścianę do pałacu Legii Honorowej. Dodajmy do tego, że Paryż liczy siedemdziesiąt artystek, ozdobionych medalem, co znaczy bardzo wiele, gdyż tak tu jak w innych krajach, areopag złożony z mężczyzn nie otrząsał się z przesądów, zaprzeczających kobiecie twórczej siły. Mieliśmy sposobność przekonać się o tém w ciągu dwóch lat ostatnich, w których żadna z kilkuset kobiet, przedstawiających rzeźby i obrazy, nie otrzymała téj nagrody, mimo rzeczywistej wartości nie jednego utworu.

Wiele zdolniejszych artystek tutejszych, garnie do pracowni swoich grono uczących się towarzyszek. Przy imionach kobiet, biorących udział w wystawie tegorocznej, czytamy nazwiska ich utalentowanych mistrzyń. Między innymi pani Boutin, która wykonała na porcelanie piękny obrazek alegoryczny: *pokój roznoszący obfitość*, podpisała się jako uczennica panny Mikulskiej. Artystka nasza, mimo bardzo młodego wieku, zgromadziła już w pracowni własnej starsze od siebie uczennice, i wyklada im zasady sztuki, zbadane z niezmordowaną pracą. Sam fakt, że utwór pani Boutin przyjęty został na wystawę, świadczy o doniosłości szkoły młodej rodaczki naszej, i wróży jej znakomitą przyszłość na polu artystycznym.

Rzućmy teraz pobieżnie okiem na te trzydzieści sal, zawieszonych płótnami rozmaitej miary i rozmaitszej jeszcze treści. Naliczyliśmy między nimi do dziewięćdziesięciu religijnych przedmiotów. Cyfra to nadzwyczaj znacząca. W liczbie tych Chrystusów przeprowadzonych przez różne fazy żywota, od żłobku betlejemskiego, aż do meki krzyżowej na Golgocie, żaden zapewne nie godzien boskiego wzoru; w liczbie Madou, żadna nie oddana z tém namaszczeniem ducha, z jaką odtwarzali idealną tę postać Rafaele i Corregio; z pomiędzy Magda-len, żadna niedość oderwana od ziemi, z pomiędzy świętych nie wszyscy dość uświęceni; ale już to samo, że znalazło się pomiędzy malarzami

kilkudziesięciu, którzy obrócili oczy w te wyżyny, z kąd biją najczystsze źródła natchnień, już to samo świadczy o kierunku sztuki francuskiej nierównie idealniejszym niżli u innych ludów. Mieliliśmy sposobność przekonać się o tém na niemieckich wystawach, gdzie obraz religijny prawdziwą jest osobliwością.

Dlaczego nie mamy dziś takich mistrzów religijnych, jakimi chlubi się wiek XVI? słyszymy co chwila to pytanie. Odpowiedź na to powszechna: bo społeczeństwo dzisiejsze niema w duszy téj wiary, jaka ożywiła praocjów i wyrażała się w sztuce. Znakomity krytyk francuski Charles Clement, inaczéj rozwiązuje to zagadnienie. „Nie sądzę, mówi on, aby uczucie religijne tak dalece dziś miało osłabnąć. jak to niektórzy utrzymują. Ale wiara przybrała dziś inną formę; u jednych stała się abstrakcyjną, u drugich daleką od estetycznych pojęć. U myślicieli, u filozofów i poetów, wiara zawarta dziś w idei: u pobożnych prostaków, wymagania jéj pod względem sztuki bardzo skromne: obraz epinalski przemawia do nich równie wymownie, jak arcydzieło mistrzowskiéj ręki. Aby się przekonać o tém, idźmy do pierwszego lepszego kościoła, a zobaczymy że najprościejsze bohomy najwięcéj odbierają pobożnych holdów.“

Uwaga ta uczonego krytyka, bardzo ważna z powodu, że oddaje świadectwo niezamartéj wierze pomiędzy Francuzami, w gruncie rzeczy, nie wydaje nam się dostatecznie określoną. Doskonałość artystyczna nie zastąpi dla duszy wierzącéj tego uroku świętości, otaczającego nieraz mniéj udatne utwory. Nieuczony prostak, byle miał trochę smaku estetycznego, odczuje piękność Madony Rafaela; ale zarówno jak każdy wierny, choćby najlepiej świadomy tajemnic sztuki, pomodli się chętniej przed obrazem Epinalskiéj lub Częstochowskiéj Bogarodzicy, niż przed arcydziełem zawołanego mistrza.

Co do obrazów historycznych, naliczyliśmy ich z górą sześciedziesiąt. Przedmioty po większój części brane są ze starożytnéj przeszłości Rzymu. Są tu wprawdzie dwie piękne postacie drogie sercom Francuzów: Joanna d'Arc i Henryk IV; częścicj jednak spotykamy się tu z jakim Cezarem, Tyberyuszem lub Seneką, z Kolumbem lub Kromwellem, niż z jakim Ludwikiem francuskim, z jakim Sullym lub Montmorencym. Ostatnie czasy monarchii zbrzydzyły Francuzom królewskość i magnaterją. Zbytki i swawole panów, spadkobierców wielkich imion dziejowych, rzuciły cień na zasługi praocjów. Potrzeba czasu, aby umysły przeszły do sądu bezstronnego, aby artyści zrozumieli, że stawiając na świeczniku protoplastę Sullych, Montmorencyh, nie biją czołem ich żyjącym dotąd potomkom. Zasada Schillera; niechaj odżyje w pieśni, co zamarło w rzeczywistości, nieznana artystom, tém mniéj krytykom tutejszym. Prawda że ci potomkowie dziejowych imion, nie mają się wcale za umarłych w dziedzinie polityki, ale wyżej, niż kiedy, podnoszą dzisiaj głowę!

Co do mitologicznych obrazów, są tu i ledy i ganimedy i Dyanony i Bachusy i Neptuny, słowem cały olimpijski panteon. Mówiliśmy

już nieraz o zamiłowaniu Francuzów w greckich tradycjach, zamiłowaniu, którego nie zastał bynajmniej romantyzm ani w malarstwie, ani nawet w poezji. Ktoremuby też z malarzy naszych, przyszło dziś na myśl, odtwożyć pędzlem skrzydlatego Amora albo Wenere, wychodzącą z morskiej fali? we Francji rzecz to zwyczajna; nie dziwią się temu krytycy, nie dziwi się publiczność. Od lat dwunastu nie pamiętamy ani jednej wystawy bez Bachusa i Kupidyna. I ta nie ustępuje innym. Mamy gody Bachusa z Aryadną, wykonane przez dwóch artystów; mamy piękną Wenere pędzla sławnego Kabanela! Snadzo nam jednak wytłumaczyć ten popęd olimpijski, wpływem szkoły malarskiej w Rzymie, gdzie młodzi uczniowie francuzcy czerpią natchnienie, u samego źródła klasycznych podań; wpływ ten ma niewątpliwie dodatnią także stronę: jest on potężnym antidotem przeciwko realizmowi. Jeżeli kiedy, jak utrzymują niektórzy krytycy, unoszący się nad ową Respą, co nas tak oburzyła przy wstępie do salonu, jeżeli twórca jój pan Becker otrzyma w nagrodę stypendyum rzymskie, przekonani jesteśmy, że wyrobiwszy smak na klasycznych wzorach, zawstydzi się swoich siedmiu tak nieestetycznych wisielców i zwróci pędzel ku przedmiotom godniejszym talentu swego.

W ogólności jednak liczba mitologicznych obrazów, mniejsza w tym roku niżeli była w zeszłym; naliczyliśmy ich nie więcej nad dwadzieścia. Wielu zato malarzy czerpało myśl z wielkich poematów tak starożytnych jak nowoczesnych. Widzimy tu wspomnienia *Ilijady* w Tetydzie zbrojącej Achillesa, w Kassandrze przepowiadającej klęskę Ilionu; widzimy natchnienie Owidyusza w *Thisbe* pochylonej nad konającą *Pyramem*. Nie pojmujemy tylko, dlaczego artyści pominieli całkiem starożytne podania galskie? Nie byłóż tu Brenusów i Wercingetoryxów, nie byłóż tu dzielnych zapaśników z germańskim Aryowistem? Brakłóż tu poważnych Druidów, czarodziejskich Welled, i poetycznych bardów galskich? Toż samo zaniedbanie co do romantycznej epoki Karola Wielkiego i bogatych tradycyi bretońskich! Dałażby Francya wydrzeć sobie cykl Karlomana Niemcom, Anglikom zaś cykl, okrągłego stołu, tak świetnie podniesiony w poematach Tenyssonsona okrólu Arturze? Ażaliż oba te cykle, nie należą zarówno do jój podań, jak do tradycyi niemieckich i angielskich? Nie winimy tu jednak malarzy, ale raczej zaślepienie krytyków, roszczących sobie prawo do kierowania opinią publiczności. Kiedy Brenier odtworzył niedawno w dramacie *Córce Rolandowej*, wspaniałą postać Karlomana, znaleźli się pomiędzy krytykami tacy, którzy czynili poecie zarzut, czemu obrał za bohatera swego Karola, kiedy ten był cesarzem niemieckim? Mielizby Francuzi przez nienawiść ku Niemcom wymazać z dziejów swoich imię największego bohatera, jakim szczycą się wieki, dla tego że ów mocarz panował zarówno po drugiej stronie Renu? Zaślepienie to porównać tylko można ze ślepotą szaleńców, którzy przez zemstę za Sedan stracili z kolumny Vendôme bohatera Jeny i Austerlic!

Wielcy poeci z epepei nowożytnéj dali téż pobudkę niejednemu z malarzy. Widzimy tu króla Leara obłąkanego boleścią, widzimy zro paczonego Otella, widzimy uśpioną Ewę z Raju utraconego Milтона i mglistą bohaterkę z Ossyanowéj pieśni; widzimy schwycone żywcem dramatyczne ballady Uhlanda i Getego, widziny Lafontainowskie bajki wytłumaczone w najrozmaitszy sposób. Żaden jednak z mistrzów słowa nie przemówił tak dziwnie do mistrza władającego pędzlem, jak przemówił Dante do Dorego. Obraz *Piekła*, największy ze wszystkich na wystawie, dał pobudkę do zaciętéj walki pomiędzy krytykami. Jedni widzą w nim genialne dzieło, inni strącają go do rzędu dziwactw artystycznych, ubolewając nad wielkim rysownikiem, dlaczego utworami pędzla kompromituje własne imię. Nie każdemu dano pojąć i ocenić podobne dzieło sztuki. Gdyby sam Dante napisał dziś Boską komedię, przekonani jesteśmy, że krytycy realistycznój szkoły, spadaliby nań jak ogary na jelenia, bluzgając szyderstwem w to Piekło i w to Niebo tak dziś dla nich niezrozumiałe. Realisci biją téż gradem pocisków w obraz Dorego; publiczność zatrzymuje się nad nim, uderzona ogromem rozmiarów i potęgą kompozycyi. Czeniu ten koloryt taki dziwny? pytają jedni drugich, kto w rzeczywistości widział coś podobnego? Zapewne, pomyśleliśmy w duchu, rzeczywistość złą będzie mo dłą na ocenienie podobnego utworu! Któż kiedy widział piekło?

Nie myślimy porównywać dzieła Dorego z Sądem Ostatecznym w kaplicy Syxtyńskiéj; powiemy jednak, że ktokolwiek czytał i umiował Danta, musi przyznać, iż niepodobna było dzielniej wnikać w myśl wielkiego poety, jak to uczynił Dore. Obraz ten nie potrzebuje koment arza; dość rzucić nań okiem, aby uczuć, że to ów świat wiekuistego utra pienia, obwarowań, strasznych bram, na których nakreślono: *któ je przekroczył, żegna się z nadzieją!*

Wyobraźmy sobie tłumy i tłumy, nieprzeliczone wzrokiem, mo rze głów ludzkich niknące w oddali za mgłą, zrumienioną, odblaskiem łuny. Po nad tém morzem górują postacie Wirgillego i Danta. Na pierwszym planie potępieńcy wiją się, istne Laokoony, okręcenii splota mi węzów. Boleść ich oddana z wysokiém pojęciem sztuki, bez tego ziemskiego realizmu, budzącego wstręt i obrzydzenie.

Trudno czynić zarzut p. Dore, że wziął za przedmiot do obrazu pomysł wielkiego poety włoskiego. Szereg cudnie pięknych ilustra cyi, znany i podziwiany w świecie całym, świadczy, jak Dore umiał po jąć genialną myśl Danta. Dziwimy się jednak tylu innym malarzom francuzkim, że niedosyć czerpią z narodowych poetów swoich. Oprócz bajek Lafontaine'a nie widzimy w tym całym sreregu obrazów, nic praw ie, coby przypominało poetyczne pomysły geniuszu francuzkiego. Wyjątek tu jedyny stanowi obraz p. Pille przedstawiający *Odczytanie dekretu konwencyi w obec wieśniaków bretońskich*. Rzecz wzięta z epepei prozą Wiktora Hugo *Rok Tysiąc siedemset dziewięćdziesią ty trzeci*. A mażoby to przedmiotów znalazł malarz w tym wielkim, a tak obrazowym poemacie? Weźmy na przykład ową odwieczną tur-

mg, wyraz feudalizmu, w obec gilotyny, strasznej mścicielki starych gwałtów; weźmy postacie Lantenaka, Cimourdaina i Gouvina, te trzy wielkie typy, wyobrażające przeszłość z cudną aureolą poświęcenia; rewolucją straszną potęgą fanatyzmu, przyszłość nie zrodzoną jeszcze dla świata, przeczuwaną zaledwie duchem wiecznym, przyszłość pełną wiary, miłości i nadziei! Weźmy nakoniec tę grupę dzieciątek igrającą bezmyślnie pod hukiem dział; tę bohaterką matkę Flechard, obłąkaną z bólu na widok dzieci ogarniętych płomieniem. A przecież nikt tego nie dotknął! Co mówi na to Wiktor Hugo? Czekaj zapewne, powtarzając z goryczą: nim słońce wejdzie, rosa wprzód wyżre oczy!

W czém najsilniej objawił się twórczy duch dzisiejszych malarzy? oto w obrazkach rodzajowych. Popęd to ogólny dziś w świecie. Obraz rodzajowy jest w malarstwie tém samém, czém jest powieść w literaturze. Oddajemy jednak sprawiedliwość malarzom, iż nierównie wyżej stanęli we Francyi od pisarzy powieści. Obrazy ich brane są z życia, ale, oprócz bardzo nielicznych wyjątków, nienacechowane grubym realizmem. Wybija z nich myśl postępową, podniesienie godności ludzkiej, uszanowanie pracy. Widzimy tu lud wieśniaczy przy swoich domowych zajęciach, tak rozmaitych na szerokiej przestrzeni kraju. Tu, winobranie w Langwedocyi, oświeconej promieniem słońca; tam wyrób serów pod cieniem gór Auverni; tu rybaczki z dziećmi zbierają muszle na normandzkich wybrzeżach, podczas gdy ojcowie rodzin walczą z rozhukanym żywiołem; tam krzepkie Bretonki zajmują sierpem przenicę na zagonie; praczki biją chusty w potoku tradycyjnymi kijonkami; dziatwa zbiera zimną suchą gałąźki w lesie, latem pasie gromadę gąsek. Tu znów stare żebraczki idą z odpustu drogą; tam kowal uderza młotem po kowadle; gdzieindziej dyrektor wiejski zagania do szkoły niesforną dziatwę. Niektóre z tych obrazków są prawdziwie dramatyczne. Widzimy, jak na jarmarku wędrowny kramarz obcina dziewczekom długie kosy, nęcąc je złotem, pocieszając nadzieją, że włos obcięty odróśnie tém obcięciem. Smutniejszy nieraz dramat uderza oczy nasze: niewiasty oto bretońskie, same zostały we wsi; synowie i bracia pobiegli bronić kraju: jedne oddają się w opiekę Bogarodzicy, drugie przedsiębiorą pobożną pielgrzymkę. Najrzewniejszy z tych obrazków przedstawia rodzinę alzacką, w malowniczych ubiorach, obozującą daleko od gniazda, wśród dziewiczych lasów Ameryki!

Strona idealna przeważa w ogólności w tych utworach, nie idzie zatem, żeby i gruby materyalizm nie znalazł zwolenników swoich pomiędzy malarzami. Niektórzy ze zdolnych nawet, szukają jakby unyślnie obrzydliwych przedmiotów. *Volon* na przykład, mistrz pędzla w odtwarzaniu martwej natury, przedstawił w tym roku świnie w jatce rzeźnika, zawieszoną głową do ziemi, z rozplatanym ohydnie brzuchem. Inny artysta, Bonvin odmalował ogromną maciorę wypuszczoną z chlewa, z ryjem utkwionym w kupę śmieci. Pod tym obrazem czytamy w katalogu wiersz Monseleta na cześć nierogatego ideału. Powtarzamy dla osobliwości ten czterowiersz:

Wszystko w tobie wyborne, gdzie drugi zwierz taki?
Smaczny schab i słonina, główzina i flaki;
Ciebież to niewdzięcznicy o niechlujstwo winią?
O! ty królowo zwierząt, idealna świniol!

Mówiąc szczerze, wolimy jeszcze obraz tej świni, jakkolwiek nie tak idealny, jakim go chce widzieć poeta, od niejednego obrazu przedstawiającego zbydlęconą naturę ludzką, a i takie nieszczęściem spotykaliśmy na wystawie!

Ale czas nam już porzucić ogólniki. Przypatrzmy się lepiej cenniejszym płótnom, rozwieszonym po tych trzydziestu salach. Zaczniemy od utworów religijnych, jako przedstawiających sztukę w tem, co ma najwyższego.

Uderzył nas w tym dziale wielki obraz pana Michel, przedstawiający Chystusa powołującego do siebie drobne dzieci. Utwór to prawdziwie wymowny. W pośrodku stoi Zbawiciel z głową lekko na bok pochyloną, z rękoma podniesionemi w górę na znak błogosławieństwa. Drobna dziatwa garnie się posłuszna na głos Boży; starsze kłękają z pokorą, młodsze wyciągają ręczyny, niemowlęta wydzierają się z objęć matek. Wielki spokój panuje w uktadzie całej grupy, drape-rye rzucone po mistrzowsku.

Dziwnie też piękny szkic do obrazu, który ma być wykonany na murze w kościele św. Sulpicyusza, pędzlem sławnego malarza Landelle. Przedmiotem jego śmierć św. Józefa. Święty leży na śmiertelnej pościeli, w ubogiej izbie; zawieszono przy nim ciesielskie narzędzia, świadczą o zwykłej jego pracy. Po prawej stronie łoża kłęcz Marya; trzyma skrzepłą już rękę konającego. Z prawej strony, Chrystus młodziuchny jeszcze, odziany w białą powłóczystą szatę, ujął drugą rękę opiekuna i przemawia doń słowem otuchy. W głębi kłęczą grono pobożnych niewiast. Podczas gdy łyzy płyną na ziemi, w niebie panuje radość. Aniołowie zbiegają z góry, jeden z nich spłynął już nad wezgłowie, aby podjąć na skrzydła duszę rozwiązaną z pęt ziemskich.

Chrystus w grobie, pana Sellier, ściągają też powszechną uwagę. Na płycie kamienniej, w ciemnym lochu, leży ciało tylko co zdjęte z krzyża. Aureola bijąca z czoła, oświeca tajemniczo noc grobową. Wyraz oblicza pełen spokoju, ma charakter prawdziwie Boski.

Z pomiędzy obrazów treści biblijnej najwymowniejszy Samson pana Lehoux. Bohater izraelski tylko co rozerwał krępujące go pęta. Stracił już ze schodów jednego ze stróżów więziennych; pochyłony naprzód, silnemi rękoma pochwyił w pół drugiego. Trzeci dozorca ukryty za firanką, patrzy z niemém przerażeniem, pewny że i jego nie minie los podobny. Pyszny ten obraz, wykonany z niepospolitym talentem. P. Lehoux, bardzo jeszcze młody, jest od roku uczniem szkoły rzymskiej; miłośnicy sztuki wrożą mu wielką przyszłość.

Cabanel wystąpił także z biblijnym obrazem, wykonanym nadzwyczaj świetnie. Absalon, przybrany w przepyszne wschodnie szaty,

siedzi na bogatém wezgłowi. U stóp jego pochyłona siostra Thamar, z rękoma rozpaczliwie zaciśniętymi. Skrzywdzona srodze przez Ammona, rozdarta szaty i przybiegła ukryć wstyd w domu brata. Oblicze Absalona bucha gniewem i pomstą; w postaci Thamary odbija najwyższą boleść. Obraz ten podpisany znakomitým imieniem, prawdziwą jest ozdobą wystawy.

Napół do historycznych, napół do religijnych przedmiotów należy scena z czasów prześladowania za Dyoklecjana, pędzla pana Sauzay. Po lewej stronie widać na podwyższeniu cezara, otoczonego pyszným patrycyatem. Naprzeciw tronu klęczy młoda dziewczica w bieli; długi płowy włos przysłania ją, niby złocisty welon. Podniosła głowę, oczy wlepiła w niebo. Po jednej stronie dziewczeczki stoi matka, wspaniała matrona rzymska: pokazuje córce złoty krzyżek, z wyrazem silnego postanowienia: z drugiej strony kapitan pogański ukazuje batwany. Młoda chrześcianka nie waha się: raczej śmierć niż odstępstwo. Kat z mieczem w rękę, czeka już na ofiarę, patrzy w oczy cezara, gotów spełnić natychmiast wyrok. Dramat oddany z wielką siłą i namaszczeniem.

Przejdźmy teraz do obrazów czysto historycznych. Tu pochwycą uwagę piękny obraz Ziera; przedstawia on Julię, siostrę cesarza Lucjusza, skazanego na śmierć wyrokiem syna jęj Antonina. Wsparta plecyma o drzwi, dzielna Rzymianka wyciąga obie ręce ku zbirom: „Prożno—woła—szukacie Lucjusza; nie dosięgnąć go wam, chyba po trupie moim: zabijcież mnie, matkę wodza waszego!” Pyszna ta postać, w żółtj tunice, przysłonięta błękitną draperyą, występuje z całym majestatem; żołnierze cofają się przerażeni. Zier należy także do młodych artystów, rokujących piękne nadzieje.

Śmierć Seneki, pędzla Sylwestra, jednego z najmłodszych malarzy, oddana w sposób nadzwyczaj dramatyczny. Słynny mistrz Nerona, tylko co utworzył sobie żyły; krew zbiega z obu rąk w wielkie marmurowe naczynie. Bładość śmiertelna, rozportarta już na obliczu; mimoto konający z całym wytężeniem woli, zbiera ostatek sił: jedną rękę opuścił bezwładnie na ramię przyjaciela, drugą podniósł nakazując w górę. Przemawia do uczniów; jeden z nich zapisuje na tablicy ostatnie słowa mędrca. Domownicy tymczasem wynoszą trupa małżonki Pauliny, która, aby nie przeżyć męża, zakończyła dni samobójstwem. Koloryt draperyi świetny, może nawet do zbytku: kształty ciała oddane z dokładną znajomością anatomii. Piękny ten obraz, nie podobał się realistom; według nich malarz „nagromadził tu wszystkie brzydoty rzymskie.” Sąd innego był zdania: Sylvestre, otrzymał medal.

Inny malarz, Alzatezyk Schutzenberger przedstawił Nerona. Sam pomysł obrazu pełen oryginalności. Okrutnik, przed którym wszystko drżało, ucieka gnany postrachem, z palącego się Rzymu; pochwycił oburącz grzywę konia pomykającego lotem strzały. Za Neronem pędzi wcał inny jeździec. Żołnierz na drodze przygląda się spłoszonemu cesarzowi z podziwem i pogardą. Bardziej jeszcze uragać się

zdaje trup rozciągnięty na ziemi, z rozwartém lecz zagastém już okiem.

Z małej liczby obrazów osnutych na dziejach Francji, najznakomitszy wielki utwór pędzla p Puvis de Chavannes, przedstawiający królową Radegundę. Obraz to przeznaczony do sali ratuszowej w Poitiers; w tém mieście bowiem trzynaste wieków temu, małżonka dzikiego Chilperyka, dawała opiekę poetom i uczonym. Augustyn Thierry podniósł z zapomnienia tę piękną postać; pędzel pana de Chavannes, tembardziej spopularyzuje ją we Francji. Radegunda ubrana po zakonem, siedzi po prawej ręce w dziedzińcu klasztornym; przed nią stoi Fortunat gallo-rzymski poeta, odziany w żółtą togę, z pergaminowym zwojem w ręku, z którego czyta poetyczne utwory. Grono słuchaczy wlepiło wzrok w poetę. Scena to bardzo malownicza i wymowna, pełna wdzięku i prostoty, barwa czasu oddana z prawdziwie artystyczném poczuciem. Zarzucają mistrzowi temu koloryt wypełży i jakby zatarty, realiści szydzą nielitościwie z jego prac; Puvis nie zważa na pociski krytyków, idzie drogą jaką sam sobie wytknął, protestując prawdziwie oryginalnemi obrazami, przeciw nadużyciom szkoły nowój, która w kolorycie i gwałtownych efektach dramatycznych widzi jedynie ostatnie słowo sztuki. Obraz ten widzieliśmy w roku zeszłym naszkicowany kredą, wykończony dziś, odpowiedział zupełnie oczekiwaniom naszym.

Belgijczyk Wanters podjął ustęp z kroniki gandawskiej, tyżący się wielkiego malarza flamandzkiego z XV wieku. Obłąkany *Van der Goes*, siedzi na piérwszym planie w szarój szpitalnej odzieży; obie ręce zacisnął konwulsynie na kolana, zęby ma ścięte, rysy wykrzywione w przerażający sposób. Po jednéj stronie działwa ze służby kościelnej śpiewa chórem pobożne pieśni, z drugieój dwaj dominikanie, kapelmistrz i przeor wlepili baczny wzrok w nieszczęśliwego, czekając rychło iskierka zbudzi się w zmaconym umyśle, pod czarodziejskim wpływem muzyki.

Pomijamy inne mniej wicęć udatne obrazy historyczne, aby czempredźej przystąpić do Zygmuntońskiego dzwonu Matejki. Mniejszy on nierównie rozmiarami od tych wszystkich utworów mistrza, które dotąd imponowały na paryżkich wystawach; pod względem przecieź wykonania, żadnemu z nich nie ustępuje. Jest on niewątpliwie ozdobą wystawy tegorocznej.

Publiczność uderzona świetnością kolorytu i mistrzowstwem pędzla, zatrzymuje się tłumnie przed tym obrazem, lubo nie pojmuje dziejowej jego doniosłości. Inaczej przemawia do nas stary spiżowy Zygmunt! Widzimy jak po prawej ręce, pochyleni ku ziemi robotnicy ciągną go z mozołem na wysoką wieżycę Wawelu, z kąd wygłasza wieści od trzech wieków. Starszy cieśla z rękoma podniesionemi w górę, kieruje pracą swoich braci cechowych. W pośrodku sceny stoi biskup otoczony duchowieństwem. Po lewój ręce siedzi na tronie królowa Bona, w pełnym kwiecie urody, odziana w bogaty złotogłów, w szkar-

łatnym kołpaczku na głowie. Mała królowna Anna tuli się do boku matki. Po lewicy Bony stoi król Zygmunt w szkarłatnej, złotem przetykanj odzieży, obłożonej sobolem. Postać króla poważna, spokój panuje na obliczu. Rękę oparł na jasnój główce małego Zygmunta Augusta. Poza królową skupione tłumnie matrony i dziewice dworskie; poza królem dostojnicy koronni. Na pierwszym planie kłęczy kilka dziwnie pięknych postaci, w futrach i aksamicie; żałujemy, że artysta nie oznaczył w katalogu ich nazwisk i godności. Wszyscy utkwili oczy w dzwon podnoszący się w górę. Słońce południowe oblewa grupę całą, królewska zwłaszcza rodzina zdaje się tonać w aureoli światła, tak wymownie charakteryzującej zorzę Zygmuntofskiej epoki!

Z prawdziwą przyjemnością spostrzegliśmy w jednój z wielkich sal piękny obraz pana Wojciecha Gersona. Niepotrzeba go szukać, wpada on sam w oczy świetnym kolorytem i dramatyczną siłą kompozycji. Francuzi zatrzymują się przed nim, patrzą z westchnieniem na protoplastów tój złowrogiój potęgi, co niedawno, acz bez zbroicy żelaznej i bez krzyża na płaszczu, powtórzyła nad Sekwaną i Loarą, toż samo, co praojce czynili nad Wisłą i nad Niemnem, owego zakonu, którego

..... Siła żadna nie ugłaszczel!

Tyle ziem, złota, wepchnęli mu w paszczę,

On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele:

Na resztę łupu rozdziera gardziele!

(*Grażyna*).

Żałowaliśmy, że tych słów wieszczka naszego nie było w katalogu. Jakieżby one znalazły odbicie w sercu Francuzów, do których sam obraz tak już silnie przemówił.

Wymowny to obraz w rzeczy samój. Straszny ten krzyżak w szacie krwawo czerwonej, z krzyżem na piersiach jakby na uraganie, co nogą depcze po trupie człowieka, ręką pochwycił przez pół, młodą, przerażoną niewiastę. Maleńkie dzieciątko w koszulce, porzucone na ziemię, podnosi jeszcze stronę dramatyczną. Wybornie tóż obmyślany drugi krzyżak na koniu, poglądujący szyderczym wzrokiem. Złupione klejnoty, które pochwycił w garść, wystarczą mu za wszelką inną zdobycz! Szare północne niebo, wybornie harmonizuje z całością pięknego obrazu.

Rzucmy teraz okiem na mitologiczne utwory. Jest między niemi kilka bardzo pięknych. Tém więcj one zajmują, że wyszły z pod pędzla młodych uczniów szkoły francuzkiej bądź w Paryżu, bądź w Rzymie. Ci młodzi malarze obierają mitologiczne przedmioty, nie z samych tylko klasycznych popędów, jakie w nich rozwija widok starożytnych arcydzieł. Ważną tóż dla nich pobudką jest chęć okazania biegłości anatomicznej, do czego półobnażone ciała półbogów olimpijskich nastęrczają sposobność.

Młody uczeń szkoły paryzkiej, Delobbe, zaszczycony w zeszłym roku złotym medalem, otrzymał i teraz podobną nagrodę za prawdziwie piękną scenę z poematu Owidyusza: *Pyram i Thizbe*. Przebity Pyram leży na pierwszym planie, z głową na ramieniu przechyloną. Thizbe poznaje w trupie kochanka: jedną rękę przykłada mu do rany, drugą obejmuje martwą głowę. Postawa jej pełna prostoty, rysy prześlizczne, draperya lekka, rzucana śmiałym pędziem. Obie postacie jasno odbijają na tle nocy, oświetlone bladym światłem księżyca.

Uczeń szkoły Rzymskiej Ferrier, przysłał także scenę z *Metamorfóz*, *porwanie Ganimeda*. Orzeł z rozpartartymi skrzydłami unosi pod obłoki pięknego młodzieńca, na którego obliczu zachwyt łączy się z żalem. Tęskniemi oczyma ogarnia on brzegi ojczystej Grecji, zru-minione poranną zorzą. Wiatr odrzuca w tył fałdy draperyi, odstawiając ciało wymodelowane biegłym pędziem.

W głębszej starożytności szukał natchnienia młody malarz Cormon. przed dwoma laty potrafił on już o mity starożytnych Hindów, odtwarzając z poematu *Ramayana* postać uroczej Syty. Z tegoż samego poematu, przedstawia dzisiaj *śmierć króla Rurany*. Na szerokim pobojowisku leży trup bohatera, grono niewiast otacza go w okół. Piękne małżonki, przybrane po wschodniemu, zawodzą nad poległym: głowy ich śliczne, postawa pełna wdzięku, koloryt harmonijny. Sąd przysięgłych przyznał młodemu artyście nagrodę, jaką od roku rozporządza: 4000 franków rocznej pensyi, z obowiązkiem odbycia dwoletniego kursu w Rzymie. Krytycy szkoły realistycznej oburzeni tórn bardzo, przeznaczali bowiem tę nagrodę panu Becker, za jego *Wisielewów*. Sąd inaczej nią rozporządził: Becker żadnego nie otrzymał medalu.

Z pomiędzy mitologicznych zasługuje także na uwagę, piękny obraz p. Gendron: *Dziękczynna ofiara Eskulapowi*. Widzimy tu na pierwszym planie młodą dziewczę grecką, wracającą do zdrowia. Przyniesiono ją na noszach do progu świątyni. Odziana w białą szatę, lekko przysłonięta purpurą, lica ma blazę, oko zapadłe. W rękę trzyma zielony wieniec. Matka pochylona po nad wezgiłowiem, utkwiała oczy w córkę. Jedna siostra niesie skrzynekę, druga zasłania chorą od światła. Po drugiej stronie spoczywa znużony ojciec, dalej stara babka wlece się zwolna podparta kijem. Na boku leżą trzy koguty ofiarne i pęki kwiatów. W otwartych drzwiach świątyni, ukazują się kapłan. Cały układ pełen wytwornego smaku; barwy jasne, godne greckiego nieba.

Stypendysta szkoły rzymskiej p. Merzon, nadesłał alegoryczny obraz wielkich rozmiarów, ściągający powszechną uwagę; tytuł jego: *Ofiara dla ojczyzny*. Na ołtarzu podpisanym *Patria* leży martwe ciało poległego młodzieńca, pokryte ciemną draperyą. Po lewój ręce niewiasta w żałobie, z przechyloną w tył głową, zaciska ręce rozpaczliwie: to nieszczęśliwa matka! Obok niej stoi symboliczna postać wiary, uosobiona w niewieście, z ofiarniczym kielichem w rękę. Po dru-

gięj stronie Sława, odziana czerwoną draperyą, dmie w trąbę na cześć bohatera; wydełe policzki tej Sławy śmiesznie raczej, niż estetycznie wyglądają. Dziwnie z resztą wydało nam się owo połączenie chrześcijańskich i pogańskich tradycji. U stóp ołtarza przechodzi geniuszek w postaci skrzydlatego dziecka, z wielką tablicą noszącą napis: *Bella matribus detestata*. Geniuszek ten przypomina jednego z aniołków Rafaela u stóp Madonny Syktyńskiej. Wykonanie obrazu lepsze nierównie, aniżeli sam pomysł.

Mniejszy rozmiarem, ale wyższy według nas harmonią, obraz Ywona, przedstawiający tenże sam prawie przedmiot. Juliusz Cezar w wieńcu bluszczowym i purpurze, dosiada tryufalnie bieguna odzianego tygrysią skórą. W rękę piastuje kulę z napisem *Roma*. Koń Cezara depcze po trupie jasnowłosej Germanki. Niewolnicy, przytroczeni za szyję do kity końskiej, wloką się mimo rozpaczliwego oporu. Przed Cezarem postępują dwie niewiasty w białych zastonach z podniesionymi w górę kosami; dwie Persefony, straszne żniwiarki śmierci. Bellona z rozpostartymi skrzydłami, wzlata nad krwawym bohaterem, w prawicy jej połyska miecz, w lewicy zapalona głownia. Śladem jej leci chmara łaknących kruków. Na lewo, do stóp strzaskanęj kolumny, tuli się niewiasta z niemowlęciem na ręku. Grupa żołnierzy stąpa w milczeniu za Cezarem, wśród nich poeta zwieńczony w bluszcz, opiewa chwałę tryumfatora. Całe dzieje Rzymu czytamy na tém płótnie!

Ywon przedstawił także piękny portret hrabiny Caen. Wykonał go w hołdzie wdzięczności dla donatorki, która zapewniła los początkującym artystom, zaczęć zdobędą wziętość i sławę. Przed nią leży na stole testament obejmujący słowa: „Artyści malarze, rzeźbiarze i architekci, wysłani przez rząd na naukę do Rzymu, przez lat trzy za powrotem, otrzymywać będą rocznie po cztery tysiące franków.” Obraz ten pomieszczony będzie w bogatym muzeum, ofiarowanym przez hrabinę akademii francuskiej. Każdy z udarowanych malarzy, wypłaci się akademii darem jednego obrazu, każdy rzeźbiarz darem popiersia albo grupy. Łatwo pojąć, jakie rozmiary przybierze kiedys muzeum hrabiny Caen.

Liczba portretów na wystawie bardzo wielka. Za arcydzieło pomiędzy nimi uważają powszechnie portret pani Pasca artystki dramatycznej, wykonany śmiałym pędzlem Bonnata. Ten to sam malarz przedstawił w roku zeszłym Chrystusa na krzyżu, utwór świadczący o niesłychanej biegłości pędzla, ale zarazem ohydny realizmem. W tym roku p. Bonnat na właściwą wszedł drogę. Postać artystki w białej sukni, okładanej czarném futrem, przedstawia się prawdziwie majestatycznie. Taki majestat umie pojąć i oddać doskonale p. Bonnat. Ciało wymodelowane umiejętnie, draperya rzucona śmiałą ręką.

Dwa portrety Karolusa Durana, nagrodzone medalem, ściągają też powszechną uwagę. Jeden przedstawia córeczkę malarza, przyletnie dziecko strojne przesadnie w aksamity i atlasy, z bardzo pięknym

charcikiem; drugi kobietę średniego wieku, nie nazbyt urodziwą, śmiejącą się tak, iż odkrywa obadwa rzędy zębów, jakby dla pokazania, że je szczęśliwie zachowała. Duran szuka zawsze dziwnych efektów, pięknych lub szpetnych, byle tylko bijących w oko. Wśród licznych portretów znakomite zajmują miejsce utwory Cabanela, Giacomottego, panny Nolie Jaequemart, Dubuifa, Hennera, Heberta, Lepagéa, i innych których wyliczyć trudno. Pan Rodakowski przedstawił dwa prawdziwie piękne: jeden brata swego, drugi hrabiny J. D. zapewne Polki, łatwo zgadnąć to z rysów i układu. Zwrócił téż uwagę naszą portret p. Berthier, przedstawiający hrabiego Gurowskiego, małżonka infantki hiszpańskiej.

Do portretów zaliczymy dwie wielkie figury niewieście, panów Goupil i Jaquet, obie widocznie odtworzone z natury. Pierwszy ukazuje elegantkę z czasów dyrektoryatu w ogromnym kapeluszu z piórami, sukni szkarłatnej; drugi młodą kobietę zadumaną, opartą niedbale w krzesło, strojną w aksamit ciemno-amarantowy. Dzięki zapewne świetnemu kolorystowi i wybornie oddanym draperjom, obu malarzom przysądzono medale złote.

Mówiliśmy szczegółowo w roku zeszłym o prześlicznym portrecie podeszłej matrony, wykonanym przez pannę Izydorę Mikulską. Otóż w tym roku dodać możemy, iż artystka ta nietylko że odpowiedziała nadziejom naszym, ale co więcej przeszła wszelkie oczekiwania. Portret młodej szesnastoletniej panny, wykonany jej biegłym pędzlem, ściąga powszechną uwagę, nietylko publiczności, lecz wymagających nawet krytyków. Pan Charles Clement sprawozdawca Debatów, tak oszczędny w pochwałach, który z pomiędzy trzechset portretów, zamieszczonych na wystawie, wymienił zaledwie dwadzieścia, nie pominął pracy panny Mikulskiej, przyznając artystce znakomity talent. Śliczny w rzeczy samej ten portret, tchnący wiosennym urokiem młodości! Biust odstępny dzięki sukni balowej, oddany wybornie, równie jak ręka obnażona od ramienia. Piękny model dodał niewątpliwie bodźca artystce naszej, ale z drugiej strony nastęrczał nie małe trudności. Ktokolwiek ma pojęcie o sztuce, wie dobrze, jak trudno pochwyć wyraz w młodzieńczych rysach, na których życie nie wyłobito jeszcze śladu. Panna Mikulska wyszła jednak zwycięzko z trudnej próby. Umiała oddać na tém gładziuchném czole, nie przyćmioném jeszcze żadną chmurką, pełny wdzięk pogody majowej. Wszystko w tym obrazie zaczawszy od płowych włosów, lekkich jak puszek, do szerokich draperji atlasowych, pokrytych przejrzystą illuzją, wszystko prześlicznie wykonane.

Panna Mikulska nie poprzestała na tym pięknym portrecie; przedstawiła jeszcze fantastyczny obraz mniejszych rozmiarów: młodą prządkę, uspioną przy kołowrotku. Dzieweczka wsparta o poręcz krzesła, wdzięk ma nieporównany; z pod długich rzęsów, snadno odgadnąć płomieniste oko, drobne usteczka lekko się uśmiechają, niby

w odpowiedź na sny, rojące się w tój główce zrećcznie w tył pochyłonej, pokrytj malowniczym czepeczkiem.

W pracowni artystki naszj widzieliśmy tż bardzo piękną kopię Madonny Rafaela z muzeum Luwru. Obraz ten wkrótce zobaczy i oceni Warszawa. Widzieliśmy również, tylko co podmalowany portret ślicznj pięcioletniej dziewczynki: będzie to prawdziwe pięścidełko.

Rzućmy teraz okiem na krajobrazy. Wśród wielu bardzo pięknych, pędzla Daubignego, Français i tylu innych, uderzają trzy prześliczne pejzaże Corota. Jeden przedstawia chłopka rąbiącego drwa w lesie; drugi, taniec starożytny, trzeci polankę leśną. Ostatnie to prace nieodżałowanego mistrza, niezupełnie nawet wykończone. Jakież tu ruch, jakie życie obok głębokiego spokoju! Jak tu powietrze lekko powiewa po tych konarach drzew, malowanych szerokiemi plamami, tak jak się przedstawiają o świcie lub o zmierzchu wieczornym; wiadomo że idealista Corot, nie lubił południowych słońca promieni. Jak te obłoczki kotyszą się na niebie, jak ta rosa cichutko spada, zda się że słyhać nawet szelest listeczków i szum trawy!

W chwili gdy to piszemy wystawiono właśnie na widok publiczny dwieście pięćdziesiąt dzieł Corota. Nadesłali je prywatni właściciele ze wszystkich stron Francyi, równie jak miasta Rouen, Lille, Douai, Bordeaux i t. d. ze swych prowincjonalnych muzeów. Jest to zaledwie cząstka prac tego mistrza; mnóstwo ich przeszło w dalekie światła stroy, najwięcej za morze: do Anglii i Ameryki.

Wystawa tych licznych krajobrazów wykonanych w ciągu lat czterdziestu, równie ciekawa jak pożyteczna dla młodych artystów. Widać tu, jakiemi drogami wielki malarz dochodził do tego wzniosłego stanowiska w sztuce, które świat mu nakoniec przyznać musiał. Nim Corot począł rzucać na płótno owe lekkie szkice, dziś zasypywane złotem, zbadał on wprzód doskonale wszystkie tajemnice sztuki i natury. Naśladowcy jego niedosyć pamiętają o tём, że wytrawnym mistrzom szkicować tylko wolno.

Półowa dochodu z tój wystawy, przeznaczona na korzyść Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów, druga na grobowy pomnik dla zmarłego.

Ale czas nam powrócić do salonu. Jak mówiliśmy powyżej, wystawa tegoroczna nadzwyczaj bogata w rodzajowe obrazy. Do rzędu ich zaliczymy także większą część wojennych, z czasu ostatnich wypadków we Francyi. Wielkie bitwy jak Werneta i Ywona, zaniechano dziś prawie zupełnie. Smak powszechny upodobał sobie owe drobne epizody, uwydlatniające zapał i poświęcenie jednostek. Łatwo to sobie wytłumaczyć. Ostatnia wojna nie przedstawia ani jednjej bitwy uświetnionej tryumfem oręża francuzkiego, godnej przedstawienia na płótnie szerokich rozmiarów; nie brak w niej przecież bohaterkich czynów i ofiar, czyniących zaszczyt zwyciężonemu narodowi. Takie to chwile podejmują malarze dzisiejsi Neuville, Belluueur, Detaille, odzwierciedlając je z nieporównaném życiem. Ci trzej mistrze, zrodzeni

z ostatnich klęsk Francyi, zjednali sobie w kraju prawdziwą popularność.

Neuville, który w zeszłym roku zachwycił publiczność ostatnim Kartuszem, w tym roku prześcignął sam siebie: bitwa pod Villersexel, to w rzeczy samej, arcydzieło w swoim rodzaju. Rzecz dzieje się w styczniu w roku 1871, na rynku małego miasteczka. Dachy pokryte białym śniegiem, niebo ciemne jakby otowiane, bezlistne drzewa sterczą opodal, istny rząd kościotrupów. Na ciemnym tle nieba przebiegają kule, niby ogniste meteory, od rynku widać w perspektywie uliczkę wąską, między dwoma ścięniętymi rzędami domów; w owych domach zabarykadował się nieprzyjaciel: z okien miota w rynek karabinowe strzały.

Główny dramat odbywa się na lewo przy starym murze. Francuzcy wiarusi podkładają ogień, chcą z dymem puścić miasto, aby wypłoszyć wroga. Mobile odrywają drzwi z zawias, rozwalają stajenki i drewniane domostwa, ciągną taczkami pęki chrustu, biegają z głównią zapaloną, strzały tymczasem sypią się na nich jak grad. Trupy zasłaty ziemię; plamy krwi czerwienieją na śniegu. Scena ta nadzwyczaj żywota i dramatyczna, niesłychane sprawia wrażenie.

Boerne Bellecour przedstawił bitwę w Malmaison, pomiędzy tyralierami łatwo rozpoznać portrety malarzy Viberta, Leloira i zacnego twórcy obrazu, który brał czynny udział w tej pamiętnej wycieczce. Opodal widać piękny pałacyk cesarzowej Józefiny.

Pułk maszerujący bulwarem Detailla, powszechną też ściąga uwagę. Gawiedź uliczna brnie po grudniowym śniegu, aby się przyrzecć swoim przyszłym obrońcom, dziatwa w piasach biegnie przed wojskiem.

Pogląd szczegółowy na te setki obrazków rodzajowych tryskających życiem i prawdą, które co krok napotykamy na tegorocznej wystawie, zanadto by rozszerzył ramy naszego sprawozdania. Musimy je z konieczności pominąć. Powiemy tylko, że wielka liczba obrazków z życia ludu roboczego, świadczy wymownie o demokratycznym kierunku sztuki. Wielu krytyków ubolewa nad ogólnym dziś popędem, przypisują go rozmaitym przyczynom: to lenistwu artystów, którym trudno zdobyć się na wielkie pomysły, to chciwości zysku a przez to samo schlebianie ogółowi rozmiłowanemu w tego rodzaju utworach. Ale skądże pytamy to ogólne rozmiłowanie? I kóżby w niemi nie odgadł tego silnego prądu, co porywa ludzi w chwili danćj, pokazując im nowe widnokregi? Przeczuwają artyści, przeczuwa ogół, że siła Francyi polega na pługu, że duszą narodu nie on błyszczący Paryż, tak gwarliwy, tak zgorączkowany, ale wieśniacza strzecha, z owym ludem zrosłym z ojczystą glebą, zamiłowanym w pracy; z owym ludem, który nie zwątpił nigdy o przyszłości, bo czuje własną siłę, bo wsparty nogami na ziemi ojców, oczy i serce podnosi z wiarą w niebo!

Powszechne upodobanie w obrazkach wiejskich, objawia się w sposób wymowny, pochopnością, z jaką je ogół rozkupuje. Dość tu

przypomnieć publiczną sprzedaż po malarzu Milecie w połowie maja. Za czterdzieści obrazków przedstawiających lud wieśniaczy, z normandzkiej wioski Greville, gdzie malarz przemieszkiwał, zapłacono 337.000 franków. Przedwczesna śmierć Mileta, malarza przątek, drwali i pastuszków, wcale nie arkadyjskich, lecz normandzkich, z ciałem i duszą; prawdziwą jest klęską dla sztuki. Są jednak pomiędzy żyjącymi nieporównani mistrze w tym rodzaju. Wszystkich prześcignął Juliusz Breton, gorący miłośnik ludu wieśniaczego; to też w długim szeregu utworów rodzajowych na wystawie, obraz jego świeci niby perła przeczystej wody. Przedstawia on *Ogień Świętojański*, jak mówi napis, po naszymu *Sobótkę*. Pomrok wieczorny zapadł, zorza niegasnąca w tej porze słabo tleje w oddali. Na pierwszym planie, dziewczęta, trzymając się za ręce, opasały wieńcem ognisko. Jakaż to radość wytryska z tych lic hoźych, jakaż to swoboda w ich ruchach! Zda się, że słyszysz piosenkę, co wybiega z ich krzepkich piersi przez półotwarte usta. Grono parobeczków przyspiewuje opodal, bijąc o ziemię podkówkami. Matki i ojcowie siedzą na uboczu, patrzą na płasające grono: za tym kołem drugie i trzecie i dziesiąte, płoną coraz to słabiej, coraz dalej, aż nikną wszystkie na mglistym widnokręgu. Sierp miesięczny przyświeca z góry, łącząc harmonijnie srebrne światło z łuną sobótowych płomieni.

Przed laty trzema, Juliusz Breton otrzymał honorowy medal za wieśniaczki u źródła. W Sobótce prześcignął on jeszcze sam siebie. Breton jest zarazem poetą słowa, równie znakomitym jak malarzem. Dotąd nie wiedział nikt o tym we Francyi, aż tu nagle ukazuje się w tym roku, zbiorek poetycznych jego utworów, pod tytułem *Pola i Morza*. Są to maleńkie obrazki pełne wdzięku i kolorytu, podobne zupełnie do tych jakie artysta rzuca na płótno z niezrównanym zyciem i prawdą. Przytaczamy z nich w przekładzie *Ogień Świętojański*, wierny komentarz do wspomnionego wyżej obrazu.

Drzemią sierpy w komorze,
Pomrok zapadł, noc bliska;
A dziewczeczki tam hoże
Tańczą w okół ogniska.

Ptaka do gniazda się chowa,
Lasy, pola, już głuchną;
Tylko zorza czerwcową
Świeci ziemi błedziuchno.

Przez tumany mgły cienne,
Na przestrzeni szerokiej,
Wkoło widzę tajemne,
Płasających poskoki.

Gdy dziewczątka urocze,
Wiotką kibić przechyla,
Z bark chusteczka furkocze,
Jak skrzydełka motyla.

Pieśń radosnym brzmi chórem,
 Iskra iskrę potraça;
 Błysł na niebie ponurem,
 Sierp srebrzysty miesiąca.
 Stoją chłopcy na boku,
 W jedno grono skupieni;
 Przyśpiewują w pomroku,
 Jak rój brzących szerszeni.
 O kij wsparta babina,
 Wlecze kroki powoli;
 Tęskno w duszy wspomina
 Dnie dziecięcej swawoli!
 A nietoperz co z wieży,
 Na świat nocą zbiegł czarną,
 Spłoszon pieśnią młodzieży,
 Zbiegł w kryjówkę cmentarną!
 Póki starczy płomieni,
 Płasaj dziatwo szczęśliwa;
 Gdy brzask niebo zrumieni
 Pójdziesz z sierpem do żniwa!

Oto jeszcze sonet Bretona *Do rodzinnej doliny*, którą tylekroć odmalował już pędzlem. Odbita w nim jakby w zwierciadle jasna dusza malarza poety.

Piękna moja dolino! gdy przez tuman rosy,
 Zachodzący promyczek w dzwonnicy odbłyśka;
 Gdy kłonią się ku ziemi rozmodlone kłosa,
 I dym jak z kadzielnicy bucha z trzęsawiska.

Gdy po łące zielonój, rój dziewczeczek bosy,
 Z pękiem chust od rzeczułki wraca do ogniska;
 Kiedy wietrzyk swawoli z długimi ich kosy:
 Jam nad to cudniejszego nie widział zjawiska.

Inni, gdy chcą o innym niechaj marzą cudzie,
 Niech szarpią się szaleńcy w gorączkowym trudzie:
 Twa piękność nie przemówi do ich duszy choréj!

Ty starczysz sercu memu, twój urok mnie żywi,
 Chcę stąpać, gdzie stąpali ojcowie szczęśliwi;
 Po tychże samych ścieżkach, letniemi wieczory!

Aby nie znużył zbytecznie uwagi czytelnika, pozostawiamy do sierpniowej kroniki, piękne rzeźby zgromadzone w liczbie sześciuset z górą w ogrodzie pałacu przemysłowego. Dział ten wystawy, bardzo

piękny i zajmujący. Honorowy medal przyznano p. Chapu za przepyszny posąg młodości, tworzący część niewykończonego jeszcze pomnika, dla malarza Regnaulta i innych uczniów szkoły sztuk pięknych, poległych w ostatniej wojnie.

Wspomnimy tu jeszcze ogromny pomnik, pomieszczony w tych dniach na Polach Elizejskich, przed pałacem wystawy. Pomnik ten odlany ze szpizu, dłuta znakomitego rzeźbiarza Cordier, przedstawia kolosalną grupę, składającą się z sześciu figur. W pośrodku stoi Krzysztof Kolumb z prawą ręką podniesioną do góry, jakby na podziękowanie Opatrzności za dzieło, jakie dano mu było wykonać. Lewą ręką ukazuje Amerykę na rozpostartej przed nim mappie świata. Po jednej stronie stoi Leon Diego, który osłonił Kolumba w obec podejrzliwej inkwizycji, Juan Perez de Marcheno, przełożony klasztoru w Probida, nieodstępny towarzysz wielkiego odkrywcy. Po drugiej stronie biskup Las Cases, który opuścił kraj dla nawracania barbarzyńskich tubylców nową półkuli, obok niego inny misjonarz, opowiadający słowo Boże młodemu indyaninowi.

Miasto Mexico zamówiło ten wielki pomnik, wysoki na metrów dziesięć, ważący 150,000 kilogramów. Całość przedstawia się bardzo wspaniale. Po obu stronach piedestału piękne płaskorzeźby wyobrażają budowę pierwszego kościoła w Ameryce i wylądowanie Kolumba u brzegów meksykańskich.

Poraz pierwszy, odkąd piszemy kroniki nasze, przychodzi nam zapisać śmierć człowieka, dla którego oprócz głębokiej czci, winnej ludziom wielkiej pracy i wielkiej zasługi, zachowaliśmy jeszcze najwyższe uczucia uwielbienia i wdzięczności osobistej. Mówimy tu o Fryderyku Eichhoffie, jednym z najznakomitszych filologów francuzkich, zmarłym 10 maja roku bieżącego.

Nie znaleźmy jeszcze osobiście Eichhoffa, kiedy przed dwudziestu laty, w początkach pisarskiego zawodu naszego, wpadła nam w ręce szacowna jego praca o literaturze ludów północnych. Zachęceni przez uczonego W. A. Maciejowskiego, wzięliśmy się do jój przekładu. Znakomity nasz historyk rozszerzył sam ustępy dotyczące literatury ludów słowiańskich, aby uczynić dzieło tém početnějszém dla ziomków. Przed laty dziesięcioma Eichhoff dowiedział się o tój pracy naszej. Odtąd datuje początek znajomości, która z jednej strony przybrała charakter ojcowskiej opieki, z drugiej najgłębszej czci i poszanowania. Ileżto przez te lat dziesięć przepędziliśmy wieczorów przy ognisku naszym, lub tóż wspólnych przyjaciół! Przybycie Eichhoffa było zawsze prawdziwą uczcą duchową. Niewyczerpany w rozmowie, przywykły wieloletniem nawykniem do mówienia z katedry, dotykał z kolei rozmaitych przedmiotów, a każdy umiał podnieść do tych wyżyn, wśród których myśl jego krążyła bezustanku. Czy to opowiadał kilkakrotne wycieczki swoje za Alpy i Pireneje, czy podnosił niezrównane dzieła mistrzów włoskich, czy pomniki kastylijskiej architektu-

ry, czy cuda przyrody helweckiej, słowa jego pełne życia i barwy, wnikły w myśl, porywały wyobraźnię. Dopierożto, gdy wpadł na tor literatury, która przez długi żywot była powszednim jego chlebem!

Z jakimże podziwem słuchaliśmy nieraz siedmdziesięcioletniego starca, powtarzającego całe ustępy z indyjskiej Ramayany lub Mahabaraty, z perskiej Zenda-Westy, z Niebelungów, z Eddy skandynawskiej, lub ruskiej pieśni o Igorze! Z jak wysoko krytycznym sądem porównywał on te dzieła geniuszu ludzkiego, wykazując w nich najściślejszy związek duchowy! Z jakąż głęboką crudycją, a obok tego z jakimż życiem zapuszczał się nieraz w filologiczne badania, dowodząc braterstwa języków europejskich i pokazując w sanskrycie jednoczącą je węzeł! W sądzie o ludziach jakże niewyczerpaną była jego pobłażliwość. Wielki pracownik, wysoko podnosił każdą sumienną pracę, każdą choćby drobną zastugę. Dobroć ta jednak nie pochodziła bynajmniej ze słabości. Słyszeliśmy nieraz Eichhoffa, występującego energicznie przeciw realistom depczącym wszelkie tradycye, przeciw pisarzom wysokiego nawet talentu, podkopującym zasady moralności. Byliśmy obecni, jak przed kilkoma laty, na posiedzeniu Towarzystwa etnograficznego, rzucił z całą powagą rękawicę pani Klemencyi Royer. Patrzeliśmy kilka miesięcy temu, jak przyciśnięty już wiekiem, złamana chorobą, powstawał gorzko na zaślepienie akademii, że do grona swego przyjęła Dumas, autora *Dam kameliowych*, półświatów i innych podobnych bezeceństw.

Widywaliśmy go do ostatniej niemal chwili. Wigilią Nowego roku przepędził w naszym gronie. O północy zamieniliśmy życzenia; żal ścisnął nam serce, bo zmiana rysów, bladeść oblicza starca, głos jego złamany, niby dźwięk rozbitego dzwonu, zapowiadały nam zbyt wyraźnie, że rok ten ostatni będzie jego życia. Na pięć dni przed śmiercią, kiedy drzwi jego zamknięte już były dla obcych, widzieliśmy go jeszcze; uścisnęliśmy tę dłoń zagną i przyjacielską, posłyszeliśmy słabym głosem wyrzeczone błogostawieństwo: *Que Dieu vous bénisse!* Oto ostatnie słowa, wybiegłe dla nas z tych ust wpołowcie już zamartwych.

Niech nam czytelnicy przebaczą ten ustęp kroniki, zabardzo technący osobistością, wbrew zwyczajowi naszemu. Mała liczba serc życzliwych, jaką liczyć możemy w gronie czytelników, zechce nam zapewne wyrozumieć, że mówiąc o zmarłym mistrzu i przyjacielu, nie mogliśmy zatrzymać się w korbach zimnej obojętności, że pióro zadrzało nam w rękę, i nakreśliło więcej niżbyśmy powiedzieli sami chcieli! Ale jakże tu nieodpłacić wdzięcznością tej szczerzej i niezmienniej przyjaźni, jakiej odebraliśmy tyle dowodów? Czytelnicy Biblioteki pamiętają zapewne ów list Eichhoffa, zamieszczony na stronicach jég w roku zeszłym, list, którym uczony filolog wsparł nas tak dzielnie, przeciw pociskom pana Léger, rzucanym na nas we włoskich nawet czasopismach! Nie sama tylko przyjaźń, ale więcej jeszcze uczucie sprawiedliwości, było powodem tego publicznego wystąpienia. Każdy

zrozumie, że tak uczony filolog jak Eichhoff, nie byłby narażał imienia swego dla przyjaźni, gdyby słuszność nie była za nim.

Rzućmy teraz okiem na długi a pracowity żywot zasłużonego męża. Fryderyk Eichhoff, jak świadczy imię jego i nazwisko, był z rodu Niemcem raczej aniżeli Francuzem. Ojciec jego zamożny negocyant przeniósł się z Hamburga do Francji, dla interesów handlowych. Fryderyk urodzony w Hawrze roku 1799, wychowany w szkołach paryzkich, naturalizowany później jako obywatel Francji, uważał się zawsze za Francuza. Pragnieniem jego było nawet, przetłumaczyć nazwisko swoje na Chenneccourt. Śmierć syna w dzieciennych latach, odwiodła go od tego zamiaru. W czasach ostatniej wojny, widzieliśmy, jak bolał nad klęskami ojczystej ziemi. Był on, powtarzamy Francuzem, jeżeli nie z krwi, to z uczucia, wyrozumowania i charakteru.

Otrzymałszy stopień doktora literatury w roku 1826, poświęcił się zawodowi professorskiemu, a zarazem badał języki wschodnie, mianowicie źródłowy język sanskrycki. W rok potem, na uroczystym posiedzeniu Towarzystwa Azyatyckiego, pod prezydencją księcia Orleanu (później króla Ludwika Filipa), mową znakomicie wypowiedzianą, zwrócił na siebie powszechną uwagę. Książę wezwał go na profesora własnych dzieci.

Po ustanowieniu monarchii lipcowej, mianowany bibliotekarzem królowej Amelii, Eichhoff oddał się pilnie nauce żywych języków. W roku 1837 zastępował sławnego Fauriela, na katedrze w Sorbonnie. W lat kilka później, otrzymał katedrę własną w fakultecie Lyonskim, gdzie przez lat z górą dziesięć wykładał literatury zagraniczne. Opuścił ją dopiero w roku 1855, podniesiony na godność inspektora generalnego języków żywych, we francuzkich liceach. Usunięty po upadku Ludwika Filipa, w ostatnich jednak latach czerwca, powrócił do obowiązków inspektora i sprawował je aż do ostatniej chwili.

Od roku 1825 rozpoczął Eichhoff literackie prace, których szereg wynosi kilkadziesiąt tomów. Wydał nasamprzód obszernie *studjum nad Wirgiliuszem* w trzech tomach: wykazał tu stosunek literatury łacińskiej z grecką; oznaczył wszystkie ustępy, w których Wirgili idzie w ślad starożytnych poetów helleńskich. W roku 1836 ogłosił znakomite dzieło, owoc kilkoletnich prac, *parallele języków europejskich i indyjskich*; są to głębokie badania nad głównymi językami romańskimi germańskimi i słowiańskimi: dzieło obejmuje cztery tomy in 4-to; tłumaczono je w Lipsku na język niemiecki. W roku 1839 napisał *Historję języków i literatur słowiańskich*, z odniesieniem ich do sanskryckich źródeł. W roku 1840, wspólnie z filologiem niemieckim Suckan, wypracował *Dykejonarz etymologiczny rdzennych wyrazów niemieckich*; w roku 1845 wydał dzieło o pierwotnym pochodzeniu Scytów i Słowian; w roku 1850, *Legende o życiu przyszlém*, przełożoną z sankrytu; w uczonym komentarzu, porównywał ją do legend Homera i Wirgiliego; w roku 1852 drukował *Studia nad Nini-*

wą i *Persepolis*; w roku 1855, *Literaturę ludów północnych* znaną w polskim przekładzie; roku 1860 *Poezye bohaterkie Hindów*, stosunek ich do epepei greckich i łacińskich; w 1867 *Gramatykę powszechną indo-eropejską*, porównanie języków greckiego, łacińskiego, goetyckiego, niemieckiego, angielskiego oraz języków słowiańskich pomiędzy sobą, z odniesieniem ich do sanskrytu.

Do tych dzieł pomnikowych, dodajmy jeszcze *Wypisy z klasyków niemieckich i angielskich*, każde z nich w trzech seryach; mnóstwo rozpraw treści lingwistycznej i archeologicznej, przekłady pieśni Wedy wierszem łacińskim, tłumaczenie pięknego hymnu do Boga, z Dzierżawina, a ogrom tych utworów będzie dla nas wymownym dowodem, ile człowiek jeden dokonać może, pracując z dnia na dzień, wytrwale, trzymając się wiernie jak Eichhoff, przepisu starożytnych: *Nulla dies sine linea*.

Powszechne uznanie było dla Eichhoffa, słuszną nagrodą za poniesione trudy. W roku 1837 zaszczycony krzyżem legi honorowej, w dziesięć lat potem został członkiem akademii napisów i literatury. Za *Paralellę języków* otrzymał kilka medali honorowych od króla saskiego, od księcia pruskiego i od miasta Hamburga.

Mamy w rękę ostatnią rozprawkę Eichhoffa, w szczupłych objętości ramach o poemacie perskim *Szah-Nameh* Firdussego; nakreślił ją na kilka miesięcy przed skonem, z powodu pysznego egzemplarza nabytego w tych czasach w Anglii przez barona Rothschild. Dołączymy ją w przekładzie do sierpniowej kroniki. Tém ona ważniejsza, iż jedyny rękopis jaki istnieje, pozostał w rękę naszém. Eichhoff dał nam tę pracę, z wyraźnym życzeniem, abyśmy ją pomieścili w Bibliotece Warszawskiej. Śmierć autora nie pozwoliła nam zwrócić cennego rękopisu, który zachowujemy jako drogą pamiątkę.

W pierwszych dniach maja, miasto Orlean obchodziło doroczną uroczystość na pamiątkę cudownego oswobodzenia swego, za sprawą natchnionej Joanny d'Arc. Z tą uroczystością połączyła się jeszcze inna. Miejscowe Towarzystwo Archeologiczno-Historyczne, zawiązane w roku 1850, zbierające się co lat pięć, rozdawało nagrody konkursowe. Oczekiwano ministra oświecenia, z tém większym upragnieniem, że Wallon jest autorem dzieła o dziewicy Orleańskiej, uwieńczonego niedawno przez Akademią francuską. Minister wymówił się jednakże zbytkiem zajęć; chciał zapewne uniknąć owacy, jaka spotkałaby niewątpliwie tak zwanego *ojca rzeczypospolitej*. Delegował w miejsce swoje profesora Egger, słynnego filologa. W liczbie pięciu laureatów za prace archeologiczne dotyczące miejscowości, otrzymała medal panna Villaret, autorka pedagogicznej rozprawy o wykładzie nauk i literatury w szkołach orleańskich.

Mowa pana Egger, pełna nowych pomysłów, zajęła w szczególny sposób uwagę naszą. Widzimy w niej silnie rozbudzony popęd do odżywienia ducha narodowego, w źródłach czysto ludowych, popęd, który

wskazaliśmy powyżej, mówiąc o rodzajowych obrazkach, z życia wiejskiego ludu. Egger oświadcza, iż z żywym pogląda zajęciem na zwaliska i napisy starych pomników, na odgrzebane kroniki i dokumenta, ale—mówi on—,są inne starożytności, jest inna archeologia, na którą uczeni, powodowani szczerym patryotyzmem, powinni zwrócić przedewszystkiemu uwagę; pomniki téj archeologii spoczywają w języku, w starych wyrazach, przechowanych jedynie w ustach ludu”.

Uczony filolog przytoczył wiele tych słów, wyrzuconych dziś z konwencyonalnej mowy salonowej, pozbawionych obywatelstwa w pigułkowej literaturze. Stary dyalekt orleański, zamyka w sobie prawdziwe skarby, zasługuje przeto na dokładne zbadanie. Tém samém narzeczem przemawiał niegdyś Paryż, zaczem pod wpływem szkolnego pedantyzmu ogładził napozór, w gruncie zaś zubożył język praojców. Egger jako rodowity Orleańczyk, poleca uczonym ziomkom, słowy dawnego poety Ronsarda „ten poczciwy język macierzysty, tak dzielnie utworzony przez lud i dla ludu” a który przez tyle wieków nie znalazł przecież historyka. W dowcipny sposób szydzi lingwista, z nawału wyrazów greckich i łacińskich, w stylu archeologów; protestuje silnie przeciwko takiemu nadużyciu. Rzucone ziarno przyniesie owoc bez wątpienia.

Francya weszła na nową drogę. Zwątlona sztuczną atmosferą, w jakiej żyje od dawna, zapragnęła skąpać się w tych krynicach, z których krzepkie wytryska życie.

Zrozumiał ten nowy kierunek poeta Manuel kiedy wyrzekł:

Lud, istny dąb, natura praw tu swych nie zmienia;
Sok żywotny do góry pędzi od korzenia.

W opactwie westminsterskiem, w miejscu gdzie spoczywają zwłoki Liwingstona, wmurowano okazałą płytę marmurową. Napis wyryty na niej, streszcza w kilku słowach życiorys tego wielkiego człowieka, którym Anglia ma prawo się poszczycić.

Oto ów napis w dosłownym przekładzie.

„Sprowadzony z po za dalekich mór, pobożnemi rękoma, tu spoczywa Dawid Liwingstone, misyonarz, podróżnik, filantrop.

Urodzony 19 marca 1813, zmarły 1 maja 1873 roku, we wsi Ulata w Chitambo.

W ciągu lat trzydziestu poświęcił on życie, z niezmordowaną usilnością, na szerzenie Ewangelii pomiędzy tubylcami, na odkrywanie sfer nieznanych, na wytępienie ohydneho handlu niewolnikami, w Afryce środkowej gdzie te ostatnie nakreślił słowa: „Wszystko cokolwiek wypowiedzieć mogę w samotności mojej jest to: Niechaj błogosławieństwo niebios spłynie na każdego człowieka, czyto Amerykanina, czy Anglika, lub Turka, który potrafi zagoić tę otwartą jeszcze ranę, toczącą społeczeństwo.“

Po jednej stronie wyryto napis z Ewangelii:

„Mam inne owce, które nie należą do tój trzody; muszę je także prowadzić a one posłuchają głosu mego.“

Na drugiejj stronie nakreślono dwuwiersz łaciński:

Tantus amor veri, nihil est quod noscere malim
Quam fluvii causas per saecula tanta latentes.

Zdaje się nakoniec, że po pięćdziesięcioletnich trudnościach i zwłoki Byrona dostąpią tegoż samego zaszczytu, i pomieszczone wreszcie zostaną w opactwie westminsterskiém. Wiadomo, że dotąd Byron leży w grobie rodziny Hucknall, przy opactwie Newsteadt, w hrabstwie Nottinghamm. Anglia ma jedyny tylko pomnik wieszca swego, dzieła Torwaldsena, zdobiący bibliotekę collegium w Cambridge.

Zawiązał się w tych czasach w Anglii komitet, w celu wzniesienia Byronowi monumentu godnego niepożytej jego chwały. Na prezydenta wybrany minister Izraeli. Grono członków składają koryfuszcy literatury angielskiej, do najczynniejszych należy uwieńczony poeta Tenyson. Doniosłość artystyczna pomnika, zależeć będzie od udziału, jaki ogół zechce wziąć w suskrypcyi. Organizatorowie spodziewają się, że Grecya posypnie hojnie złotem, na cześć wieszca, który pośpieszył tak szlachetnie bronić jej niepodległości. Liczy niemińj na Włochów, między którymi Byron przeżył długie lata wygnania.

Alboż to Anglia nie dosyć bogata, aby potrzebowała wdowiego grosza, ubogich Włoch i uboższej jeszcze Grecyi? aby nie zdobyła się sama na pomnik dla poety, którego geniusz naznaczył własnym steplem literatury obu półkuli świata, w pierwszej połowie IX wieku. Nie idzie tu wcale o złoto, ale o dobrą wolę. Byron więcj znalazł zwolenników i naśladowców po za obrębem kraju, aniżeli w własnym narodzie. Pomijamy już skandaliczne szaty młodości; czas mógł zatrzeć w części ich pamięć, ale nie zatarł tych pocisków, któremi rozszalał poeta policzkuje bezustannie swój naród, a których ślad żywy pozostał w jego pismach; nie zatarł tego gorączkowego tchnienia, które powiewa ze słów wieszca, tém niebezpieczniejsze, że przyobleczone w najcudniejszą formę. Anglicy czują gorzko urazę, wielka tóż część narodu nie weźmie udziału w podpisach.

Jakkolwiekbyż nie braknie zasobu na okazały pomnik, ale czy komitet zdoła pomieścić go w opactwie westminsterskiém? pytanie to dotąd nierozstrzygnięte.

Świat artystyczny cieszy się dwoma ważnemi odkryciami. W Rzymie wynaleziono portret Rafaela, w męzkich latach, wykonany ręką mistrza samego. Dotąd znano tylko dwa portrety, przedstawiające go w pierwszym rozkwicie młodości. Jeden wyobraża śliczną głowę, znaną powszechnie z rycin, drugi pomieszczony w obrazie *szkoły ateńskiej*, przedstawia tóż główkę, wychyloną z poza ramienia Peruggina. Odkryty obecnie portret, znajduje się w Watykanie, należy do Monsi-

niora Marcelo Massarenti, właściciela drogocennych zbiorów. Rafael, z twarzą obróconą wprost, w czarnym bireciku na głowie, okazuje na nim około lat trzydziści wieku. Portret malowany na drzewie, ma wysokości 64 centymetry, szerokości 47, był jak widać kilkakrotnie restaurowany. Na lewo monogram R. U. Malarze włoscy dzielą się jeszcze w zdaniach, co do autentyczności tego portretu. Sławny archeolog Visconti, równie jak prezes Akademii św. Łukasza, utrzymują że jest dziełem samego Rafaela. Na poparcie tego, Francuzi przytaczają nowy dowód. Passavent w monografii Rafaela, cytuje list jego własnoręczny do malarza Francesco Francia, pisany we wrześniu 1508 roku. Rafael dziękuje dawnemu mistrzowi swemu, za przysłany mu portret, przeprasza zarazem, że nie ukończył dotąd własnego wizerunku, rozpoczętego już od dawna, gdyż zarzucony jest pracą, a nie chciałby zdać na uczniów, wykończenia akcesoryi; pragnie aby całość wyszła z pod jego pędzla.

Drugim ważnym odkryciem jest posąg św. Jana Chrzciciela, znalezionej kilka miesięcy temu, w pałacu Rosselmini Gualandi w Pizie. Zrazu dzielono się też w zdaniach. Jedni przypisywali go Michałowi Aniołowi, inni Donatellemu, lub rzeźbiarzowi Motteo Civitali. Komisya złożona z artystów, amatorów, i krytyków biegłych w swoim zawodzie, znała dziś stanowczo ten posąg jako dzieło Michała Anioła. Święty Jan Chrzciciel wyobrażony dzieckiem. Wielki artysta wykonał to dzieło w pierwszej młodości.

Stoletnia rocznica.

W dniu 29 kwietnia r. b. przypadała setna rocznica urodzin księdza Jakóba Falkowskiego, któremu byt swój zawdzięcza Instytut Głuchoniemych w Warszawie. Drugiego przeto maja, jako w dniu niedzielnym, odbyła się uroczystość temu wspomnieniu poświęcona, w kółku jakby rodzinném, bo brali w niej udział tylko miejscowi profesorowie, uczniowie, przedstawiciele prassy warszawskiej i kilku osób z grona obywateli zaproszonych.

Obchód rozpoczął w głównej sali Instytutu o dziesiątej rano ks. *Teofil Jagodziński* vice-dyrektor instytutu, improwizowaną przemową, której wystąpieniu ustnemu towarzyszyła mowa migowa, zrozumiana dobrze przez zgromadzoną liczną drużynę uczniów i uczenic.

W wyrazach serdecznych duchowi chwili odpowiednich, szanowny mówca wskazał ową promienną *postać* miłości i poświęcenia się, która sprawiła, że *głusi słyszą, i niemi mówią*.

Po ukończoném nabożeństwie dyrektor *Jan Papłowski* skreślił dzieje tego instytutu, które zarazem były dziejami żywota tego, którego pamięć właśnie święcono. Usłyszeliśmy z własnoręcznego dzienni-

ka ks. Falkowskiego, obszerne ustępy, które w całym blasku prawdy, z naiwną prostotą pokazały zebranym wydatną postać tego dobroczyńcy społeczności naszej, jego poświęcenie, walkę z przeciwnościami, jakie przełamywał gorącą miłością bliźniego.

W zakończeniu dziejów instytutu i życiorysu ks. Falkowskiego, usłyszeliśmy te słowa:

„Duchu czystości i prawdy! cześć Ci w dniu dzisiejszym wdzięczna potomność oddaje. Niech gwiazda twoja, wszystkim następcom twoim przyświeca. Oby żaden z nich, z dziedzictwa twego nic nie uрониł, a każdy na łaskę Bożą, równie jak Ty, i dla siebie i dla tego zakładu, zawsze zasłużył się starał.”

Z głębi serca zacny dyrektor to mówił, bo mu głos zadrzał i załzawiły się oczy. Sam należycie oceniał wielkie zasługi zgasłego męża, potrzebę niezłomnego poświęcenia, idąc tak dobrze jego śladami, ażeby z pozostawionego dziedzictwa świątobliwego kapłana, *nic nie-uronić*.

Był to obchód rzewny i do głębi serca poruszający; widzieliśmy w oczach wszystkich łzy szczere, a rześiste i bolesne spływały po obliczach matek i ojców, którzy tu na wychowaniu mają dźwiatwę swoją. Byłyto zarazem łzy wdzięczności, dla ich opiekunów i nauczycieli, co upośledzone te sieroty podnoszą duchowo, nauką rozwijają myśl i uczucie, znośniejszą czynią smutną pielgrzymkę życia i na nią umieją podawać czarę słodyczy, lub kwiatem uścielać drogę. Bo czyż to nie słodycz ducha, nie kwiat barwisty i wonny, gdy głuchoniemy może mówić, rozumieć i pojmuwać najpiękniejsze utwory literatury; gdy ślepotą dotknięty na wypukłych drukach potrafi czytać i napawać się melodią muzyczną, a razem wszyscy pojmują wielkie dzieła Stwórcy i uczą się miłości bliźniego i obowiązków obywatelskich, jakie ich w starszych latach oczekują.

Z kolei potem udano się do ogrodu, w którym otoczony różnobarwnymi flagami, stał pomnik ks. Falkowskiego, oczekujący poświęcenia. Popiersie męża wiekopomnej pamięci, z białego marmuru wykonali dwaj głuchoniemi wychowawcy instytutu, panowie *Skwara* i *Wasiłewski*. Popiersie to zyskało instytutowi naszemu złoty medal od akademii sztuk pięknych w Petersburgu, gdzie było wystawione przed kilku laty. Stoi na wysokości podstawie z szarego marmuru (także wykonanej przez uczniów tegoż instytutu) otoczonej żelaznemi kratami.

Na frontowej ścianie podstawy, mieści się następujący napis:

„Księdzu *Jakobowi Falkowskiemu założycielowi Instytutu głuchoniemych. Ur. 29 kwietnia 1775 r. Zmarł dnia 2 września 1848 roku. Wdzięczni głuchoniemi, 1875 r.*”

Po lewej stronie pomnika stanęli ociemniali płci obojęd, składający orkiestrę i chóry, którzy wykonali małą kantatę, ułożoną przez ich nauczyciela i dyrektora, dotkniętego także ślepotą, *Romualda Skorupskiego*.

Zanim melodyjne tony muzyki i chóru się odezwały, nauczyciel instytutu, magister nauk historycznych i filologicznych b. szkoły głó-

wnej Warszawskiej, p. *Władysław Nowicki* raz jeszcze wymownie przemówił o zasługach męża, którego oblicze, pomnik teraz poświęcony przypominał.

Młody magister téj szkoły, która w krótkim przeciągu swego istnienia dała piękny zastęp zdolnych pracowników, oddawszy życie swoje na usługi upośledzonych współbraci, gorącym słowem wypowiedział ofiarę i poświęcenie tych, którzy zajmują się wychowaniem i oświatą głuchoniemych jak i ociemniałych.

„Cześć tym, wyrzekł, którzy najniżej zepchniętych podnoszą i naprzód prowadzą! Praca w miłości głębokiej podjęta, do stargania sił nieustająca, praca ciężka, kamienna, praca pod gniotącym brzemieniem obowiązków społecznych dokonana, zasługą jest i prawo sobie do wdzięczności i do sławy zdobywa. Może kiedyś, ci tylko będą wielkimi, którzy w czynach, z ducha miłości bliźniego zrodzonych, pierwszeństwo odniosą.” Jeżeli w głównej sali Instytutu i przy nabożeństwie odprawianém, każdy z rzewnym uczuciem spoglądał na blisko dwustu uczniów głuchoniemych i ociemniałych; przy poświęceniu tego pomnika, który otaczało całe grono tych wychowawców, niemniej był wzruszający obraz, patrząc na stojący szereg młodzieży płci obojęd dotkniętej ślepotą, co w ustroju poważnym, wśród tak wielkiej dla niej uroczystości, oczekiwała z gorącą niecierpliwością hasła do zaczęcia *kantaty*, ażeby słowem i melodyją złożyć hołd pamięci swemu dobroczyńcy.

W zebraném gronie zaproszonych, oprócz najsędziwszego co wzniesiony pomnik poświęcił, a znanego także chlubnie w literaturze pisarza, znajdowało się kilku, którzy znali bliżej księdza Falkowskiego i pospieszyli cześć mu należną złożyć. Wszyscy zgodnie przypominali sobie skromną jego postać, słodką i łagodną wymowę i pokorę prawdziwego chrześcianina, a obok niego stanęła nam przed oczyma, druga posągowa postać Staszica. Kiedy bowiem ks. Falkowski, zniechęcony przeciwnościami, brakiem funduszków, był bliskim rozpaczliwego zwątpienia, znakomity ten mąż stanu wyrzekł doń z uniesieniem:

Kiedy w dniu 3 maja 1819 r. wezwało na posiedzenie swoje publiczne Towarzystwo Przyjaciół Nauk ks. Falkowskiego, już jako rektora Instytutu głuchoniemych, i tenże sam Staszic jako prezes pomienionego Towarzystwa doręczył mu medal złoty w nagrodę za poniesione prace i trudy; wzruszony do głębi duszy zacny kapłan, dziękując za tak chlubne odznaczenie z wdzięcznym sercem, przypomniał owe słowa Staszicowi, które głęboko wyryły się w jego sercu, a mając je w żywej pamięci, temi słowy przemowę swoją zakończył:

„Oby te wyroki prawdy, te nakazy lube duszy mójjej, urządziły wszystkie sprawy moje a wtedy tylko mdłe życie moje, stając się miłą ofiarą Bogu, ludzkości i ojczyźnie, będzie godnym za dary Towarzystwa wywdzięczeniem.“

Jakkolwiek nie był ks. Falkowski zawołanym mówcą, idąc tylko za poszeptami szlachetnego serca, cudownie nieraz oddziaływał na słuchaczy swoich.

Rok dwudziesty zaledwie liczył, gdy po odbytych nowicyacie w zgromadzeniu XX. Pijarów, odwiedził we wsi *Budlewie* rodziców swoich. Rodzinne to gniazdo jego, i pierwszy raz miał z ambony przemówić w parafialnym *Tobczewskim* kościele. Przygotowywał się do tego kazania z płaczem, bo z serca je kreslił, i dziwny też a piękny spowodowało skutek.

Ojciec młodego kaznodziei, szlachcic zagrodowy, szczupłe po ojcach zagony, odgraniczone miał miedzą od posiadłości zamożnego sąsiada. Ten, oddawna pragnął częśćkę ziemi Falkowskich, tak przyległą swemu dziedzictwu, nabyć. Szlachcic choć ubogi, nie chciał drogiej spuścizny po swych przodkach sprzedać, i ztąd naraził się na mnóstwo przykrości rozmaitych. Zajmowanie inwentarzy i odsyłanie do *Białegostoku*, odmawianie stąg i najemników, robienie umyślnie szkód na zasianém polu, wzbronienie pastwisk, wrębu do lasu i innych dogodności sąsiedzkich, powtarzały się przez lat kilka prawie codziennie. Stary Falkowski Bogu poruczał swe skargi.

Był to rok 1792. Młody ksiądz Jakób, syn jego wchodzi na ambonę. Kościół był pełny: lud wiejski i zagonowa szlachta zbiegli się gromadnie posłyszć *swojaka*; był i ów możny, rozjątrzony i zły dotąd sąsiad.

Młodziutki kapłan przemawia o miłości Boga i bliźniego, i dorażu serca i łzy poruszył. I ten pan zamożny, co tyle przykrości wyrządził jego ojcu, oczarowany wymową ks. Jakóba, schodzącego z ambony, porywa z uniesieniem na ręce, wynosi z kościoła do plebanii, gdzie był sędziwy Falkowski; wobec parafian pokrzywdzonego zagrodowca przeprasza, zaprzysięga zgodę i przyjaźń. Dotrzymał święcie przyrzeczenia swego, bo aż do zgonu pozostał szczerym przyjacielem pocziwój a ubogiej rodziny.

Jeden z obecnych przypomniał, że ks. Falkowski, w czasie ostatniej choroby Antoniego Malczeskiego, autora *Maryi*, udzielał mu religijnej pociechy. I jak osobliwy zbieg okoliczności: w dniu 2 maja r. b. gdy poświęcano ten pomnik, zaczynał się rok pięćdziesiąty, od śmierci wielkiego poety: Malczeski bowiem w dniu tym 1826 r. zakończył życie w Warszawie, i dotąd nie potrafiiono odkryć miejsca na cmentarzu Półwazkowskim, gdzie spoczęły jego prochy.

Po ukończeniu uroczystości zebrani zwiedzili niedawno założone przy Instytucie muzeum przyrodnicze i przemysłowe, w którym wydane zajmują miejsce, piękne okazy zoologiczne z daru profesora uniwersytetu warszawskiego *Karola Jurkiewicza*, między temi zbiór owadów i grzybów jadalnych, wątpliwych i jadowitych, tudzież wspaniałe okazy drzewa z lasów Ordynacji Krasińskich. Zwracała szczególnie wysoką wartością pedagogiczną historia zboża, idąca od ziarna użytego na zasiew, przez wszystkie szczeble rozwoju, aż do mąki i wypieczonego

chleba; obok tego widzimy siemię lniane i konopne, nici i płótno; kilka okazów zwierząt i ptaków wypchanych.

Niezmiernego to pożytku dla nauki głuchoniemych. Jest to początek zawiązku dopiero *muzeum*, życzyć gorąco należy ażeby ludzie dobrej woli, chociaż małemi ofiarami zasilać je chcieli. Szczególniej ziemianie małym kosztem i ofiarą wzbogacaćby mogli łatwo tak pożądane muzeum: proste wyroby sprzętów i naczyń, okazy roślin, jak wyroby z nich, modele narzędzi do gospodarstwa, i tyle produktów rolniczych jak i leśnych, wszystko to znalazłoby pomieszczenie, do czego dodajmy ubiory ludu z różnych okolic kraju.

Przypominamy, że od małych początków zaczął w Krakowie urządzić swoje *Muzeum Techniczne* D-r Baraniecki, a dziś jest zbiór tak bogaty i zasobny, że w każdej stolicy zwracałby uwagę. I w jego okazach każdy zdobywa nową naukę, cóż dopiero mówić o muzeum podobnym w Instytucie naszym, które dla głuchoniemych stałoby się prawdziwą skarbnicą wiedzy, bo najwymowniej, dotykalnie rozszerzałoby sferę ich pojęć i wiadomości tak niezbędnie potrzebną dla tych istot upośledzonych, ułatwiając niesłychanie nauczycielom ich wykłady z nauk przyrodniczych, a zarazem w gospodarstwie domowym, pracach rolniczych, rzemiosłach i przemyśle krajowym.

Przy pomienionem *muzeum* jest już i zawiązek biblioteczki, która także wyczekuje łaskawej pomocy od społeczności naszej.

K. Wł. Wójcicki.

KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Z powodu artykułu p. A. Wejnerta: *Kilka szczegółów nieznanych z życia Łukasza Górnickiego* (Bibl. Warsz., r. b. t. I, str. 420), poczuwamy się w obowiązku przesłać również kilka szczegółów i pobieżnych uwag.

Najprzód podziękować musimy zacnemu autorowi *Starożytności warszawskich* za wyszukanie i ogłoszenie kilku owych szczegółów, a następnie w obronie tegoż starosty nie przystać na niektóre mniemanie p. Wejnerta. Bardzo nas bowiem uderzyły twierdzenia: że „położenie Górnickiego (w obec Batorego) nie było do zazdrości,” że nagły przyjazd króla do Tykocina „zmieszał go i zadziwił,” że pobyt monarszy w tém mieście musiał go „zadrażnić” i że Górnicki znajdował się w „bolesnem położeniu,” bo „Batory z całą surowością wystąpił przeciw niemu” (?). A to wszystko w skutek zażalenia włościan jednéj wioski (Mazury) o jakieś „robocizny i ciężary” i przed wyprawadzeniem śledztwa i udowodnieniem słuszności skargi.

Takie postąpienie rozpoczynającego rządu króla, w obec znakomitego męża „który cały swój żywot poświęcił na usługi dla kraju” a znany i poważany był w Rzeczypospolitej, dowodziłoby, że albo to nie był Batory, Górnicki i wiek XVI, albo że co najpewniej wcale inne jakieś ciężkie uchybienia ciążyły na staroście. Tymczasem mamy nadzieję wyjaśnić całkiem inne położenie rzeczy, przy którym znaczna obrona pana Wejnerta okaże się zupełnie zbyteczną.

Najpiérw, żadna skarga sama przez się nie jest jeszcze wyrokiem potępienia, a témbardziej w kraju i wieku, gdzie skarga do monarchy, jak to niżej zobaczymy, była często używanym środkiem do pozbycia się różnych obowiązków, rozszerzenia swobód lub wyłamania z posłuszeństwa. Miewało to miejsce zwłaszcza w starostwach czyli królewskich, gdzie kmieć uważał króla (za przykładem szlachty) jako źródło przeznaczone do rozdawania ciągłych łask i wolności, a każdego starostę t. j. *dzierżawcę* (będącego z natury rzeczy egzekutorem danin i robocizn) za narzuconego szlachcica i pana, który zły czy dobry, bywał prawie zawsze przedmiotem zażaleń. Lud nie wchodził w to, z jakich źródeł starosta musi zapłacić dzierżawę królowi, ale za to ciągle mniemał, iż monarcha nie wie o większej części kmiecych ciężarów, i to było także jednym z powodów do skargi jakie znosił ¹⁾. Oto w starostwie tykocińskim widzimy, jak włościanie z wioski Sierk podają w r. 1590 skargę i prośbę do królowej, żeby nie wypłacali poboru na ręce starosty, ale poborców (Bibl. Warsz. r. 1862, t. II), co także napozór stawia Górnickiego w złém świetle. Królowa przychyliła się do życzenia kmieci, bo Górnickiemu nic na tém nie zależało. Atoli zaraz widzimy, jak Sierkowcy wypowiadają staroście i zamkowi wszelkie posłuszeństwo, tak iż ta sama znana z dobrotliwego serca pani zaleca karać zbuntowanych kmieci dwumiesięczną więzią lub wydaleniem ze wsi. Pokazało się, że Sierkowcy w gruncie nie mieli nigdy chęci spełniania jakichkolwiek obowiązków dla „dzierżawcy” ²⁾.

Nie przeczmy że zdarzały się często nadużycia możnych; ależ na całym świecie było ich wtedy bardzo wiele, podobno więcej niż u nas. Ludzie zresztą nie odpowiadają za swe czyny w stosunku do praw i pojęć późniejszych o trzy wieki, ale do współczesnych. Dodajemy do tego, że Słowianin (a szczególnie Polanin), pomimo niemieckiego wynalazku jego nazwy od niewolnika, dziwny miał zawsze wstręt

¹⁾ *Ciężar* jest wyrazem bardzo względnym, a co w daném położeniu i wieku nazywało się *ciężarem*, to gdzieindziej i kiedyindziej mogło być nierównie mniejszém od *podatku*.

²⁾ Mieszkańcy téjże samj wioski usiłowali zawłaszczyć przemocą przed kilkunastu laty łąki w sąsiednich dobrach i zanieśli skargę, że były im one niegdyś nieprawnie zabrane. Czyż to nie pozór do potępienia ówczesnego dziedzica? A jednak pokazało się, że łąki powyższe nigdy do nich nie należały a przed kilkudziesięciu laty były tylko za pomoo w wywózce drzewa dane Sierkoom na czasowy użytek.

do każdej uległości i niewoli, a pociąg do swobody szerokiej jak jego równiny, dziewiczej jak jego dawne puszcze, prostej jak słowiański obyczaj. Tradycje nie przynosiły mu kastowego niewolnictwa, a książęta i króle nie mogli nigdy ująć w ścisłą kontrolę jednostek narodu, z których każda tylko myślała we właściwym zakresie o rozszerzeniu swoich swobód. Ztądto Polska wśród innych ludów przedstawiała zawsze najliczniejszy tłum wolnych ludzi. Ale gdy szlachta rozszerzała swe prawa na sejmach, rokoszach i elekcyach, to kmięć nie mając tej drogi, działać musiał podstępnie, biernie lub czynnie prośbą, skargą lub ucieczką: potrzeba uczyła go chytrój przebiegłości.

Jak z jednej strony wybujał kwiat wolności szlacheckiej (na niewie uczuć nie kastowych ale ogólnie narodowych), tak z drugiej były to czasy ścieśniania swobód ludu nietylko kosztem wszechwładztwa szlachty, ale i w skutek ekonomicznych potrzeb wobec przemiany kraju przeważnie leśnego na folwarczny i produkcyjny. Tylko w niektórych okolicach Mazowsza i Podlasia szlachta była sama tak liczna, że bez chłopów zamieniła szumiące puszcze na falę kłosów. Wiek XVI-ty był dla ludu w ogóle wiekiem szemrania, skarg, oporu a nawet gdzieindziej wojen chłopskich.

Pokątni pisarze prośb i skarg ówczesnych, równie jak dziś, aby podzielać na wrażenie, silili się na wyrazy dosadne i efektowne. Skarga też włościan z Mazur stanowi dziwną sprzeczność z Górnickim, który jak wiemy stawał w obronie chłopów jeżewskich, leśnickich i sawińskich zasłaniając pierwszych przed napaścią niejakiego Pogorzelskiego, drugich przed zdzierstwem myta na rz. Bugu, a sam nie musiał być groźnym satrapą, gdy żona nadleśnego w starostwie, drzewa raz mu wydać nie chciała i spór z babą uwiecznił się na papierze.

Czém bywały i bywają nieraz skargi, mamy najlepszy dowód z listu Zygmunta III, znajdującego się w leżącej przed nami kronice tykocińskiego klasztoru. Król pisze między innymi do naszego starosty, iż w skutek skargi księdza Erazma, gwardyana OO. Bernardynów, zaleca aby odąd na młynach królewskich nie żądano od klasztoru miarki zboża jaką zwykle młynarze za mieliwo pobierali. Kto wie że klasztor ten wówczas żył tylko z kwesty, a był *przytulkiem, szpitalem i szkołą* dla swojej okolicy, jakże bolesny zarzut chciwości może zadać Górnickiemu, gdyby oto nie sami Bernardyni zapisali poniżej następne jego słowa: „A czo sie tycze wolnego mielczia w młyniech JKM. w tym mnie niesłusznie ten X. Gardian nieboszczik do króla JMości odniósł bo iakom starostą jest, będzie richło 32 leczie, *žadnej miarki nigdy od nich nie wzięto.*” Pokazuje się, że gwardyanowi aby uzyskać czarno na białém, przywilej królewski na mieliwo dla klasztoru, trzeba było uciec się do drogi zażalenia, które tylko o tyle mogło być słuszném, o ile do pokątnych wziętków młynarskich się odnosiło, ale za to pożądaný cel osiągnęło. Przytoczona powyżej wzmianka Górnickiego o 32 latach starościństwa, napisana w d. 28 czerwca 1602 r., dostatecznie stwierdza, że pan Łukasz dostał starostwo tykocińskie nie w r. 1565,

jak sądzą niektórzy, ale w roku 1570, jak to zapisał Przewdziecki w Bibliotece Warszawskiej.

Wnosząc z licznych i nie małych ciężarów, jakie dzierżawca tykociński ponosił, bądź z powodu zamku, bądź częstych przejazdów i nawiedzін królewskiego dworu, tém bardziej gdy drugie starostwo (wasilkowskie) tylko jeden folwark obejmowało, skłonni jesteśmy uwierzyć iż skarga włościan z Mazur na „ciężkie i ustawiczne roboty” mogła mieć więcej w sobie prawdy niż zażalenia gwardyana. Oto rzucmy okiem na szczegółową kartę tych stron, a przekonamy się że gdy wszystkie inne wsie starostwa tykocińskiego (Sierki, Siekierki, Saniki, Lijmiki i t. d.) leżały w okolicy zamku, to Mazury (nie Mazurowo) oddalone były o całe mil pięć z téj drogi. Każda więc np. powinność zamkowa lekka dla knieci blizkich, musiała być „ciężarem” dla oddalonych. Cóż dopiero gdy powiemy, że te „ciężary” były poniekąd nowością dla włościan, bo starostwa i zamku królewskiego nie było lat dawnych w Tykocinie. Górnicki mógł być o tyle winien, że nie uwzględnił należyte położenia, ale czyż położenie „dzierżawcy” także zawsze uwzględniano? Przynajmniej możnaby o tém wątpić z różnych wskazówek.

To co o wystąpieniu króla z *całą surowością*, powiada zacny autor obrony Górnickiego, na zasadzie iż skargę Batory kazał odesłać sądowi „bez wysłuchania starosty, pomimo że sam bawił cały miesiąc w Tykocinie,” można sobie wprost przeciwnie tłumaczyć. Najprzód odesłanie skargi do sądu nie oznaczało wcale surowości, ale zwykłą formalność dopełnianą nawet wtedy, gdy o blizkie króla osoby chodziło. Tu zresztą sądu jeszcze wcale nie było, a król skargę musiał przyjąć obojętnie gdy oddał sprawę „rewizorom” aby ją wtedy rozpatrzyli „gdy tam insze sprawy na Podlasiu odprawiać będą.” Król nie będąc władzą śledczą, sam nie mógł przesłuchiwać chłopów i starosty: ubliżałoby to jego majestatowi. Batory jednak chciał być sprawiedliwym, a skarga dotykała pośrednio i jego osoby, gdyż każdy starosta w obec ludu miał poniekąd charakter namiestnika królewskiego. Górnicki był egzekutorem ciężarów bardziej dla króla niż dla starosty ponoszonych. Dopuszczenie knieci mazurowskich do skargi prawie w domu starosty jest charakterystycznym faktem z położenia tego płynącym. W każdym razie skarga owa prawdopodobnie ani na chwilę nie zmarszczyła czoła królowi i nie zafrasowała Górnickiego, którego miesięczne pozostawanie przy boku królewskim w Tykocinie, mogło być dla wielu starostów powodem do zazdrości. Wszak Batory miał o półtoręj mili świetny pałac królewski w Knyszynie, sady, parki i zwierzyńce, a jednak przełożył na błotnistęj wyspie zamczysko tykocińskie. Powtórzenie w decyzji królewskiej treści skargi „na przymus do ciężkich i ustawicznych robót” było tylko prostym zachowaniem właściwej formy i nigdy za symptom królewskiej surowości poczytanem być nie może. „Opowiadanie starosty przy spisaniu pozrytków Króla Jego Miłości i Rzeczypospolitej w starostwie tykocińskim,” nie wyliczając żadnych powinności knieczych, ale tylko wyda-

tki pokrywane zwykle z summy dzierżawnej, sądzimy że nie ma żadnego związku ze skargą włościan mazurowskich.

W roku 1843 p. Władysław Trębicki sprawił pewną niespodziankę badaczom przez ogłoszenie w Bibl. Warsz. trenu, jaki strapiiony srodze Górnicki napisał (r. 1587) na grobie ukochanej a młodo zmarłej małżonki. Nieznany nikomu piérwój ten wiérsz znaleziony był przypadkowo w jakiejś staréj *siłwie*. W kilka lat później, tenże tren znalazł ksiądz Smoliński w lepszym źródle, bo w staréj kronice tykocińskiego klasztoru; napisawszy krótki życiorys starosty, ogłosił w *Pamiętniku naukowym* z r. 1848. Posiadając powyższą kronikę porównałem obadwa przedruki a znalazłszy nader małe różnice i pomyłki, przytaczam tylko stanowiący wstęp do trenu ten osobliwy bo po polsku napis grobowy, mniej szczęśliwie ogłoszony:

„Barbarze Gornickiey z Biedziede, Tykocinskiey y Wasylkowskiey Starościnnie, Białeygłowie boiaznią Bożą y wielkimi cnotami ozdobioney, Ktorą w młodych léciech od Męża, od Synów trzech, a pięciu Corek nad nadzieję Śmierć porwała; y (ey) Łukasz Gornicki S: T: Smątny mąż nie bez płaczu napisał. Żyła lat 29, Miesiący trzy, umarła Roku 1587, dnia ostatniego Lutego.”

Co do miejsca spoczynku zwłok uczonego starosty, to nie jest ono wcale zagadkowym, równie jak data jego śmierci. Pochowany został w kościele tykocińskim zmurowanym na wyspie rzeki Narwi, sąsiadującej z wyspą zamkową, w kościele tym samym o którym pisze w końcu swoich *Dziejów*, iż (r. 1572) przestał należeć do OO. Bernardynów przeniesionych do miasta. Górnicy posiadali w téj świątyni swój grób oddzielny, o którym p. Trębicki znalazł w staréj *siłwie* wzmiankę obok trenu, że znajdował się „pod ołtarzem Pana Jezusa Ukrzyżowanego.” W opisie grobów znajdującym się w naszéj kronice klasztoru czytamy: „Zatym potejże stronie (lewéj) jest grób J. m. p. Gornickiego Starosty Tykoc. którego drzwi poczynają się przed gradusem trzecim przeciw Epitaphium jegoż, gdzie leży sam z żoną y dziećmi.”

Dziś świątyni téj zaledwie ślad poznać można, a podziemne jéj groby z tłumem panów i szlachty, z prochami Górnickiego i Sebastjana Sobieskiego (pradziada króla), porastają dzikim chwastem, nie doczekawszy się nawet skromnego krzyża: *Sic transit gloria mundi!* Kronika tylko klasztorna uratowała piękny łaciński napis grobowy brzmiący w spolszczeniu: „Łukaszowi Górnickiemu, tykocińskiemu i wasilkowskiemu staroście, czterech królów Polski: Zygmunta Augusta, Henryka Walezjusza, Stefana Batorego i Zygmunta III-go sekretarzowi, wielkiemu na dworze i w Rzeczypospolitéj mężowi, mały ten pomnik, Jan i Łukasz synowie ojcu wystawili. On rozumem, geniuszem, pismami, obyczajami, większy sobie i wieczny w pamięci ludzi zostawił. Zeszedł z tego świata r. p. 1603 d. 22 wieku swego życia 76.”

W napisie powyższym kronika opuszcza nazwę miesiąca w którym śmierć nastąpiła, ale ksiądz Smoliński położył w tém miejscu li-

piec. Prawdopodobnie więc musiał go znaleźć gdzieindziej, bo trudno przypuścić aby sobie ten miesiąc wyssał z palca. Przeddziecki pisząc o Górnickim w Bibl. Warszawskiej (r. 1862, t. II, s. 100), nie znał pracy ks. Smolińskiego, a ztąd i daty śmierci starosty; kombinując jednak różne fakta, odniósł ją także do r. 1603. Wiemy zkażdą, że Zofija Górnicka wychodziła za mąż już po śmierci ojca w dniu 8 września 1603 r. Nie sprzeciwia się to tak dalece dacie śmierci podanej przez ks. Smolińskiego, widocznie bowiem zachowaną jednak była tak zwana *ciężka* sześcioletnia żałoba po rodzicu. Starosta nie dożył wesela swojej córki, którą pod względem majątkowym spotkał los szczęśliwy, bo Maksymilian Mężeński za którego wychodziła, liczył się do bogatszych ziemian uad Narwią ¹⁾.

Słyszeliśmy że ziemianie z okolicy Tykocina zamierzają w tém mieście położyć Górnickiemu kamień grobowy lub wystawić pomnik. Tykocin szczącący się już monumentem Stefana Czarnieckiego zyskałby w takim razie obok pamiątki dla bohatera wojny, odpowiednią dla zasługi w pokoju.

Zygmunt Gloger.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Rozprawy i Sprawozdania z posiedzeń wydziału filologicznego Akademii Umiejętności. Tom I, Kraków 1874.

Rzecz to bardzo pocieszająca, że coraz więcej mnoży się objawów, odbierających cudzoziemcom, a głównie Niemcom, prawo urągania się słowiańskiej opieszałości, lenistwu i brakowi wytrwania w pracy. Tak np. o Akademii Krakowskiej niepodobna powiedzieć, ażeby wśród bezczynności pędziła swój żywot. Niedługo to jeszcze bardzo żywot, a jednak dość rzucić okiem na pojawiające się nieustannie w naszych pismach sprawozdania z posiedzeń rozmaitych wydziałów i komisji akademickich, którym nigdy nie zbywa na referatach, projektach i czynnych zajęciach; dość zwrócić uwagę na znaczną ilość zamierzonych wydawnictw, a wcale już pokażną opracowanych, ażeby przyjść do tego prze-

¹⁾ Górnicki wydawszy trzy córki za szlachtę z Podlasia i sąsiedniego Mazowsza (p. Tyszkę, Grajewskiego i Mężyńskiego) posiada dziś w tamtych stronach nader licznych potomków po kądzieli.

Dla zbierających szczegóły o znakomitym mężu, notujemy iż kilka dotyczących rodziny Górnickiego, znajdują w *Herbarzu Ignacego Kapicy Mielewskiego*, pod domem *Hórnickich* str. 131.

konania że ustanowienie Akademii było koniecznym, i że, sądząc z początków, wypada tuszyć jak najlepiej o przyszłości tej instytucji.

Wydawnictwa Akademii, w liczbie 17, wymienione już były na kartach niniejszego pisma (Bibliot. Warsz. styczeń str. 177); tamże czytelnik znajdzie ocenę niektórych z pomiędzy nich i wiadomości o zamierzonych; tamże nakoniec sprawozdawca uskarża się słusznie na obojętność ogółu względem tej instytucji, zwłaszcza pod względem materialnego poparcia, wówczas gdy nieraz już sypały się i sypią datki na cele wątpliwego pożytku. Powtarzamy tu tę uwagę, gdyż na nią jak najczęściej wypada położyć nacisk dopóty, aż, co daj Boże, znikną albo przynajmniej zmniejszą się powody podobnych słusznych ubolewań.

Zajmiemy się obecnie dziełem, którego nagłówek wypisany powyżej, nierozbieranem jeszcze na kartach Biblioteki. Książka to o wiele rozmaitej treści i bardzo zajmująca. Zgodnie z tytułem, dzieli się na dwie części, z których pierwsza zawiera rozprawę, a druga sprawozdania z posiedzeń. Na czele rozpraw mieści się rzecz A. Małeckiego „O zadaniach wydziału filologicznego Akademii Umiejętności.“ Przytaczając słowa statutu Akademii, według którego przedmiot badań pomienionego wydziału powinny stanowić: „filologia i lingwistyka głównie polska i słowiańska, historia piśmiennictwa powszechnego, a w szczególności polskiego, nakoniec historia sztuki (sztuk pięknych?),“ szanowny autor rozwija szczegółowo wszystkie te działy programu, nie szczędząc uwag i praktycznych wskazówek.

Tak co się tyczy filologii słowiańskiej i polskiej, autor przedewszystkiem radzi nie zaniedbywać studyów nad językiem starosłowiańskim, który, jak powiada, „jest nierozłącznym od naszej ojczystej lingwistyki materiałem;“ na trzecim zaś dopiero planie stawia pan Małeckie lingwistykę, filologią i teorią piśmiennictwa innych języków, bądź słowiańskich, bądź dalszych, jużto starożytnych, jużto nowoczesnych. Tu pozwolimy sobie rzucić pytanie, czy autor nie zadaleko odsunął lingwistykę klasyczną i czy nie zbyt ściśle zakres filologii polsko-słowiańskiej, ograniczając ją do języków polskiego i cerkiewnego? Dzisiaj gruntowne, prawdziwie naukowe badania, takie, jakie jedynie Akademii przystają, badania choćby tylko nad jednym językiem np. polskim, nie mogą już obejść się nietylko bez znajomości główniejszych bliższego pokrewieństwa języków, ale nawet bez porównawczych studyów nad resztą języków aryjskich, a głównie nad językami: łacińskim, greckim i sanskryckim. Tymczasem o lingwistyce porównawczej właściwie nie wspomina wcale szanowny autor, której przecież sam jest słynnym lingwistą i oparł swoją gramatykę na ostatnich wynikach porównawczego językoznawstwa.

Daliej rozwija p. Małeckie tę myśl, że Akademia, jako ciało naukowe, powinna przykładać się do rozwoju piśmiennictwa, a głównie do opracowania brakujących nam jeszcze dokładnych i wyczerpujących prac w dziedzinie historyi literatury, gramatyki i słownictwa polskiego; wszelako działanie Akademii w tym kierunku ma ograniczać się jedy-

nie wspieraniem, pomocą, zachętą i przygotowaniem. Tak np. w zakresie historii literatury należy spodziewać się od Akademii poparcia w opracowaniu przez pojedynczych literatów, rozmaitych literackich biografii i monografii; podnosi także autor potrzebę dobrego wydania klasyków polskich.

O tej potrzebie mówimy ciągle i oddawna, a jak dotąd bezskutecznie. Księgarze nie kwapią się jakoś do podobnych nakładów, chociaż nie mieliby straty, bo i wydanie Turowskiego, jak wspomina p. Matecki, na straty przedsięwzięcia nie naraziło, a my dodamy, że rozsprzedawane obecnie w Warszawie resztki tego wydawnictwa (prawda że po cenach niższych) cieszą się znacznym odbytem i są już blizkie wyczerpania, pomimo że niezupełnie mogą zadowolnić krytyka. Nawet liche wydania Bobrowicza i jeszcze lichsze Breslauera, znajdowały lub znajdują pokup, a dawniejsze wydania niektórych klasyków przez Mostowskiego są już rzadkością bibliograficzną.

Żąda także pan Matecki od akademii starań ku opracowaniu historii pojedynczych nauk, wydawania źródeł, troskliwości w popieraniu nauki bibliografii i t. d.

W dziedzinie języka polskiego p. Matecki nie sądzi ażeby akademii była obowiązana przystąpić do ułożenia nowego słownika języka polskiego; pragnie on tylko ażeby uzupełniono Słownik Lindego i to pod dwoma względami, a mianowicie: ażeby zebrano pominięte przez Lindego prowincjonalizmy i zbogacono jego pracę ostatnimi wynikami lingwistyki, głównie zaś wykazem źródłostów.

Istotnie, skoro już mamy wziąć sobie za zasadę znane godło: „oszczędnością i pracą ludy się bogacą,” to powinniśmy pamiętać ciągle o oszczędności wśród pracy; zanim bowiem ktoś (a zwłaszcza człowiek bardzo miernej zamożności, jak nasze społeczeństwo) sprawi sobie nową suknię, próbuje najprzód naprawić starą, zwłaszcza jeśli nie jest ona jeszcze całkiem nieprzydatną i jeśli długo była dla właściciela dogodną. Tak ma się rzecz i ze Słownikiem Lindego, który, bądź co bądź, dotychczas jest u nas najlepszym, jeśli nie jedynym, gdyż w późniejszych próbach tego rodzaju (Słownik Wileński) więcej było dobrej chęci niż skutku. Zbogacony prowincjonalizmami i wykazem źródłostów, a także i tym nieznacznym przyrostem materiału językowego (oczywiście książkowego), którym zbogaciła się nasza mowa w ciągu ostatniego półwieku, Słownik Lindego nabędzie niepożytej wartości. Kwestya prowincjonalizmów istotnie jest niezmiernie ważną: język książkowy powinien sam zasilać się tak zwanymi prowincjonalizmami, dawać prawo obywatelstwa wyrazom, używanym od wieków na obszerniej przestrzeni kraju, jeżeli sam nie ma zostać prowincjonalną gwarą. Bardzo dużo możnaby o tym powiedzieć, jaką drogą język książkowy, nie zasilany prowincjonalizmami i odrzucający je wyniosłość, z pewną wyjątkowością trzymając się utartych szlaków książkowej mowy, może (jak o tym świadczy np. historia języka łańciskiego) skostnieć i skamienieć, i nawet biorąc stopniowo coraz to większy rozbrat

z mową krajową w różnych jej odcieniach, w końcu zostać martwym. Dzisiaj już czasem recenzenci, zbyt jednostronnie trzymając się wzorów wyłącznie książkowego języka (i to nowszego), który właściwie jest tylko dyalektem krakowskim, małopolskim, tak go nazywa i p. Małecki, co wszelako należy przyjąć o tyle, o ile może być mowy o polskich dyalektach; otóż ci recenzenci wytykają czasem autorom, jako błędy, wyrażenia niewątpliwie polskie i prawidłowe. Tak niedawno w jednym z pism warszawskich debiutujący recenzent dopatrzył się u Kraszewskiego takich wrzekomo prowincjonalizmów jak *zmilezeć*, *przymknąć* (drzwi), *kamuszek!* Co do źródłostów, którymi, w myśl p. Małeckiego, należy z bogacić Słownik Lindego, i tu także pozwoilimy sobie dodać że wypadałoby, ze względu na obecny stan lingwistyki na Zachodzie, nie przestać na źródłostwach słowiańskich, lecz sięgnąć aż do pierwiastków sanskryckich, dziś w każdym poważnym dziele lingwistycznym niezbędnych.

W przedmiocie pisowni p. Małecki nie uważa za stosowne, ażeby akademія zajęła się jej reformą, gdyż, według zdania szanownego autora, radykalne zmiany byłyby tu, ze względu na różne okoliczności, raczej szkodliwemi niż użytecznemi. Prawda to niewątpliwa, ale z drugiej strony, zdaje się nam że znaczną dozę tej szkody, której się autor obawia, sprawili już ci, którzy na własną rękę, samopas przerabiają istotnie wymagającą w niektórych punktach ulepszenia ortografią i znajdują naśadowców. Nie idzie więc tu o reformę radykalną, lecz o załatwienie kwestyi już poruszonych, to jest tych właśnie, w których obecnie panuje niezgodność w naszym piśmiennictwie; potrzebaby coś ustalić i stwierdzić jaką sankcją poważną, dla wszystkich obowiązującą, a taką sankcją, skoro rozwlekłe od lat kilku ciągnące się rozprawy Towarzystwa Poznańskiego żadnego nie wydały skutku, miałyby dać jedynie powagą swoją Akademia Krakowska. Niednokrotnie już wołano u nas i upominano się o to od czasu jak tylko akademія powstała, a chociaż mogłby kto zarzucić, że nie zachodzi pod tym względem żadna nagląca potrzeba, wszelako należałoby coś przedsięwziąć dla pogodzenia np. rozmaitych sposobów pisania wyrazów zakończonych na *ia* i t. p. kwestyi. Na początek dość byłoby żeby akademія, przestrzegając w swych pracach i wydawnictwach poprawności i czystości języka, trzymała się zarazem pewnej konsekwentnie przeprowadzonej i jednostajnej pisowni, która przecież należy do formy języka, a więc także do starań o poprawność i ustalenie. że tak powiemy, ma prawo, tak ażeby polszczyzna akademię, jako polszczyzna iście akademicka, mogła zostać wzorem dla piszących, tak pod względem istoty, jak i formy. Za podstawę oczywiście byłyby przyjęte wnioski Deputacyi byłego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, stanowiące dziś jedyną powagę. Tymczasem, jak dotąd, ustalenia pisowni nawet w książce, o której mowimy, nie widać: Akademia, jak się zdaje, nie trzyma się owych wniosków Deputacyi, ale nie wszędzie. Tak np. w będącej w mowie rozprawce p. Małeckiego, który, jak wiadomo, zawsze trzyma się pisowni Deputacyi, znajdujemy, w większości wypadków późniejszy system pisowni: *stologija*, *akademija*, *istytucyja*, wszelako znajdujemy tu i da-

wniejszą ortografią: *materyalny* (str. 4), *biblioteka* (str. 6), *specyalny* (str. 17 i 19), a nawet jeden i ten sam wyraz na stronie 4 wydrukowany *inicjatywa*, a na stronie 20 *inicyjatywa*. W artykule p. Łuszczkiewicza mamy *illustracyje*, *studyjów*, *tradycjami* i t. d. ale i tu znajdujemy np. *miniatury* (str. 23) i *parafialny* (str. 31), a na stronie 68 czytamy raz *chrześcijaństwo*, to znowu *chrześcijaństwo* i *chrześcijanie*. Pan Małecki pisze *wypowieś* (str. 5) i *popièra* (str. 11), w innych zaś artykułach nie widzimy pochylonego *e* w tych lub podobnych wyrazach (np. *popierał* u p. Tarnowskiego na str. 139). U pana Łuszczkiewicza czytamy wszędzie *césarz*, *césarzowa* (np. na str. 66 i 67), czego nie znajdujemy gdzieindziej (np. u p. Tarnowskiego str. 150 i 174). Pan Łuszczkiewicz pisze *óltarz* (str. 35) a p. Szujski *stronnica* (str. 40) i *pietnasty* (str. 47), czego znowu u innych nie znajdujemy. U pana Małeckiego czytamy *przez akademiją* (str. 17) a u p. Łuszczkiewicza, *pewną analogiję* (str. 35), podobnież u p. Tarnowskiego *pozycyje*, *karyjerę* (str. 140). Na stronie 114 znowu czytamy *biblijoteka* (str. 114) a jednak *miniaturowych* (str. 115 i t. d.).

Wina tych i niektórych innych różnic i pomyłek spada może w części na korektę, która i w ogólności pozostawia nieco do życzenia. Szkoda że choć spisu „Omyłek druku“ nie ułożono staranniej, gdyż nie znajdujemy tam ani jednego z przytoczonych powyżej przykładów. Może to dla kogo drobnostki, ale mybyśmy radzi ażeby wszystko, co od akademii pochodzi, było pod każdym względem wzorowe.

Wracając raz jeszcze do rozprawy p. Małeckiego, z reszty jego poglądów na zadanie akademii w sferze języka polskiego i gramatyki, przytoczymy jeszcze tylko to jedno, że akademii winna przychodzić w pomoc wydrukowaniu dzieł takich, które dla swojej treści niełatwo mogłyby znaleźć nakładcę. Rozumie się że potrzebną tu będzie wszelka możliwa surowość w ocenie, zawsze jednak akademii może okazać wiele usług piśmiennictwu i nauce, jeżeli pod tym względem zdoła rozwinąć swoją działalność. Chociaż bowiem w specjalistów tak bardzo nie opływamy, zawsze jednak mnóstwo dzieł poważnych spoczywa w rękopismach bez nadziei ujrzenia światła, a brak tej nadziei powstrzymuje nawet wielu pracowników od studyów poważnych. Wszelako, dla zadość uczynienia tym potrzebom, niezbędne są fundusze, których akademii od poparcia ogółu ma prawo oczekiwać.

Wszystkie mniej więcej uwagi i poglądy p. Małeckiego akademii przyjęła i zgodnie z nimi uchwaliła szczegółowy program wydziału filologicznego na posiedzeniu d. 13 czerwca 1873 r. (wydrukowany przy końcu rozpatrywanéj książki na str. XV—XVI), którego, skoro był raz już umieszczony w swoim czasie w Bibliotece Warszawskiej i innych pismach, przytaczać tu nie będziemy.

O historii sztuki, jako przedmiocie badań wydziału, p. Małecki nic nie wspominał. Przedmiot ten został szczegółowo rozwinięty na posiedzeniach „komisyi dla historii sztuki“ z dnia 20 czerwca i 5 grudnia 1873 r., z których sprawozdania mieszczą się w rozbieranéj przez nas

książce (na str. IV—VII i XXIX—XXXI); donich więc odsyłamy czytelników, ciekawych tego specjalnego przedmiotu.

Historia sztuki w Polsce, a mianowicie malarstwa, dostarczyła treści do dwóch umieszczonych w rozpatrywanej przez nas książce rozpraw p. Łuszczkiewicza; z tych w pierwszej mówi autor o malarstwie cechowym krakowskiem XV i XVI wieku, w drugiej o malarzu, uważanym dotychczas za Jana Suesa, którego pan Ł. nazywa raczej Hanssem Knodererem.

Pierwsza z pomienionych rozpraw jest wielce ciekawa i pouczająca, pełna rzeczy i poglądów nowych, zdolnych zainteresować zarówno specjalistów jak i profanów. Mówi tu autor najprzód o malarstwie bizantyńskiem, które panowało w Polsce wszechwładnie do XII wieku, a potem nieco zmodyfikowane do XIV; nastąpiło później panowanie szkoły niemieckiej, a w XVI włoskiej. Pan Ł. zwraca uwagę na przechowaną w ziemiach dawniej Polski ogromną ilość starych malowideł na drzewie, szkoły niemieckiej, z XIV, XV i XVI wieku; zdaniem autora po naszych starych kościołach, nietylko miejskich, ale nawet wiejskich, przechowało się więcej może takich obrazów niż w niektórych krajach zachodnich, gdzie wyniszczyła je reformacja; w Polsce protestanci poczynali sobie łagodniej i nie było takiego powszechnego i fanatycznego obrazoburstwa jak gdzieindziej. Tej wielkiej ilości dochowanych zabytków średniowiecznego malarstwa nie było u nas komu badać; teraz dopiero brakowi temu zaradzi wydział historii sztuki przy Akademii.

Rozpatrując się w obrazach średniowiecznych krakowskich, pan Łuszczkiewicz znajduje że bardzo długo, niemal aż do XVI wieku, widne są w nich cechy bizantyńsko-ruskiej szkoły a mianowicie: oznaczenie wielkości moralnej znacniejszym rozmiarem postaci, ustawianie postaci w jeden rząd sztywny, ruchu pozbawiony i tło złote lub złote ozdoby. Pod innemi atoli względami owe obrazy okazują już znaczny postęp w stosunku do sztuki bizantyńskiej, a chociaż wiele w nich także podobieństwa do malowideł panującej podówczas w Europie szkoły niemieckiej, wszelako pan Łuszczkiewicz widzi w nich niektóre cechy szczególne, czysto krajowe, polskie i krakowskie, co upoważnia go do uznania w Krakowie, w ciągu XV wieku, osobnej szkoły czyli cechu krakowskich malarzy, którzy początkowo byli artystami i to niepoślednimi, a dopiero w XVI wieku spadli do rzędu zwykłych malarzy pokojowych.

Obrazów roboty owego cechu pan Łuszczkiewicz w samym Krakowie znalazł 70, wyłącznie treści religijnej, gdyż inną wówczas nie używano, a w obrębie kilkunastomilowym od Krakowa przeszło 80. Najstarszym jest obraz na drzewie z 1409 r. w kościele parafialnym Przeworskim. Autor opisuje niektóre z tych malowideł, a dołączona rycina litograficzna przedstawia jedno z nich: Pojmanie Chrystusa, obraz ze stacyi na krążgankach u św. Katarzyny. W obrazie tym autor, pomimo błędów rysunku i perspektywy, widzi pewny wdzięk postaci, obce

bizantyńskiemu stylowi poczucie przyrody, a stroje żydów i rycerzy są czysto krajowe, polskie i z tego względu dla badacza bardzo ciekawe.

Druga rozprawa pana Łuszczkiewicza o malarzu niektórych obrazów w kościołach krakowskich, ma cechę bardziej specjalną. Opisuje tu autor szczegółowo obrazy z życia św. Jana w kościele św. Floryana, a także malowidła na drzewie z życia św. Katarzyny, znajdujące się w skarbczyku obok zakrystyi kościoła Panny Maryi, z których dwa są przedstawione na dołączonych rycinach. Pan Łuszczkiewicz przypisuje wysoką wartość tym obrazom i za ich twórcę uważa Hansa Knodera z Norymbergi. Przeciwno temu zdaniu wystąpił pan Łepkowski (sprawozdanie z dyskusji na str. 125—132), przypisując po dawnemu, obrazy te Janowi Sues, a że pomimo wielkiego prawdopodobieństwa dowodów, przez pana Łepkowskiego użytych, pan Łuszczkiewicz pozostał przy swoim, kwestya więc pozostała sporną i nierozstrzygniętą.

Pan Szujski podaje wiadomość o trzech zabytkach dawniej polszczyzny z XIV i XV wieku, wziętych z rękopismów.

Pierwszym jest tłumaczenie pieśni kościelnej *Veni Sancte Spiritus* (dwa razy błędnie wydrukowane *sancti*; oprócz tego w 14 wierszu zamiast *reple* powinno być *reple*). Znajduje się tu cały tekst łaciński pieśni, a obok tłumaczenie polskie. Z trzeciej zwrotki hymnu nieznanym tłumacz przełożył tylko 3 wiersze (zwrotki są sześciowierszowe), podobnie z czwartą, reszta jest kompletna. Owe trzy wiersze przekładu 4-jej zwrotki nieodpowiednio zostały umieszczone obok łacińskiego tekstu, gdyż *sgręź coë z'imne* (pisownia dzisiejsza) może to być jedynie tłumaczeniem wiersza *foce quod est languidum*, właściwie mdłe, gnuśne, osłabione); *pochyl coë pyszne* odpowiada łacińskiemu *fleete quod est rigidum* (urywane, twarde, sztywne); oba więc wiersze należało umieścić naprzeciw odpowiednich łacińskich. Wiersz polski *twierdzi* (utwierdź) *coë włudnie* odpowiedniego sobie w tekście łacińskim nie ma. Ostatnia zwrotka jest wolnym przekładem. Pod względem języka (oprócz pisowni) mało tu szczególnych właściwości: znajdujemy tu 5 przypadków *duze* (duch), *oteze* (ojcze), wyraz *lumen* przetłumaczył *swieca* (światło i t. d.).

Drugim zabytkiem jest wokabularz łaciński Piotra Świątkowica z Uścia, w którym niewszystkie wprawdzie, ale niektóre wyrazy są wytłumaczone *in linguam vulgarem*, to jest po polsku. Tłumaczenie to, które dla jego nieczytelności, zaledwie z mozolem odczytał sprawozdawca, bardzo jest ciekawe i jak z jednej strony przed tawia dużo wyrazów polskich, dziś wyszłych z użycia, których zrozumienie ułatwiają odpowiednie wyrazy łacińskie, tak z drugiej znowu strony częstokroć jest błędne.

Oto np. kilka wyrazów dziś nieużywanych: wyprotek (*abortivus*), polizacz (*abligurio*—lizus, żarłok, marnotrawca), laskać (lizać, łakomić się łasować), kłocię (? *culmen*—szczyt), leściwość (chytrość), swojec albo szerpanka (*flameolum*, *poplum*—okrycie, płaszcz), tartka (kawałek, *frustillum* w spisie błędnie *frutillum*), sopuch (od sapać? *fur-*

nus=piec) drabacz (*equus molliter incedens* może zamiast *eques*?), szegadło (zegadło, w średniowiecznej łacinie *ignimen*, żarzewie?), ko-bylenie (*lignum extensum ad defensionem*=ogrodzenie, barykada), siara (*novum lac*=świeże mleko), kalisko (*volutabrum*=kałuża) i t. d.

Próbowaliśmy wybrać kilka najpewniejszych przykładów, gdyż w ogóle rozpatrzywszy się w całym spisie, widzimy że niewiele można polegać na przytoczonych wyrazach, z powodu mnóstwa pomyłek w pisowni i błędów; tłumacz z XV wieku wiele wyrazów przetłumaczył błędnie, inne w klasycznej łacinie nieznanne, a niektóre w tej postaci, jak są przytoczone, bodaj że i średniowiecznej obce. Pan Szujski dał tu sam materiał *in crudo*, skromnie nie przyznając się do znawstwa, a nikt inny nie opracował i lingwistycznie nie objaśnił ani uwagami tego materiału nie opatrzył.

Nakoniec trzeci zabytek polszczyzny XV wieku stanowi wcale udatna pieśń szlachcica, zawierająca narzekania na opieszałość i niechęć chłopów. Ciekawy ten zabytek, jak mówi pan Szujski, należy do epoki „gdy lud wiejski z niechęcią, ba z buntowniczym oporem przyjmował ograniczenia wolnego siedlenia się i przesiedlenia, uregulowaną robocizną i zakaz posyłania do szkół i rzemiosł dzieci swoich” a więc pochodzi z czasu, gdy właściwe poddaństwo ustalonym zostało. Przytaczamy ten wiersz w całości, według dzisiejszej pisowni.

Chytrze bydlą z pany kmiecie,
 Wiele się w ich sercu plecie.
 Gdy dzień panu robić mają,
 Częstokroć odpoczywają,
 A robią silnie obłudnie,
 Ledwo wynijdą pod południe,
 A na drodze postawają,
 Rzekomo pługi oprawiają;
 Żelazną wić doma złoży,
 A drzewianą na pług włoży,
 Wprzegają chory dobytek,
 Chcąc ziechmanić dzień ten wszystkim,
 Bo umyślnie na to godzi,
 Iż się panu że urodzi.

Gdy pan przyjdzie, dobrze orze,
 Gdy odejdzie—jako gorzej.
 Stoi na roli, w temiesz klekce,
 Rzekomoć mu pług orać nie chce,
 Namyśłem potraci kliny,
 Bieży do chrosta po iny, (inne)
 Siadł do chrosta, za krzēm leży,
 Nie rychło zasie wybieży.
 Mniemasz każdy człowiek prawie
 By był prostak na postawie,
 Boć się zda jako prawy wołek,
 Aleć jest chytry pacholek.

Godne uwagi są czasowniki *bydlić* i *zlechmanić*.

Pan Żepkowski podaje wiadomość o modlitewniku polskim Zygmunta I przechowanym w bibliotece uniwersytetu monachijskiego. Wiadomość ta już przed kilkoma miesiącami była w niniejszem piśmie powtórzoną.

Pan Kętrzyński podał wyjątki z odszukanych przez siebie w bibliotece gimnazjum toruńskiego kazań polskich z podpisem nieznanego dotychczas d-ra Paterka z wieku XV. Dla teologów urywki te ciekawe, gdyż mowa tam o Niepokalaném Poczęciu. Cały rękopism, jak przypuszcza pan Kętrzyński, pisany przed 1488 rokiem i był własnością Jana Amora Tarnowskiego herbu Leliwa i żony jego Sygismundy z Gorajskich herbu Korczak.

Następuje obszerna i bardzo ważna monografia pana Tarnowskiego o Krysstofie Warszewickim i jego dziełach. Pisarz ten rzadko używał języka polskiego, stąd podobnie jak większość autorów polskotacińskich XVI wieku, mało jest znanym ogółowi.

Na wstępie pan Tarnowski charakteryzuje Warszewickiego, jako osobliwszy wyjątek w szeregu pisarzy, którzy już w XVI wieku „wołali o poprawę rzeczypospolitėj.” Wszyscy inni statysci, narzekając na nadużycie wolności, pragnęli uporządkowania elekcyi i uregulowania swobód szlacheckich; żaden wszelako nie śmiał żądać całkowitego zniesienia tych swobód: Warszewicki zaś, według słów autora, „nie był republikaninem na sposób polski, ale na hiszpański sposób monarchistą, którego ulubionym bohaterem w historyi i ideałem był Filip II, którego rozum i serce lgnęły do władzy absolutnej... była to głowa niepolaska wcale, trzeźwa, chłodna, bez jednej iskiarki fantazyi, unieść się niezdolna i serce niepolskie także: suche, wyrachowane, kochające ojczyznę zapewne, ale od czułości, od tój zapalności polskiej zupełnie wolne. „Był on zapalonym stronnikiem domu Rakuskiego: intrygował na korzyść Maksymiliana, brał od niego pieniądze, potajemnie pisał przeciwko Batoremu, szkalował go i radził zrzucić z tronu, co nie przeszkadzało mu w oczy zasługiwać się królowi i pochlebiać jak niedawno pochlebiał Henrykowi, chociaż zawsze forytował do tronu arcyksiążąt. Ta dwulicowość, nie zaś przekonania polityczne, rzuca płamę na pamięć Warszewickiego. Pan Tarnowski przyznaje mu rozum niepospolity, zmysł krytyczny i wiele zdrowych poglądów; gani zaś styl jego wymuszony, sztuczny, bez oryginalności, niewolniczo naśladowający starożytnych żywcem z klasycznych dzieł wziętymi frazesami. Zdaniem naszym, to możnaby mu najłatwiej przebaczyć, gdyż w owych czasach frazeologia łacińska, z pretensją do wytworności klasycznej, nie mogła być niczém innym, jeno zlepkim wyrażen wyłowionych z dzieł Cycerona, Liwiusza i Horacego, a o oryginalność nie każdemu łatwo.

Przedewszystkiém pan Tarnowski podaje obszerny rozbiór dyalogu Warszewickiego. O najlepszym stanie wolności (*De optimo statu libertatis*). Autor wprowadza tu rozprawiających o stanie rzeczypospolitej: kanclerza Ocieskiego, który przedstawia opinie i poglądy samego

Warszewickiego, dalej Orzechowskiego, podtrzymującego poglądy szlacheckie i biskupa Padniewskiego, niewykazującego żadnej wybitnej barwy.

Niektóre poglądy z obszernego streszczenia pana Tarnowskiego zasługują na przytoczenie. Tak Ocieski (Warszewicki) ujmując się za plebejuszami: „którzy w dobrze urządzonej Rzeczypospolitej w wielkiem mieliby być poważaniu, bo przez nich i przez rolnictwo i miasta stoją i kwitną Rzeczypospolite, a kiedy plebejusz nie jeden doszedł do szczytu godności tego świata i mógł zostać namiestnikiem Chrystusa, następcą Piotra, to i w świeckiej Rzeczypospolitej musiałyby słusznie nieraz wyjść wysoko.”

Dalej tenże powiada: „nam jednego przedewszystkiémby potrzeba: mało praw stanowić, a mieć lepsze obyczaje, raz zaś postanowione prawa stale i słusznie i porówno wykonywać;” a nieco niżej: „do tegośmy doszli, że w saméj Polsce nie możemy znaleźć Polski, pola cieszą się obfitym urodzajem, a ziarna dla wielkiej drożyzny u nas dostać niemożna, ceny zboża i ceny innych towarów przy największym urodzaju nie obniżają się wcale. A dlaczego? Przyczyna jawna: każdy, co mu się zachce, na to się i odważy, na co się odważy to może, co może to wykona... Wszyscy wydają więcej niż mają dochodu, nikt nie myśli o przyszłości. To jedno. Drugie, wychowanie naszej młodzieży. Samuel Maciejowski zwykł był mawiać, że u naszej szlachty im synek od kółbki krnąbrniejszym się pokazuje, tém rodzicom droższy, bo rozum przedczesny daleko nam się bardziej zwykł podobać niż rozum dojrzały.” Czy nie słyszymy tu jakby dzisiejszego moralistę?

O elekcyi królów, Warszewicki wyraża się z przekąsem i nieprzychylnie. Przytacza Tacyta, który powiedział że bezpieczniej jest królów znajdować, niż ich szukać i bezpieczniej znosić ich wady, aniżeli często ich zmieniać. Warszewicki chce nie ograniczyć i uregulować elekcyę jak inni statysci spótcześni, lecz poprostu znieść ją zupełnie; powołuje się na przykład Węgrów, którzy, zdaniem jego, przez wolną elekcyę doszli wówczas do niewoli tureckiej.

Równie nieprzychylnie mówi Warszewicki o sejmach. Co to za wyborny i charakterystyczny, choć może nieco przesadny, zwłaszcza jak na owe czasy, taki np. ustęp: „największa u nich (posłów szlachty) sztuka, zasługa, odwaga, sprzeciwić się urzędowi albo urzędnikowi, wtedy myśli (każdy) że zrobił wszystko, co ojczyźnie winien. Swoją podejrzliwością robią to, że nic się w tajemnicy utrzymać nie może, bo wszystkiego się dowiedzieć muszą, a dowiedziawszy, zaraz rozgadają. A jak radzą? Co za gadulstwo niecznośne, co za rozwlekłość, co za zwada niepohamowana a szumna, co za treść błacha i pusta! Kiedy się zjadą, pierwsza rzecz narzekać, że im wygodnych mieszkań nieopatrzone. Przyjeżdżają na sejm z czeredami sług i pachółków, na paradnych koniach, ubrani od złota i kamieni i cóż z tego? Z jakim duchem, w jakich zamiarach, czego do góry nogami nie przewrócą, czego nie probują odrabiać i odwoływać? Jeżeli nam tego a tego nie zro-

bicie, my do obrad nie przystąpimy... A co nam do tego, że mówią że gonic przybiegł z wieścią o wtargnieniu Tatarów: mnie ten nieprzyjaciel, kto mnie z wolności moich chce obedrzeć i t. p.”

Orzechowski mało odpięra te zarzuty, usiłując je raczej zrzucić na senat, na magnatów.

Niezupełnie wszelako słuszném jest zdanie pana Tarnowskiego, jakoby Warszewicki był stanowczym nieprzyjacielem sejmów i wszelkiego udziału ludu w rządzie (str. 154), gdyż Ocieski w dyalogu nie żąda zniesienia sejmów, lecz owszem, podaje środki ich naprawy. Tak np. żąda ażeby posłowie na sejmikach zdawali sprawę ze swoich czynności na sejmie, ażeby sprawozdania z takich sejmików szły także do króla, ażeby przy wyborze posła zwracać uwagę na cztery rzeczy: cnotę, urodzenie, majątek i rodzaj życia i t. d.

Przytoczone są także słowa królowej Bony: „Polacy w początku każdej sprawy twardzi i stali jak żelazo, a im dalej tém mięksi, stają się płynni jak woda, albo że są podobni do piwa, które burzy się i pieni; zdaje się że rozsadzi naczynie, a za chwilę opada i nic z jego piany nie zostaje.” Szeroko także rozprawia dyalog o królu i władzy królewskiej. Nie będziemy tu szczegółowo przytaczali rozbioru pana Tarnowskiego; wymienimy tylko kilka zdań trafnych. I tak: z upodobaniem powtarza nasz autor zdanie jakiegoś starożytnego filozofa, według którego król od ludu trzymać się powinien w takiej odległości jak od ognia: nie zadaleko, boby zmarzł, nie zablisko, boby się sparzył. Rzeczą jest króla zapobiegać buntom i rewolucjom bo (mówi autor) „główne przyczyny do buntów są zawsze trzy: ucisk prostego ludu, nierówny i niesłuszny podział prerogatyw i urzędów, wielkie bogactwa jednych, a wielka nędza drugich. Węgrzy byli twardzi dla swoich poddanych, w tój samój mierze dziś są względem swoich panów pokorni, co aby się i nam Polakom nie przytrafiło, niech Bóg odwróci.”

Wszelkie trudności radzi autor królowi pokonywać wszelkiemi możliwemi środkami, „bo nikt go nigdy nie będzie pytał o to ani z tego powodu sądził, jakimi drogami do celu szedł, tylko jak prędko, jak pewnie i dobrze do niego doszedł.” Pan Tarnowski robi tę uwagę, że pisarz wrzekomo katolicki, i to nawet katolik dość gorliwy, a potrosze i fanatyk, gdyż usprawiedliwia inkwizycję, w powyższych słowach okazuje, jakby nawet w Boga nie wierzył.

Książka się zamyka nauką że trzy są filary, na których królowie powagą swoją opierać się winni: dwór obyczajny i dostojny, nauki i ludzie uczeni, wreszcie biegli i mądrzy posłowie do zagranicznych dworów.

Drugie dzieło Warszewickiego, do którego rozbioru pan Tarnowski z kolei przystępuje, jestto jedyna z owéj epoki praca o sztuce dyplomatycznej, to jest *O posłach i poselstwach* (De legato et legatione). Pan Tarnowski dość ceni tę pracę; zarzucał jój tylko że nie podaje reguł polityki zagranicznej dla Polski wydobytych z jój historyi i położenia, to jest, że nie zastanawia się szczegółowo nad polityką sąsiadów rzeczypospolitej, nad stosunkami z nimi i pożądaną tych stosunków

zmianą na lepsze, lecz daje tylko pewne przepisy zachowania się dla posłów Rzeczypospolitej na obcych dworach. Książka ta jednak mogła być pożyteczną z powodu wielu zdrowych rad i trafnych poglądów, lecz nie zwrócił na nią nikt prawie uwagi i Rzeczypospolita od początku aż do końca nie umiała stosownie pokierować swą dyplomacją i zagraniczną polityką, co jej na dobre nie wyszło.

Do koniecznych warunków dobrego posta, Warszewicki rachuje także wymaganie ażeby był katolikiem. Szeroko rozwodzi się o tém, jak powinien poseł postępować z obcymi monarchami: „królowie, powiada między innymi, mają tę naturę co ryby: jak je ku brzegowi nagle pędzić, odpływają na głębokie morze; a zostawić je w spokoju, to same zbliżają się do brzegu. Królowie jednej rzeczy nie znoszą: to żeby ich naglić, nastawać na nich, zmuszać. Już tego nie lubią, żeby im przypominać, upominać, cóż dopiero naglić. Dlatego zręczny poseł nie powinien nigdy być niecierpliwym i natarczywym” i t. d.

Ciekawe są wskazówki, jakich postów należy wybierać do rozmaitych państw. „Do Turków posyłać trzeba ludzi odważnych, tęgich i hojnych; bo Turcy lubią grozić, a są przytém chciwi, więc trzeba tam takich, którzyby im dawali dużo, a ich się nie zlekli. Do Rzymu ludzi poważnych, prawowiernych katolików, ale nie duchownych, tylko (lecz) świeckich, bo duchownemu daleko trudniej opierać się Stolicy Apostolskiej i śmiało od niej żądać. Do Hiszpanii statecznych, poważnych. a takich, którzy się od nowości politycznych lub religijnych najdalej trzymają; do Włoch układnych, grzecznych, ujmujących; do Francji bystrych, giętkich i w mowie biegłych; do Anglii okazałych, majestacyjnych, z wejrzenia pięknych, bo Anglikom to się podoba, tembar-dziej, że sami wiedzą i boleśnie to czują że im na tych przymiotach zbywa (?); do Niemiec słownych i stałych, bo Niemcy sami od wieków ze stałości słyną (?).”

Przy końcu pan Tarnowski raz jeszcze podnosi tę okoliczność, że w dziele o poselstwach Warszewicki pozostał dalekim od wszelkiego machiawelizmu, od przewrotnej kazuistyki i zasad wątpliwej moralności, widocznych w poprzedniem dziele. „Najsympatyczniejsze to z pism tego autora, powiada pan Tarnowski, bo z przyjemnością i z uszanowaniem (?) widzi się u niego to wysokie pojęcie dyplomacji, jako służby pokoju i zgody, pośredniczki porozumienia, straży międzynarodowego prawa, te subtelne i trudne, a przecież rzeczywiste rozróżnienia ostrożności i przezorności od oszukaństwa i podstępu; tę prawdziwą moralność, której może dyplomacya ówczesna nie miała więcej jak dzisiejsza, ale której człowiek uczciwy żądać od niej powinien.”

Daléj idzie krótka wzmianka o trzeciem dziele Warszewickiego z hiszpańskiego tłumaczeniem; *Friderici Ceriolae, De consilio et consiliarius*, w którym mowa o urządzaniu ministerjów. Autor żąda siedm ministerjów: skarbu, pokoju (spraw wewnętrznych), wojny, praw (sprawiedliwości), spraw zagranicznych, nagród (?) i kar (?).

Nakoniec pan Tarnowski poddaje rozbirowi mowy Warszewickiego łacińskie i polskie; z pierwszych najślawniejsze są tak zwane turcyki (*turcica*) głoszące potrzebę wojny z Turkami; z polskich, mowa po śmierci króla Stefana na zjeździe mazowieckim. Turcyki p. Tarnowski ocenia jak następuje: „są one kute na wzór mów Cycerońskich, we wszystkich znać szkolnego pedanta, który umiał na pamięć *ad Herennium*, znał wszystkie oratorskie sztuki i sposoby, wiedział w którym miejscu potrzeba wykrzyknika lub znaku zapytania, uczył się pilnie sekretów zbudowania zaokrąglonego okresu, tylko jednej rzeczy nie wiedział, to jest jak zrobić wrażenie, jak wzruszyć lub przekonać.“ Dziwi się dalej autor niezmierną ilości tych mów—jest ich czternaście—przytaczając że Katylinaryj jest tylko cztery. Atoli jest czternaście filipik Cycerona przeciwko Antoniuszowi i jak tytuł mów, tak i ich liczba są naśladowaniem z Cycerona.

Wyrazy przytoczone przez pana Tarnowskiego jako wstęp jednej z Turcyk, „małpujące czwartą Katylinaryę” (str. 190) znajdują się nie w czwartej, lecz w pierwszej mowie przeciwko Katylinie.

W mowie na śmierć Filipa II Warszewicki, zapalony wielbiciel tego króla, oczyszcza go z zarzutu okrucieństwa, a nawet broni stosu i inkwizycyi. Żałuje autor, że Warszewicki tak mało pisał po polsku, bo we własnym języku podnosi się czasem do takiej żywości stylu i wymowy, jakiej próżno szukać w jego pismach łacińskich.

Nakoniec wspomina jeszcze autor „*Parallelae*” to jest porównawcze życiorysy znakomitych mężów i paradoksa, zbiór maksym, poglądów i sentencyj. W tém ostatniem dziełku odnajdujemy główne poglądy i przekonania autora, wypowiedziane po części w dyalogu o najlepszym stanie wolności.

Kończąc swoją zajmującą pracę, pan Tarnowski ocenia Warszewickiego raz jeszcze zupełnie w tychże prawie słowach, co i na początku monografii. Nazywa go najkompletniejszym doktrynerem XVI wieku, ale z drugiej strony, jako nowy dowód jego przewrotności, przytacza że Batorego w dziełach historycznych nazywał *cunctis terrarum orbis principibus superior* (wyższym nad wszystkich monarchów świata), co nie przeszkadzało mu w korespondencyi z Maksymilianem mianować tegoż króla niesprawiedliwym, obyczajów plugawych, nienawistnym narodowi.

Dodany jest spis dzieł Warszewickiego, w którym oprócz rozbiaranych przez autora, znajduje się wiele jeszcze prac oryginalnych i tłumaczeń historycznych i religijnej treści, gdyż Warszewicki był księdzem, czego prawie całkiem nie znać w jego politycznych dziełach.

W samej pracy pana Tarnowskiego zawiele powtarzań i rozwlekłości; styl często zaniedbany, chociaż pan Tarnowski słynie z daru wymowy.

Książd Moszyński podał bardzo dokładny i pracowicie ułożony wykaz rękopismów treści teologicznej, znajdujących się w publicznej bibliotece petersburskiej, który, pomimo skromnych słów autora, ma

wszelkie cechy i wysoką wartość bibliograficznego opisu, nie zaś prostego katalogu. Rękopisma te dawniej znajdowały się po większej części w bibliotece Załuskich. Są tam kazania, modlitewniki, rozprawy teologiczne i polemiczne w językach polskim, łacińskim, a czasem w polskim, francuzkim i niemieckim.

Z dzieła Pisma Świętego sprawozdawca uważa za najważniejszą historią męki Pańskiej z XV lub XVI wieku p. t. „Sprawa chędogo o męce Pana Chrystusowej“ przez Wawrzyńca Łaszcza czy Łaskiego, i dwa przekłady prozą psalmów Dawidowych, piękną polszczyzną dokonane.

Szczególną uwagę czytelników zwraca także ksiądz Moszyński na dzieło Gunthera „Duchowne lekarstwo chorych“ rękopism z XVII wieku, w którym zasady pisowni, tyżące się spółgłoski j są także same jak dzisiaj.

Książki do nabożeństwa z XVII i XVIII wieku są albo w języku polskim, albo we francuzkim i niemieckim, co pokazuje że te języki były dość rozpowszechnione w polsce za Sobieskiego i Sasów. Polszczyzna w nich czysta, gdyż język makaroniczny, uważany jako ozdobny, używany był tylko w dziełach świeckich, a do Pana Boga przemawiano językiem czystym, szczeropolskim.

Wymienia dalej sprawozdawca ważną kronikę kościelną Dubowicza z 1646 r. i sporo rzadkich pism polemicznych, pochodzących także z wieku XVII. Tu należą pisma Melecysza Smotryckiego przeciwko papieżom, obrony wschodniej cerkwi przeciwko jezuitom Dubowicza i innych i t. d. Ciekawem tu jest dzieło p. t. „Wyjawienie przed Bogiem i światem obrzędów żydowskich i t. d. przez Jana Szarafinowicza łaską Boga do wiary św. przywróconego, przedtém zaś rabina w księstwie Litewskim będącego 1716 roku.“ W przedmowie autor mówi o sobie, kiedy się rodził, powiada że w 18 roku życia (!) został rabinem w Słucku, a potem wielkim rabinem litewskim; wyznaje że na tym urzędzie zamordował dwoje dzieci chrześciańskich (!) jedno w Rożanie, drugie w Słonimie, a nareszcie przyjął wiarę chrześciańską. Do chrztu trzymali go królewicz Konstancy Sobieski i Elżbieta Sieniawska.

W innym znowu guście jest rękopism z nowszych czasów p. t. „Myśl żydowska, dzieło tłumaczone z angielskiego oryginału, drukowanego w 1770 roku,“ a wymierzone przeciwko Księgom Mojżeszowym i w ogóle Staremu Testamentowi. Pomiedzy kazaniem sprawozdawca uważa za godne wzmianki kazania Kulwowskiego z 1550 roku i dwa kazania Sarbiewskiego, z tych jedno dotąd nieznanne. Autor tego pracowitego sprawozdania ksiądz Moszyński potrąca nawiasem, kwestyą gramatyczną wyrazów zakończonych na *anin* i *an* w ten sposób że odrzuca całkiem, pierwsze zakończenie i zamiast dominikanin, bazylianin, franciszkanin, pisze dominikan, bazylian i franciszkan, gdyż tak oddawna pisano i mówiono, podobnie jak piszemy i mówimy kasztelan, kapelan, cygan, hetman a nie kasztelanin, kapelanin i t. d. a również i dla tego że urobione od powyższych rzeczowniki żeńskie brzmią dominikanka,

bazylianka, przymiotniki zaś, dominikański, bazyliński. Wszystko to nie jest pozbawione zasady, ale nie należy zapominać, że takich wyrazów, wziętych z obcych języków. a mianowicie z łaciny, w której kończą się na *anus*, niepodobna podciągnąć pod jedną normę, ani pod zakończenie *an*, ani pod *anin*. Wszystkie one mają liczbę mnogą na *anie*, formę żeńską na *anka*, a przymiotnik na *ański*; lecz w pojedynczej liczbie rozstrzyga zwyczaj, który już w języku zapanował, bo przecie ksiądz Moszyński nie zechce zapewne mówić chrześcian zamiast chrześcianin, parafian zamiast parafianin lub pogan zamiast poganin, dla tego że powyżej wymienione formy pochodne brzmią chrześcianański, chrześciana, parafianański, parafiana i t. d., nie zaś chrześcianiński, chrześcianinka, parafianiński, parafianinka.

Tak więc jeżeli w żywej mowie natrafiamy na formy dominikan, bazylian i t. d., to mogą być one wprawdzie tolerowane, ale niepodobna ani potępiać form zakończonych na *anin*, również istniejących, ani podciągać całego szeregu podobnych wyrazów pod jedno правило. Trochę dziwnym nawet wydaje się nam taki argument: „proszę spytać każdego franciszkana, dominikana i t. d. a żaden nie nazwie siebie franciszkaninem, dominikaninem, ale franciszkanem, dominikanem i t. d.” (str. 230).

Cenną pracą ks. Moszyńskiego zamyka się dział rozpraw. Następują protokoły i sprawozdania posiedzeń, z których ważniejsze szczególności i wyjątki były już w swoim czasie podawane w naszych pismach czasowych, a w tej liczbie i na kartach Biblioteki. Z tego powodu przytoczymy tu zaledwie kilka wiadomości, jak się zdaje, jeszcze dotąd przez nasze pisma niepodanych.

W sprawozdaniu z posiedzenia 13 czerwca 1873 r. czytamy: „pan Szujski zwraca uwagę na niebezpieczeństwo, jakie (które) już dzisiaj grozi pojmowaniu i rozumieniu działalności poetycznej A Mickiewicza wskutek licznych publikacji, tyczących się jego życia, wprost kłamliwych, a z próżności ludzi, chcących się łączyć z pamięcią wielkiego mistrza, pochodzących. Wnosi ażeby członkowi Akademii panu Julianowi Klaczce to niebezpieczeństwo przedstawić i prosić go o wygotowanie krytycznego życiorysu poety. Przyjęto.”

Na posiedzeniu dnia 14 stycznia 1874 r. pan Szujski podał wiadomość o nieznanym dotąd poemacie satyrycznym z XVII wieku p. t. „Satyr Podgórski,” znajdującym się w bibliotece Zakładu Osolińskich we Lwowie. Utwór to ma być niewielkiej literackiej wartości, lecz ważny jako przyczynek do historyi obyczajów za Jana Kazimierza; wspomniat o nim już Szajnocha.

Na posiedzeniu dnia 1 kwietnia 1874 r. przedstawiony był nadesłany przez pana Kluczyckiego zabytek polskiego języka z XV wieku p. n. „Epistola świętego Bernarda o chowaniu czeladzi” po łacinie i po polsku. Łacina średniowieczna, bardzo licha, polszczyzna znacznie lepsza. Oto próbki (według pisowni dzisiejszej): „W wielkąnoc dostatecznie czeladź nakarmij, ale nie rozkosznie: każ łąkożyrstwu (łakomstwu) walczyć z mieszkciem, a warwysze (?) być rzecznikiem jego (we-

dług łacińskiego przekładu strzeż się być rzecznikiem jego). A będzieszli między imi sędzią, rychlej dawaj skazanie za mieszkiem, boć łałożyrstwo świadczy na mieszek swymi żądzami a wodzi świadki nie-przysięgłe. Też źle sądzić przeciwko łałożyrstwu gdy łałkomość (chciwość) zawiązuje mieszek i t d.

„O rąbiech (szatach) słysz. Rąb kosztowny świadcstwo jest małego rozumu. Rąb nad wyższe ukazany sąsiadom mierziączkę czyni i teszność. Wyknij dobrocią lub (lubym, miłym) być, nie rąbem. Prośba niewieścia szat a szaty mającej znanie jest niemocnej wiary (sic).

„O przyjacielu tako trzymaj, że wietszy to jest przyjaciel, który swe dawa, niżli który sam się zakazuje (w tłumaczeniu *qui se ipsum offert*). Na rzeczy dosyć jest przyjacieli. Przyjacielem sobie nie licz, który cię oczywiście chwali. Radziszli przyjacielowi, nie radź jemu k'łubości, ale rozumowi. Gdy radzisz przyjacielowi, nie mów jemu: tako masz uczynić, ale rzeknij: tako mi się widzi. Bo ze złego doradzenia rada nieprzyjaźni przyczyna pochodzi, a z dobrej rady rzadko chwała bywa i t d.”

Na tém zakończymy nasz rozbiór. Drugi tom rozpraw i sprawozdań podobno już znajduje się pod prasą i zapewne niedługo pojawi się i w Warszawie.

L. Szerbowicz-Wieczór.

Przegląd Krytyczny. Kraków 1874—1875. (Od numeru 1-o do 7-go).

Z końcem października zeszłego roku ukazał się nowy organ peryodyczny piśmiennictwa p. n. „Przegląd Krytyczny,” pod redakcją prof. uniwersytetu krakowskiego Wincentego Zakrzewskiego, wychodzący z ostatnim dniem każdego miesiąca w dwóch arkuszach druku, w 4-ce. Dotąd więc wyszło n. 7. Na wstępie 1-go numeru szanowny professor w imieniu redakcyi wypowiada pobudki, jakie towarzyszyły zawiązaniu się pisma, streszczające się w uczuciu potrzeby obznajmiania czytelników z najnowszemi dziełami. Takiemu zadaniu, jak słusznie powiedziano na wstępie, nie mogą w zupełności odpowiedzieć pisma, mające z natury ściślejszy zakres i kierunek. Tymczasem wśród rozbudzonego dziś zamiłowania do książek nie odzownemi są wskazówki wyboru, co rzeczywiście czytać należy.

„Potrzebie tak naglącej zaradzić może tylko pismo, które położy sobie za główne i wyłączne zadanie, zdawać sprawę ze wszystkich objawów piśmiennictwa, żadnego ważniejszego z nich nie pominąć, a miejsce każdego, jakie mu się w życiu naszym umysłowym należy zaznaczyć.

„Przegląd Krytyczny podawać będzie sprawozdanie z całego piśmiennictwa naszego i obcych o tyle, o ile one z naszym w pewnym, cho-

ciażby odległym zostają związku. Wreszcie pismo usuwa ze swego programu wygłaszanie „przekonań społecznych lub politycznych w jakimkolwiek kierunku.”

Zapowiedzianemi przedmiotami sprawozdania są: teologia i historia kościoła, filozofia, pedagogia, pismo dla ludu i dla dzieci, historia i nauki społeczne, geografia i etnografia, archeologia i sztuka; nauki prawne, polityczne i społeczne, rolnictwo, matematyka i fizyka; nauki przyrodzone, lekarskie, językoznawstwo i historia literatury, powieści i poezye, rozmaitości i bibliografia.”

Redakcja zapewniła sobie współdziałanie się znakomitych i powszechnym uznaniem zaszczyconych; ożywiona niekłamaną czią dla prawdy i pracy, oczekuje też z wiarą gorącego poparcia ze strony czytelników.

Wrażenie sprawione piérwszemi numerami w zupełności tę wiarę usprawiedliwia.

Rzeczywiście, po przeczytaniu przeszło stu dwudziestu recenzji, uzyskujemy ogólny i organicznie przeprowadzony plan tego, co się dzieje w świecie nauki i piękna, z jasną i sumienną oceną utworów. Sprawozdania z piśmiennictw obcych zapowiedziane są wprawdzie warunkowo; program robi je zależnemi „od przyjęcia, jakiego pismo dozna od publiczności.”

Znajdujemy tu jednak już w piérwszych zeszytach recenzję dzieł francuzkich i niemieckich, dokonane z wielką znajomością rzeczy i z wytrawnym poglądem.

Wyborne wrażenie, jakie sprawia ten próbny balon, zachęci zapewne redakcyą do wyzierania chwilami za granicę naszego piśmiennictwa, a *związek organiczny* zawsze się znajdzie.

Pismo czasowe literackie, obok ściśle naukowych swoich celów, ma przytém zadanie wychowawcze. Jeżeli obznajmia nas z postępem pojęć naukowych, z odkryciami w głównych gałęziach wiedzy ludzkiej dokonanemi, spełnia jedną połowę posłannictwa, dogadzając potrzebom pewnych grup społeczności. Pozostaje jeszcze jedna, kto więc czy nie piérwsza połowa zadania? Poza wybranymi pozostają jeszcze *powołani* t. j. większość, o którą właśnie pismu czasowemu głównie troszczyć się wypada. Powinnością jego, jego interesem w imię porządku ogólnego, jest wytwarzanie nowych *potrzeb*, których poczucie tliło się wprawdzie zarodowo w umysłach większości; ale nie ożywiane, nie podniecane z zewnątrz, ani dojrzyć, ani jasno sformułować się nie mogło. Ze względu też na ową wychowawczą pobudkę, uważalibyśmy za pożyteczne przytaczanie w recenzjach „Przeglądu” (prowadzonych, jak już powiedziano, sumiennie i z wytrawnym sądem) dosłownych *ustępów* z rozbieranego dzieła, jak to czynią piérwszorządne pisma (np. angielskie *Ateneum*, *Gazeta literacka* i t. p.). Najobszerniejsze bowiem sprawozdanie nie może dać tak dotykającego rysu indywidualności pisarza, jak jego własne wyrazy. W żywém słowie, z ust autora wychodzącém, mamy obraz nie tylko jego stylu, przypuszczając że to rys pod-

rzędny, ale prawdziwą jego osobistość naukową, ton rozumowania. Co więcej, jeżeli ten autor posiada (rzadki) dar jednolitości poglądu i umie być sobą od początku do końca, w takim razie z kilkunastu okresów wytwarzamy sobie niejako dopełniające rysy idei, którą przeprowadzał.

Ważną jest bezwątpienia mozolna praca sprawozdawcy, który przeczytawszy szeregi książek i pism peryodycznych, kreśli z nich obraz wirowego ruchu literatury; ale dla nas czytelników niemniej zajmującym jest osiowy ruch jednostki, w jej łonie, wykładzie i w sposobie rzucania światła na przedmioty.

Ważną zasługę „Przeglądu” stanowi umieszczany w stałych okresach i treściwie skreślony obraz ruchu naukowego akademii umiejętności.

Życzyłoby należało, aby do spisu nowych książek „nadsyłanych do redakcyi,” dołączane były i nowości literackie, z piśmiennictw obcych, naturalnie z ograniczeniem się do samych arcydzieł nauki, poezyi i t. p.

Oto są ogólnie nakreślone wrażenia z pierwszych numerów Przeglądu, pomyślnie wróżące o jego przyszłym wpływie na czytającą publiczność; oto postulata, do wypowiedzenia których powodowała nas już zasłużona życzliwość dla nowego pracownika.

Zwracamy się teraz do strony najgłówniejszej, stanowiącej istotę zadania Przeglądu, do krytyki; zwracamy się z tém hasłem, że w społeczeństwie a przedewszystkiém w świecie literatury nie ma sprężyny ani zbawienniejszej, ani zgubniejszej, jak krytyka. Wiek w którym żyjemy, wysoko postawił znaczenie tego regulatora opinii publicznej. Widzieliśmy, jak pod jej wszechpotężnym działaniem myśl społeczna budziła się z niezwykłą siłą, i zdumiewającą płodnością. Widzieliśmy też ujemne cuda tej straszliwej broni. Burzyła, nie budując; zaprzeczała, nie siejąc; marnowała własne zdolności w niweczeniu, dla zasady niweczenia, wytrącała pióro z ręki namaszczeńców swego czasu. Czas i uczucie zachowawcze starły ze sztandaru krytyki godło ujemne zastępując je godłem działalności spokojnej, organicznej, uzaściwiającej.

Takiego kierunku życzymy każdemu z pism, takiego kierunku mamy w Przeglądzie Krytycznym zadatki: sądzi, przetrawia, dopełnia, wytyka wady, ale żądła po sobie nie zostawia. Język Przeglądu Krytycznego odznacza się nieposzlakowaną czystością. Na małą tylko liczbę wyrazów nie zgodzilibyśmy się: *podrobiejszy, limistabywny, dyzjunktynny*.

Co do tych ostatnich terminów nauki, wypada nam odwołać się do ogólnej natury naszego języka. Posiada on w swoim układzie niesłychaną czułość organiczną, tak iż na żadnym punkcie nie może być traktowanym, jakoby ciało martwe. I dlatego to wszelkie wytwory gramatyczne, nie usprawiedliwione jego duchem i naturą sprawiają równie dotkliwe wrażenie, jak obce ciało, wprowadzone do zdrowej części or-

ganizmu. Wolno Francuzowi obok słowa *recueillir* postawić *recollection*, bo ten język swoje organiczne dopełnienie ma gdzieś zewnątrz siebie (w łacińskim *collego*); ale w naszej mowie, nawskróś żywotnej, podobnych wytworów wprowadzać nie można bez obrażenia jej natury. Wyrazy: *subiektywny* i *obiektywny* utarły się wprawdzie, ale ten wyjątkowy przywilej obywatelstwa spowodowała nadzwyczajna ważność samych pojęć których są znamionami. Lecz owa rzesza: *relatywnych*, *limitatywnych*, *disjunktywnych*, *dysparatnych*, *dyskursywnych*, ani właściwością języka, ani potrzebą prawdziwą, uzasadnić się nie da.

F. J.

Die menschliche Sprache, ihre Bildung und ihr ursprünglicher Bau von Paulin Świącicki. Leipzig. In Commission bei E. L. Kasprowicz 1875. Druck von O. Rogosz in Lemberg.

Pod tym napisem ukazał się niedawno dosłowny przekład niemiecki rozprawy pana Świącickiego „*Mowa ludzka, jej układ pierwotny i budowa*,” wydanej przezeń przed dwoma laty we Lwowie. W czasopiśmiennictwie naszym praca ta, ile wiemy, nie doczekała się dotychczas rozbioru; rzecz nawet można, iż przeszła prawie niepostrzeżenie. Wzgląd też na okoliczność tę, a przedewszystkiem charakter samęj rozprawy, skłonił nas do poświęcenia jej kilku uwag krytycznych.

Zaznaczyć najprzód wypada, iż autor występuje w charakterze stanowczego reformatora w językoznawstwie. Dotychczasowy tryb postępowania w tej dziedzinie wiedzy jest, zdaniem jego, zupełnie błędny, a olbrzymie prace pierwszorzędných badaczy mowy ludzkiej były i są usiłowaniami płonnymi, pozbawionymi wszelkich cech iście naukowych. „Od lat dziesięciu — powiada — wyłącznie poświęcając się językoznawstwu, doszedłem do przekonania, że lingwistyka pozostać musi umiejętnością tylko, nie nauką, póki nie oprze się na fizjologii i matematyce; bowiem tylko pierwsza wykryć zdoła przyczyny skutków zarejestrowanych przez lingwistykę; a tylko ostatnia naukowo dośledzone prawa językowe potrafi ująć w formuły, ściśle określone, niczém obalić się niedające. Szczęśliwszy w tej mierze od innych, nie poprzestałem na wyrobieniu w sobie przekonania jedynie; ale, w miarę sił, starałem się korzystać z pomocy wzmiankowanych nauk, pragnąc językoznawstwo oprzeć na niewzruszonych podstawach; umiejętności tej wskazać przynajmniej drogę, po której idąc, do godności nauki wznieść się zdoła.” Lingwistyka ginie dotychczas w powodzi trudności, które nagromadza niepotrzebnie; z całego jej ogromu ocalić się zaledwie daje kilka prawd pozytywnych, o które w przyszłości oprze się nowy gmach wiedzy językowej z bezwzględniem odrzuceniem dotychczasowych sposobów jego wznoszenia. Materyał pozostanie ten sam, inni tylko wystąpią architekci i innych potrzeba będzie robotników. „Należy tedy, raz już zaniechać *robót* językowo porównawczych, jako bezowocnych!”

Zobaczymyż, w jaki to mianowicie sposób i z jakich powodów, broszura o 93-ch stronicach unicestwia wszystkie owoce wieloletnich prac Boppów, Humboldtów, Schleicherów, Pattów, Burnoufów i tylu innych a innych, złożone w księgach zdumiewających zarówno objętością jak bogactwem treści.

Pierwszemu rozdziałkowi swój pracy dał autor napis: „Mowa ludzka pod względem fizyologicznym.“ Tekst atoli nie ogranicza się bynajmniej na zadaniu, wyrażonem w napisie; lecz traktuje o wielu innych rzeczach, niepozostających zgoła w łączności z ustrojem i funkcjami krtani jako narzędzia mowy. Znajdujemy więc najprzód kilka pobieżnych uwag o sprawach życiowych ciała w ogóle, o procesie tworzenia się wyobrażeń i pojęć, wreszcie, co najdziwniejsza, o istocie i początku mowy ludzkiej. Stanowisko, z którego p. Święcicki rozbiera wszystkie te zagadnienia jest tego rodzaju, iż sensualista najjaskrawszego proporca poczytałby je bez wahania za własne. Życie człowieka, mniemaniem autora, to tylko walka bodźców zewnętrznych z siłami wewnętrznymi, ustawiczny nacisk i odpór, przyjmowanie i wydzielanie, przemiana jednej formy ruchu na drugą. A nie sądzmy, by autor przez siły wewnętrzne rozumiał ogół władz psychicznych człowieka. Bynajmniej. „Tak zwaną duchową działalność ludzi“ sprowadza on poprostu do podrażnień nerwowych, wywołujących obrazy w półkulach mózgu, którego objętość i ustrój poczytuje p. Święcicki za „miarę umysłowych zdolności.“ Gdybyśmy, mówi, wiedzieli, czy budowa mózgu wszędzie jest jednaka, czy różna i czem się różnią mózgi ludów dzikich i ucywilizowanych, przestałoby dla nas być zagadką, dlaczego dziki jest dzikim nie zaś ucywilizowanym, a Europejczyk nie takim, jak Nowozelandczyk? „Wyznajemy szczerze, iż tyle zacofanych zasad nie spodziewaliśmy się znaleźć w książce, wydanej w r. 1873, a napisanej przez człowieka, który, jak sam zapewnia, śledził badawczo postępy fizjologii w ostatnich czasach. Oczywiście, iż mniemania podobne oceniać dziś poważnie byłoby rzeczą równie niewłaściwą i zbyteczną, jak n. p. polemizować z pastorem Knacke, że nie słońce koło ziemi, lecz ziemia koło słońca wiruje. Zapewnić natomiast autora uważamy za stosowne że, gdyby nie był przysiągł bez wszelkiej krytyki *in sapientiam magistri Sieczzenow*, który dlań jest wyrocznia i gdyby znane mu były, choć powierzchownie, prace takich uczonych jak Lotze, Rudolf Wagner, Ruete, Hyrtl, Abercrombie, Kl. Bernard, Wundt, Urlici, a w literaturze krajowej Majer, Szokalski i prof. Struve, do zdań pomienionych bez rumieńcaby się nie przyznał.

Jeżeli w powyższych twierdzeniach p. Święcickiego uderza tylko powierzchowność, to w rozumowaniu jego o istocie mowy ludzkiej spotykamy same rażące sprzeczności. W gonitwie za oryginalnością, odmawiając człowiekowi wyższości po nad inne stworzenia ze względu na mowę, autor oświadcza uroczyście, iż ta ostatnia jest środkiem „najmniej przydatnym do porozumienia się człowieka z człowiekiem.“ Lecz oto nieopodal czytamy: „mowa tak dzielnym jest środkiem po-

rozumienia się ludzi między sobą, iż *żadnym innym zastąpić się nie da.*" I znowu na str. 44: „nie chcemy zapomnieć, że mowa sama przez się jest *żadnym*, albo słabym środkiem porozumienia się ludzi między sobą.” Któreż tedy twierdzenie poczytuje autor za prawdziwe? Dwukrotnie zapewnienie o błahości mowy w stosunkach ludzkich nie pozostawia wątpliwości w tej mierze. Mniemanie zaś swoje wzmacnia autor rzekomo tą okolicznością, że Francuz z Niemcem, Słowianin z Turkiem za pomocą mowy porozumieć się nie zdołają, i dodaje: „inne są do tego sposoby, powszechnie, dla wszystkich zrozumiałe, ale niestety, zwierzęce: gra fizyognomii, gest, głos, oto mowa wszystkich ludzi zwierząt, ptaków, roślin (!), całej natury.” Faktem jest niezaprzeczo- nym, iż gesta i ruchy mięśni twarzowych, wydoskonalone do wysokiego stopnia, stanowią mogą nader wygodny, niekiedy nawet jedynie możliwy sposób wyjawiania myśli; lecz jakże szczupła ilość tych ostatnich krążyłoby musiała wśród ludzkości, gdyby ta unaoczniać je mogła tylko gestami? Jakież wysiłki tułowia i kończyn zdołałyby wyrazić owe krocie pojęć metafizycznych, któremi posługujemy się co krok, a bez których postęp umysłowy całe jest niemożliwy? Że niekażdy Francuz z Niemcem a Słowianin z Turkiem może rozmawiać zrozumiale, dowód- że to nicości mowy w życiu człowieczeństwa? Niech autor powie co jest w stanie zastąpić głośną wymianę sądów w tyle powikłanych sto- sunkach życiowych, niech wskaże potężniejsze od języka ogniwo, które- by miliony Francuzów, miliony Niemców, Słowian czy Turków utrzymi- wało w jedności społecznej... Może autor wymieni wspólność reli- gii, zwyczajów lub ustaw? Czemże atoli będzie dla ludzi treść tych przemożnych czynników bez obłoczy słowa? Marném zaiste i martwém oderwaniem jedynie!

Zapatrywanie się autora na początek mowy, o którym, mimo napis rozprawy, znajdujemy nader nie wiele i to dorywczych uwag, nie wytrzymuje również najłżejszej krytyki. Wiadomo, iż mówiąc słowa Maxa Müllera ¹⁾, „jak w biologii zagadnienie stworzenia stało się za- gadnieniem początku komórek organicznych, tak w językoznawstwie kwestya pochodzenia mowy sprowadzoną została do kwestyi pochodze- nia pierwiastków, tych komórek fonetycznych.” Różnią się dzisiaj lin- gwiści w poglądach na pochodzenie pierwiastków, czytać można w tej mierze mnóstwo ciekawych, acz bardzo często wręcz sobie przeciwnych domysłów i przypuszczeń, ale nie ma obecnie na obliczu ziemi ani je- dnego poważnego a nieuprzedzonego badacza, któryby stawał w obro- nie teorii interjekcyjonalnej czyli wykrzyknikowej. A jednak autor nasz, mimo że od lat dziesięciu poświęca się wyłącznie językoznawstwu, bez najmniejszego wahania wskrzesza z ubiegłego stolecia pływającą do- ktrynę lorda Monboddo ²⁾, oświadczając kategorycznie, iż wywód swój

¹⁾ Filozofia języka według Darwina „Kłosa” 1874 r.; n-r 472.

²⁾ H. Steinthal, Der Ursprung der Sprache. Eine Darstellung, Kritik u. Fortentwicklung der vorzüglichsten Ansichten. 1858, str. 37.

początku mowy „oparłszy na przyczynach prostój (?) natury,” ma prawo twierdzić, że.... „wykrzykniki stanowią początek mowy.” „Mateczniki mowy—dodaje—są one ziarnem, z którego rozrodziły się drzewa i krzewy olbrzymiej puszczy języków.” Pojmujemy dobrze iż z zasadniczych poglądów autora na życie psychiczne człowieka niepodobna było wysnuć innego wniosku, lecz mógłże autor zapomnieć o tych trzech niezaprzeczonych pewnikach: najprzód, że ze wszystkimi mimowolnymi krzykami, które człowiek dobywa z piersi pod naciskiem bóleści, radości, zdumienia lub przestachu, nie łączy się zgoła myśl świadoma, której zwierciadłem jak to sam autor przyznaje, jest mowa; powtóre, że krzyki te, jako czyste odruchy, tak są nieliczne i stałe, iż żadną miarą nie mogłyby się rozwinąć z nich ta różnorodność dźwięków, zwłaszcza spółgłoskowych, którą postrzegamy w językach ludzkości, i wreszcie, że nie ma na świecie tyle dowcipnego umysłu, któryby potrafił z takich głosów, jak ach! o! brr! ch! i t. p., wyprowadzić etymologicznie najpopularniejsze nawet wyrazy, jak n. p. ziemia, niebo, życie, śmierć, światło ¹⁾).

Z psychologicznego stanowiska, jakie zajmuje autor, snadnie już zrozumieć, dlaczego dotychczasowe badania lingwistyczne wydają mu się płonnemi i błędną prowadzonymi drogą. Zamiast językoznawstwa w ustalonym rozumieniu tego wyrazu, żąda on jakiejś akustyki fizyologicznej, której definicya tonie we mgłę ogólników bez treści. Z błędnych wszakże założeń, błędne też wypływają wnioski. Jeżeli autorowi nie obcym jest rzeczywiste zadanie poszukiwań lingwistycznych, jeżeli przyznaje, że mowa miała początek, że ulegała i ulega różnorodnym przemianom dziejowego rozwoju, którego podwaliną i dźwignią jest twórczy duch człowieka; to zgodzić się musi, że językoznawstwo jest nauką *historyczną*, a jako takie, pod żadne formuły matematyczne podciągnąć się nie da, i że zdanie wyrażone na str. 63: „naśladowmy badaczy przyrody, uczmy się od nich, jak mowę badać mamy,” jest tylko.... frazesem.

¹⁾ Jak mimo to uludną niekiedy może być teoria interjekcyonalna, świadczy następujący szczegół z h. storyi poglądów na pochodzenie mowy. Zdolny myśliciel minionego stulecia, prezydent parlamentu burgundzkiego, Karol de Brosses († 1771 r.) w dziele swém: *Traité de la formation mécanique des langues* (Paris, 1765 I, 238) wyraził był mniemanie, że pierwiastkiem łacińskiego czasownika *stare* i pochodnych odeń wyrazów jest wykrzyknik *st!* wyrwający się mimowoli, gdy chcemy zatrzymać idącego a niewidzącego nas człowieka. Mniemanie to, tak napozór prawdopodobne, przez długi czas rzeczywiście utrzymywało się w nauce. Późniejsze atoli badania wykryły, iż wykrzyknika tego używa jedynie rodzina języków indo-europejskich, że więc nie ma on cechy ogólnoludzkiej, jaka odznacza wszystkie wykrzykniki właściwe, i że jest on prosto skróceniem trybu rozkazującego *sta!* (stój, stehe i t. p.). Wiadomość tę powzięliśmy z I-go tomu „Cywilizacyi pierwotnej” Edwarda Tylera,

Całą wartość w mowie będącej rozprawy stanowi ustęp, mający za przedmiot rozbiór fizyologiczny głosów mowy ludzkiej. Widać że piszący nie powtarza utartych twierdzeń za innymi, lecz że sam odbywał sumiennie studia laryngoskopijne. Z tego też względu ustęp ten polecamy gramatykom i wszystkim pragnącym gruntowniej poznać głosownią któregokolwiek języka. Zauważyć tylko winniśmy, iż *mniek-kich* dźwięków *cz'* i *sz'*, o których mówi autor na str. 25, krtań ludzka wydać nie jest w stanie i że nie właściwie użytym jest (str. 19) wyraz *srednica* na oznaczenie punktu, stanowiącego środek linii prostej.

W rozdziale p. n. „Rozrost mowy ludzkiej,” traktuje autor o rozwoju mowy w okresie po-piérwiastkowym. Obok jednakże bezładnego rozumowania spotykamy i tutaj reminiscencye z rozdziału piérwszego, tudzież ponowne nagany Boppa i Schleichera za to, jakoby uczeni ci we wszystkich swych poszukiwaniach dążyli jedynie do zdobycia odpowiedzi na pytanie: „litewska mowa czy dawniejsza od gockiej, ta od greckiej, tamta od słowiańskiej i t. d. i t. d.?” Pan Świącicki sądzi bowiem, iż w genealogii języków „nie masz starszego ani młodszego, nie ma ojca i dzieci.“ Pomijając już tę okoliczność, iż sam autor żąda na str. 92 „aby jedną mowę uznać koniecznie za najdawniejszą i do niej wszystkie inne odnosić” czego przy dzisiejszym stanie nauki nie może wymagać żaden rozsądny lingwista; pytamy, czém, jeśli nie mianem powinowactwa i starszeństwa, oznaczyć należy stosunek np. łaciny do języków romańskich?

W końcowych uwagach autor odróżnia „mowoznawstwo” od językoznawstwa. Przez piérwsze rozumie on „badanie mowy ze stanowiska ogólniejszego” (ma to być pewien rodzaj filozofii mowy), przez drugie zaś studia nad językami poszczególnymi. Traktować jednak języki porównawczo próżna, mniemanie autora pokusa „gdy ani psychologii ani loiki porównawczej nie mamy.” W zagadkowym tém wyrażeniu zawarł mimowolnie p. Świącicki najprzód widoczną niewiadomość swoją o kilkunastoletnich już trudach Steinthala i Lazarusa na polu psychologii narodów (Völkerpsychologie) a potem rażący błąd *contradictio in adjecto*, wzmiankując o loice porównawczej. Cóż to ma oznaczać ta ostatnia? Co do nas, sądzimy, iż autor mógłby równem prawem żądać arytmetyki lub algebry porównawczej. Dotychczasowe badania etnologiczne, ile wiemy, nie wykryły jeszcze ani jednego, by też najdzikszego plemienia, któreby rozumowało w odrębny od ucywilizowanych sposób; jesteśmy też przekonani, iż każdy Patagończyk, Irokez, Algonkwini czy Maorys zgodzi się z Europejczykiem, że weźmy przykład bliżej nas obchodzący w chwili obecnej; przeczyć i twierdzić równocześnie jedno i to samo jest stanowczą niedorzecznością, nieusprawiedliwioną niczém. Być może, iż autor miał tutaj na względzie niektóre fakta z historyi loiki, np. że syllogizm mędrca indyjskiego Gotamy składał się z pięciu części (z założenia, przyczyny, przykładu, zastosowania i wniosku), podczas gdy używany do dziś dnia syllogizm Arystotelesa

liczy ich tylko trzy (założenie, przykład i wniosek) ¹⁾, lecz któż nie widzi w pierwszym jedynie pleonastycznej parafrazy drugiego, przy trzeciej tożsamości obydwóch?

Polszczyzna rozprawy, którą robieramy, tak jest w wielu razach niepolską, iż uwierzyć częstokroć niesposób, aby wyjść mogła z pod pióra autora, który cokolwiek bądź, rości sobie prawa do miana lingwisty. Np. str. 3: „końce nerwów, których ciąg jakby *pomostem* (zam. *za pomost*) służy;” tamże: odpowiednio *sile* (zam. *do siły*) odporu;” str. 4: „człowiek wziął do ręki kamień rozpalony i *upiękl* (zam. *sparrzył*) się;” kilka razy użyto „kawkazki zam. kaukazki;” str. 80: „mięśnie prawidłowo *fungują*,” „uwięźnienie, otwory *skurne*,” podobnie *dzieciom* (zam. jak *dzieci*), „głosy które *skombinowują się*” i t. d. i t. d. Nie brak też wyrażeń tak zawitych, iż zaledwie kilkakrotne ich odczytanie pozwala uchwycić myśl autora, np. str. 3: „.....dla naciśkającej siły bodźca, słabsze silniej, mocne części organizmu słabiej wstrząsającej.” Wprawdzie p. Święcicki mniema, że „prawa gramatyczne, przestrzegające rzekomej czystości języka, są pętami tylko naturalny rozrost jego krępującemi,” że nierozsądkiem jest wmawiać w siebie „jakoby znajomość gramatyki nieodbicie potrzebną była dla człowieka wykształconego;” lecz na to odpowiemy mu, że jeżeli od cieśli żądamy dokładnej znajomości narzędzi ciesielskich i sposobów ich użycia, tedy od piszącego dla publiczności polskiej ma też publiczność polskiej i pisać rzeczywiście po polsku: inaczej nikt go czytać nie zechce.

Po tych, nie z naszej winy nieprzychylnych dla rozprawy autora uwagach, niech nam wolno będzie zapytać go w końcu: jakie pobudki naukowe skłoniły go do ogłoszenia swęj pracy w języku niemieckim i czy nie będzie ona w nowęj swęj szacie, zbytęcznym zgoła balastem dla półek księgarskich? Co do nas, prosimy autora o wybaczenie szczęrości; odpowiedzielibyśmy twierdząco na to ostatnie pytanie. Małóż bo już zapisali papięru Büchner, Moleschott, Bibra, Fischer, Spiller *e tutti quanti* na udowodnienie powtarzanęj za nimi przez autora zasady, że człowiek jest tylko bezwładną bryłą organiczną, rzuconą w przestrzeń i czas na pastwę bodźcom fizycznym? To zaś, co w pracy autora istotną posiada wartość, t. j. rozbiór głosów mowy człowieczęj ze stanowiska fizjologii, ileżto w literaturze niemieckięj znalazło już gruntownych opracowań, że wymienimy tu tylko drugi tom *Odczytów* M. Müllera, tudzież wyborny traktat Meyera: *Stimm-und Sprachbil-*

¹⁾ Dla dowiedzenia loicznie, że np. wyrzucająca dym góra jest ognistą, syllogizm indyjski mówił: 1) jest góra ogniem buchająca; 2) albowiem ona dymi; 3) gdzie dym, tam i ogień; 4) ta góra zaś dymi; 5) zatem jest ognistą. Syllogizm zaś grecki rzekłby: 1) co dymi, jest ogniste; 2) ta góra zaś dymi; 3) ta góra przeto jest ognista.

dung ¹⁾). Nie przesądzajmy wszakże przyszłości i oczekujmy co o pracy pana Świącickiego powie krytyka niemiecka.

M. Wład. Dębicki.

Podobizna pisma (fac-simile) Św. Wojciecha.

W klasztorze św. Małgorzaty w Brzewnowie pod Pragę czeską, przechował się autograf św. Wojciecha, uważanego za autora starożytniej pieśni *Boga-Rodzica*, tak rozpowszechnionej do połowy większej XVII stulecia w całej Polsce.

Wieś Brzewnów, położona w królestwie czeskim, odległa o pół godziny drogi do Pragi, posiada naczelne opactwo Benedyktynów z najdawniejszym klasztorem tego zakonu, założonym w roku 993 przez księcia Bolesława II-go i św. Wojciecha biskupa praskiego.

Opactwo to należało w Czechach do najbogatszych w pierwszej połowie XII-go wieku, utrzymywało do 300 zakonników. Opat miejscowy nosił tytuł księcia i miał prawo bicia monety: klasztor był prawdziwą rezydencją księżęcą i najprzyjemniejszą pod Pragę ustroiem. W r. 1420 zburzyli go Hussyci, odbudowany po wojnach, którego wspaniałe teraźniejsze gmachy i zabudowania pochodzą z lat między 1701 a 1736; kościół jest parafialnym i w nim przechowują się niektóre po św. Wojciechu pamiątki. Pomieniony autograf przed pożogą niesioną kościołom przez Żyżkę, w raz z pozostałemi klejnotami szczęśliwie ocalono i dotąd zachowano. Jest to tego biskupa własną ręką napisana *professya*, czyli wyznanie ślubów zakonnych, w tych słowach po łacinie:

„Ja Wojciech przyrzekam wytrwanie, zachowanie się i posłuszeństwo podług reguły św. Benedykta, w obec Boga i wszystkich Świętych i w obecności Opatu Augustyna.“

Podobizna dołączona, pokazuje długość i szerokość pergaminu, na którym napisał powyższe słowa ś-ty Wojciech.

W roku 1400 brat *Wacław* Zakrystyan widząc że ten drogocenny zabytek dla zbytniej starości, może uleść zupełnemu zniszczeniu, przykleił go na drugi pergamin i własnoręcznie o tém napisał, ażeby wątpliwym w przyszłości wszelką wątpliwość odjąć. W takim więc kształcie pamiątka ta dotrwała naszych czasów, i p. Cezary Biernacki znany badacz dziejowy a stały współpracownik Encyklopedyi powszechniej S. Orgelbranda polygrafował. R.

¹⁾ Pomieszczony w zbiorze popularnych wykładów naukowych Virchowa i Holtzendorfa (serya VI. ogólnego zbioru zeszyt 128).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Czerwiec 1875 r.—Wydawca Tygodnika Ilustrowanego Józef Unger zapowiada nową publikację: „*Album Rysunkowe malarzy polskich w Monachium zamieszkałych.*” pod kierunkiem znakomitego rodaka naszego Józefa Brandta. Ma to być zbiór kopii obrazów, formatu takiego jak Biblia Dorégo, wykonanych w zakładzie drzeworytniczym Tygodnika Ilustrowanego, według oryginalnych rysunków artystów Polaków, w Monachium przebywających, z dołączeniem krótkiego objaśnienia przy każdym obrazie.

— Nakładem tegoż wydawcy wyszedł tom X dzieł Zygmunta Kaczkowskiego. Ponieważ prace tego pisarza nie mogły być ukończone w dziesięciu tomach, przeto tom jedenasty dodaje się wszystkim bez wyjątku prenumeratorom bezpłatnie. Zarazem pomieszczonym zostanie pogląd krytyczny Wincentego Korotyńskiego.

— „*Księżeczka do nabożeństwa Jadwigi Księżniczki polskiej.* Według pierwotnego wydania z r. 1823, powtórnie wydał Stanisław Moty. W Poznaniu nakładem J. K. Zupańskiego. W Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1875.” (w 24-e XCVIII, 186 i 48 podobizny). Drogocenny ten zabytek języka polskiego, wydany obecnie, w edycji starannej i pięknej oprawie, jest już do nabycia w naszych księgarniach.

— Pan Krzykowski Józef ogłosił wydawnictwo: „*Powieści i anegdotki z pisma humorystycznego: „Fliegende Blätter” zeszytami arkuuszowemi, po sześć kopiejek, zapowiadając że „jeżeli nie straci,” wydać dalej będzie.*”

— Warszawskie Towarzystwo Lekarskie podaje następujące temata do konkursu i wyznacza na każdy nagrodę po 150 rubli. I. Z funduszu stałego nagród konkursowych imienia doktora medycyny Adama Helbicha, członka honorowego Towarzystwa Lekarskiego: 1) „*Krytyczny rozbiór nowszych poglądów na tak zwaną chorobę Brighta, na podstawie własnych spostrzeżeń klinicznych i anatomicznych*”, 2) *Temat z poprzedniego okresu konkursowego pozostawia, na który nie przedstawiono żadnej rozprawy: „Wykazać doświadczeniami względną wartość i skuteczność rozmaitych limf, używanych do szczepienia ospy ochronnej”.* II. Z funduszu pozostałego po wzniesieniu nagrobka ś. p. Bronisławowi Chojnowskiemu, profesorowi Uniwersytetu Warszawskiego i członkowi Towarzystwa Lekarskiego: 1) „*Rozebrać wpływ kąpeli podawanych z celem obniżenia ciepłoty ciała w chorobach gorączkowych*”. 2) „*Dokładne określenia wskazań do użycia ścieśnionego powietrza: oparte na własnych doświadczeniach*”.

Na konkurs imienia D-ra Helbicha wyznacza się trzechletni termin; na konkurs zaś imienia D-ra Chojnowskiego dwóletni termin, licząc od dnia 1-go czerwca r. b. Rozprawy więc na konkurs 1-y oczekiwane będą najpóźniej do dnia 1-go czerwca 1878 roku, na konkurs 2-gi do dnia 1-go czerwca 1877 roku. Wszystkie rozprawy nadsyłane być mają na ręce sekretarza stałego, Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego (ulica Niecała nr. 7), według zwyczajnych form konkursowych, to jest z nazwiskami autorów, w kopertach zapieczętowanych i opatrzonych stosownemi dewizami. Pierwsze prawo do własności rozprawy uwieńczonej zastrzega sobie Towarzystwo Lekarskie.—Z upoważnienia Towarzystwa Lekarskiego, sekretarz stały.

D-r *Szokalski*.

— Długo milczący śpiewak *Rusalek* ozwał się złamany boleścią po utracie ukochanej córki. Wiersz p. n. *Dzisiejszość*, który podajemy z Kuryera Warszawskiego, odpowiada dobrze nastrojowi ducha poety, który przed Mickiewiczem zachwycał nas swemi *dumkami*.

„Zaskorupały od klęczeń kolana...
Modłę się, ale w przeczuciu złowrogiem,
Co łask i natchnień wypłacę u Pana,
Wnet je zmarnuję za kościelnym progciem:
Jak na libijskich tam piaskach podróżni,
Srodzem utrudzon, szamocąc się w próżni.

Nad Watykanem jakieś tajemnicze
Znaki! Czyż groźby bliskiego zdziczenia..?
Chrystus przesłonił na razie oblicze,
I zło, coraz się szerzój rozkorzenia;
Jak Prometeusz świat w imię postępu
Rozdarł wnętrzości swe, na żertwę sępu.

Biada! oj winnym! Wyprawion list gończy;
Roki zawito, na stole praw książka;
Sąd się zagał, i nie wprzód się skończy,
Aż każdy dług swój spłaci do szelągka:
Darmo i szukać gdzie można ukrycia,
Błyskawicuje Pan na gradobicia.

W okół na zgliszczach siół i grodów złomach
Cuchnie dym nafty, to nży kir żałoby;
Kędy nie spojrzę, świszczą pustki w domach:
Bracia po pieśni ukryli się w groby,
Stoję ogromion, jak dąb zgruchotany,
Chwiejący czołem w step, po nad burzany.

Wiaro, piastunko moja białoskrzydła!
Wiedz na pokoje mnie swe kryształowe;
Krzyżem odzégnuj dawnych mar straszydła:
O twe kolana pozwól oprzeć głowę;

Chwilkę niech jeszcze patrzę w słońce jasne,
Zanim zapadnie za chmury, i zasnę.“

— Dnia 11 (23) maja w auli uniwersytetu petersburskiego p. Jan Nieciśław Baudouin de Courtenay, dla uzyskania stopnia doktora językoznawstwa porównawczego, bronił rozprawy swęj p. n.: „Zarys fonetyki (głosowni) gwar rezyjańskich,“ str. 128, wielka 8-ka. Rozprawa ta przedstawiona wydziałowi, zamiast zarzutów ze strony oponentów: dziekana wydziału J. Srezniewskiego i prof. Łamańskiego, wywołała tylko słowa zupełnego uznania, jako praca prawdziwie naukowa, świadcząca jak najkorzystniej zarówno o metodzie autora ściśle naukowej, jak i niepospolitej znajomości przedmiotu, które to cechy noszą na sobie i inne poprzednio ogłaszane prace autora. Oponenti, przyznając to p. B. nie wahali się zaliczyć go pomiędzy pierwszych dziś znawców językoznawstwa porównawczego. Po dokładném ustném wyjaśnieniu przez autora kilku kwestyi naukowych, poruszonych przez oponentów, a także przez prof. Lercha i akademika Grota, rada wydziału, oceniając dotychczasową działalność naukową pana B., której dowody złożył w piśmiennictwach: rosyjskiem, polskiem, czeskiem i niemieckiem, jednozgodnie przyznała mu stopień *doktora językoznawstwa porównawczego*.

Jestto z kolei 4-ty z uzyskanych przez pana B. stopni naukowych. W roku bowiem 1866, ukończywszy uniwersytet warszawski p. B. otrzymał stopień magistra nauk filologiczno-historycznych; w parę lat potem—doktora filozofii w uniwersytecie lipskim, następnie w r. 1870—stopień magistra językoznawstwa porównawczego w uniw. petersburskim, za napisanie dzieła: „O języku staropolskim do XIV wieku,“ obecnie zaś, będąc docentem uniwersytetu kazańskiego, uzyskał najwyższy stopień doktora.

Dla objaśnienia samego nagłówka rozprawy doktoryzacyjnej pana B. dodamy, że gwara, czyli dyalekt rezyjański, jest jedną z kilkunastu gwar słowiańskich, jakimi mówi 30,000-na ludność Słowian (Słowińcy i Serbo-chorwaci), mieszkających do dziś w północnych Włoszech. Pan Baudouin w czasie wycieczek swoich w r. 1872 i 1873 do tych krain zbadał 10 z pomiędzy tych gwar; w rozprawie zaś pod powyższym nagłówkiem przedstawił naukowe opracowanie jednej z nich, mianowicie gwary rezyjańskiej. Ludność mówiąca tym językiem wynosi obecnie przeszło 3,000 i zamieszkuje dolinę Rezyjańską (Rezija), położoną w północno-wschodniej stronie królestwa Włoskiego, w powiecie Mużackim (distretto di Maggio).

— Przewodnik po Krakowie i jego okolicach (illustrowany i nieillustrowany) wyszedł w Krakowie nakładem księgarni Nowoleckiego, z dodaniem wiadomości i objaśnień potrzebnych dla podróźnych, oraz planu Krakowa. Jestto książka o kilkunastu arkuszach druku, zawierająca wszystko co tylko służyć może do pouczenia nieznanącego tego miasta przybysza. Opis Krakowa, jego przedmieści i okolic jest wyczerpujący; nie pominięto także zdrojowisk galicyjskich.

— Towarzystwo Tatrzańskie w Krakowie otrzymało zasiłek od sejmu na lat trzy, po 400 złr. rocznie, a z funduszów państwa płacę dla nauczyciela snycerstwa w Zakopanem. Towarzystwo otrzymało zaproszenie na kongres międzynarodowy umiejętności jeograficznych w Paryżu i postanowiło wysłać tamże od siebie delegata, p. Arnese, członka Towarzystwa jeograficznego w Rzymie. Muzeum tatrzańskie Towarzystwa wzbogaciło się znacznie w ostatnich czasach darami p. Eichborna. Na ogólném zgromadzeniu członków Towarzystwa odbytém w tych dniach, postanowiono utworzyć w Krakowie biuro informacyjne na trzy miesiące: czerwiec, lipiec i sierpień. Członków honorowych Towarzystwo liczy 28, założycieli i członków dożywotnich tyleż, członków zwyczajnych 320. Dochód dotychczasowy wynosi 5,758 złr., rozchód 2,749 złr. W kasie oszczędności złożono 2,623 złr.

— Czytamy w jedném z pism krakowskich: „Mieliśmy sposobność czytać ciekawą suplikę, od wójta małej i ubogiej wioski górskiej. Starszyzna tej wioski obaczyła była przed dwoma laty, zapewnie u któregoś z okolicznych proboszczów, pierwsze zeszyty przepysznój Biblii Dore'go wychodzącej w Warszawie. Prześliczne illustrowane dzieło niezmiernie podobało się włościanom. Za namową wójta, złożyła tedy gromadka kilka guldenów i przesłała je do wydziału powiatowego, z prośbą o zaprenumerowanie tego dzieła i o uzupełnienie kwoty choćby w części, gdyby dzieło to więcej miało kosztować. Wydział uczynił zadość żądaniu gminy i datkiem ze swęj strony podwoił podobno przesłaną kwotę. Oczywiście nie wystarczyła zebrana w ten sposób suma, a zapłacenie dalszych zeszytów nową pociągnęto za sobą składkę we wsi. Dziś wyczerpały się już środki możności tēj gminy, należącój do najuboższych w powiecie Myślenickim, a na odmowną odpowiedź wydziału powiatowego, któremu także na fuuduszach zbywa, wójt udał się do jednéj z tutejszych redakcyi z prośbą o udzielenie pomocy i z zapytaniem: czy nie możnaby uzyskać od wydawnictwa opuszczenia niespłaconej jeszcze kwoty dwudziestu kilku guldenów? O tēm rozumie się niepodobna myślęć; prędjéj drogą składki dałyby się zebrać te pieniądze. Dziwna to przecie następuje w usposobieniu ludu wiejskiego przemiana. Któżby był przypuszczał temu lat kilkanaście, żeby uboga wioska podkarpacka, którój mieszkańcy owsianym chlebem żyją, pokusiła się o nabycie jednéj z najkosztowniejszych ksiązek polskich, illustrowanej Biblii Dore'go.“

— Przy gorliwych pracach badaczy i miłośników zabytków przeszłości, tak jēj ciemniejsze okresy powoli się rozjaśniają, jak i postacie wydatniejsze zmieniają swą charakterystykę, w jakiej dotąd je znamy. Mamy tu na myśli Kazimierza Sarbiewskiego słynnego poetę łacińskiego z czasów Zygmunta III. Wiadomo że należał do zakonu jezuitów, gdzie posłuszeństwo starszym było pierwszą zasadą; dla tego Sarbiewski wiele swoich utworów pozostawił w rękopiśmie, nieśmiejąc drukiem ogłaszać, na coby pozwolenia nie otrzymał. Pan Jan Krystianiacki professor języków starożytnych w gimnazyum Franciszka Józefa, za-

mierzyszy opracować monografię tego poety, którego niektórzy wynosili nad Horacego, w poszukiwaniach swoich natrafił szczęśliwie, na dwa jednocześnie i prawie nieznanne, a przynajmniej przez nikogo należycie nie rozpatrzone rękopisma, zawierające poezye Sarbiewskiego: pierwszy z nich z pierwszej połowy XVII wieku bardzo poprawnie i bez błędu prawie pisany, jest kopią z autografu Sarbiewskiego za życia jego zrobioną. Zawiera *ody* te które się znajdują w pierwszym a dziś już wielce rzadkiem wydaniu w Kolonii 1625 r., wyjąwszy dwóch *od*, które później do druku nadesłano; ale obok tego mieści się tu 99 epigramatów, które nigdzie drukowane nie były, a między temi i trzy *ody* niedrukowane, które Sarbiewski w listach swoich roku 1639 Stanisławowi Łubińskiemu przesłał. Drugi rękopism poezyi Sarbiewskiego znajduje się w Bibliotece Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich we Lwowie. Jestto autograf samego poety. Zawiera ten rękopism 22 *ody* z wierszem wstępnym. Wszystkie dotąd niedrukowane. Treść ich religijna opiewa Krzyż, pod którymto symbolem autor chrześcijaństwo i cnoty chrześcijańskie wystawia. „Odznacza te *ody* taka podniosłość ducha (pisze sprawozdawca co do tych zabytków w Gazecie Lwowskiej Nr. 110 z roku bieżącego) i genialność, jaka się w żadnym z dawniejszych tworów tego poety w takim blasku nie okazała”. *Ody* te należą do ostatnich lat jego życia. Zniechęcony do życia dworskiego, w którym mnóstwo przykrości doświadczał, postanowił zamknąć się w zaciśniętym klasztorze, aby się oddać całkowicie naukom, co też uskuteczniwszy, dnia 2 kwietnia 1640 r. zakończył życie. Autograf o którym wspominały prawdopodobnie był pisany w ostatnich latach, gdy myślą i sercem wznosił się do Boga, wśród zaciśniętego klasztornej. Czy znajduje się drugi Syrokomla, któryby te piękne twory w łacińskim, mniej dziś dostępnym języku, oddał z całym ich wdziękiem w języku ojczystym, przyszłość dopiero pokaże.

— We Lwowie r. b. wyszły: „Gramatyka języka francuzkiego na podstawie języka polskiego. Opracował J. A. M. Borski, nauczyciel języka francuzkiego w cesarsko królewskiej Akademii technicznej, lektor tegoż języka w cesarsko królewskim Uniwersytecie lwowskim. Książka uznana przez radę szkolną dla szkół średnich. (W 8-ce str V 234). *Botanika przez Billa, dla wyższych klas szkół średnich.* Tłumaczył professor Łomnicki, wzbogacił to dzieło dodaniem przeglądu piśmiennictwa botanicznego polskiego, a zarazem rzutem oka na florę krajową, przyczem wiele czerpał z prac polskich naturalistów.

— Znany kompozytor *Jurecki*, który do wielu słów Juljusza Słowackiego podłożył muzykę, illustrował i większe utwory tego poety jak *Balladynę* a obecnie *Lilję wenedę*. Lwowskie organa oddają należne pochwały młodemu muzykowi.

— Znakomity badacz pierwotnych dziejów Polski i wydawca krytyczny kronik polskich, August Bielowski, wzbogacił literaturę bardzo piękną monografią p. t. „Szymon Szymonowicz”, która wyszła w Krakowie w osobnym odbiciu z „Pamiętnika akademii umiejętności.”

Mieszczą się tu listy poety do hetmana Zamoyskiego Jana i do wielu innych osób pisane, i listy, które poeta odbierał, wszystkie bardzo ciekawe, malujące charakter, sposób myślenia i życie najlepszego naszego sielankarza. Życiorys Szymonowicza paparty dokumentami, jest bardzo dokładny. Bielowski wynalazł dotąd nieznane poezye wdzięcznego autora powszechnie znanéj sielanki: „Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego”, i tu je także zamieścił. Napisanie téj monografii uważamy za wielką literacką zasługę Bielowskiemu, dzięki jéj, postać Szymonowicza zarysowała się przed nami dokładnie i wiele zyskała na jasności.

— Starożytne cmentarzysko odkopano niedawno w W. ks. Poznańskim, w powiecie Pleszewskim, na folwarku Górzycy. W środku nieznacznej wyżyny wznosił się tam piaszczysty pagórek, w którym włościanie chowali kartofle. Wichry w końcu kwietnia roku bieżącego panujące, rozwiały część pagórka, i odkryły popielnice, co dało pobop do dalszych poszukiwań. Poznajdywane tam naczynia: urny duże, pe-kate, barwy czerwonej, inne zupełnie czarne, lśniące, znacznego rozmia-ru i roboty bardzo starannéj, bez uch i z uchami, z pokrywami w formie niezwyktéj, ozdobionemi starannym rysunkiem; następnie poniszczzenie obok dużych popielnic i innych mniejszych, wytworniej jak inne wyrobionych; — dalej, wazoniki i dzbaneczki szczególnego kształtu, z brzuchami mocno wydętymi, to wyrobu prostego, to bardzo delikatne, to z rysunkami, to bez nich;—wreszcie naczynie postacią swą bardzo do kieliszka zbliżone, oraz miska głęboka czarna, do góry dnem obrócona i pokrywająca kości niedopalone—zwracają na siebie uwagę, jako niezwyklej osobliwości. Najwięcej zabytków tych znaleziono w grobowcu prostokątnym, z gładko od strony wewnętrznej otłuczonych kamieni; dno było wyłożone płaskimi łupanami kamieniami. Grobowiec był na 2½ stopy pod powierzchnią ziemi; wysokość jeden metr, długość 1½ metra. W budowie tego grobowca dostrzeżono wykwiutną staranność, inne wyroby nie przedstawiały żadnej wydatnej różnicy od zwyczajnych tego rodzaju grobowców. W tém cmentarzysku spotykano warstwy czarnej przepalonej ziemi na parę cali grube, leżące na płaskich, starannie ułożonych kamieniach. W jednéj urnie znaleziono na spodzie pod niedopalonemi kośćmi kołczyk brązowy, bardzo prostego wyrobu, kilka kawałków stopionej niebieskiej masy szklanej, i nieco stopionego srebra. W pobliżu pagórka znaleziono wyroby krzemienne, których niemożna dobrze określić, jako już mocno zużytych. Uchowanie się tego cmentarzyska tuż przy budynkach dworskich i włościańskich, stanowi także pewnego rodzaju osobliwość.

— Ważnym punktem zgromadzania się Słowian mieszkających w Wiedniu w liczbie do 150,000, stała się *Słowiańska Biesieda* założona przed dziesięciu laty. Chociaż musiała walczyć z rozmaitemi trudnościami, wynikającemi w części ze stanu rzeczy w Wiedniu, częścią z obojętności samych Słowian, jednakże z każdym rokiem rozwija się coraz więcej, i stała się, szczególniej od jesieni 1874 roku, kiedy ją

przeniesiono do nowego lokalu (Dobblhofgasse nr. 9), przedstawicielką wszystkich plemion słowiańskich. W wielkiej czytelni znajduje się mnóstwo gazet i dzienników południowo-słowiańskich, czeskich, polskich, ruskich, francuzkich, niemieckich, książki informacyjne, słowniki języków słowiańskich, encyklopedye, dzieła specyalne i t. d. Biblioteka, ciągle się zwiększająca, składała się w końcu 1874 roku z książek: czeskich 1,058, południowo-słowiańskich 590, ruskich 400, polskich 61 i 693 w innych językach; ogółem 2,812 tomów. Dochody roczne i prawie takież same wydatki wynosiły w 1874 roku 5,100 flor. *Biesieda* liczy 300 członków i 44 założycieli. Sądząc z liczby mieszkańców słowiańskich Wiednia, członków *Biesiedy* słowiańskiej mogłoby być przynajmniej pięć razy więcej. Należy się zresztą spodziewać, że staraniem teraźniejszego komitetu, a szczególnież prezesa hr. Jana Harrach'a, powiedzie się z czasem zyskanie *Biesiedzie* więcej udziału i sympaty w wyższych sferach.

— *Towarzystwo kiowskie przyrodzowców* w tomie IV-tym swych pamiętników, podaje sprawozdanie z działalności swojej. Widzimy z niego, iż w r. 1874 tak jak w latach poprzednich, przedmiotem zajęć Towarzystwa było: badanie organicznej i nieorganicznej natury, głównie w granicach okręgu naukowego kijowskiego, oraz rozpozszechnianie wiadomości z działa historyi naturalnej. Dla osiągnięcia tak nakreślonego celu Towarzystwo urządziło zebrania ogólne, na których roztrząsano kwestye naukowe i załatwiano sprawy bieżące, wyznaczano delegacye do badań w zakresie nauk przyrodniczych przy odpowiednich uposażeniach, prowadzono odczyty publiczne w przedmiocie nauk naturalnych i fizyko matematycznych. Oprócz tego miewały miejsce i posiedzenia peryodyczne, w których uczestniczyła liczba członków nie wyższa nad 15, a nie mniejsza od 10. Członkowie ci i inni współpracownicy dostarczali materyałów do kolejnych zeszytów Pamiętnika wydawanego przez Towarzystwo. Wyznaczane były nadto specyalne komisye dla rozbierania różnych kwestyi naukowych, urządzania odczytów wypraw naukowych, i dotyczących strony materyalnej téj instytucyi. Wyprawy rzezzone odnosiły się między innymi do zbadania fauny brzegów morza Czarnego, okolic Żytomierza pod względem mineralogicznym, okolic Desny i Sejma pod względem geologicznym i t. p. W roku téż ubiegłym staraniem Towarzystwa wyszedł „Skorowidz literatury rossyjskiej w przedmiocie nauk przyrodniczych.” Zamiany swego wydawnictwa Towarzystwo dopełniło z 40 innymi towarzystwami, z 15 zakładami naukowymi i 19 redakcyami pism peryodycznych.

Bibliotekę Towarzystwa zbogaciło 80 dzienników różnych, i 70 rozmaitych książek oraz broszur.

— W Berlinie wyszedł w maju r. b. przekład dzieła dziś panującego króla szwedzkiego Oskara II-go p. n. *Karol XII jako król wojownik i człowiek*. Tłumacz Emil Jonas otrzymał od tegoż króla medal za prace literackie.

— „Versi Polacchi,” pod tym tytułem wyszedł we Florencji, w tamtejszej drukarni związkowej zbiór poezji Władysława Kulczyckiego, w tłumaczeniu Hektora Marcucci, z przedmową Artura Wołyńskiego. Od niejakiego czasu we Włoszech okazują żywsze zajęcie dla naszej literatury.

— Z wysokiem uznaniem odzywa się krytyka niemiecka o wydaniem niedawno przez H. Zeissberga dziele *Johannes Laski, Erzbischof von Gnesen 1510—1531 und sein Testament* (Wiedeń 1874). Połowę prawie tej obszerniej (o 215 str.) książki zajmuje nader starannie nakreślony rys biograficzny znakomitego dostojnika, z właściwą autorowi głębokością poglądu i oględnością krytyczną.

Zwracamy też uwagę czytelników na dzieła następujące:

Honegger, *Dzieje krytyczne wpływu kultury francuskiej w ostatnich stuleciach*. Berlin 1875, (*Kritische Geschichte der französischen Cultur ein flüsse*). Wiekopomna sława należy się Guizotowi za to, iż głośno i z całą powagą dogmatu pojęcie *cywilizacji* wprowadził do rzędu faktów historycznych. Uznawano wprawdzie i przedtem obecność pewnych ogólnych czynników w dziejach ludzkości, i te, iż tak powiem obiektywne popędy mass działających, formułowane w przeważny sposób, podstawiając pod czyny osób i narodów to siłą w apoteozie (Vehse, historia kultury), to jakieś dziwne, prawie mechaniczne oscylacje (Vico, Nauka Nowa), to rozwój idei religijnej, to wreszcie nie dościgłe zwykłemu oku doby metafizyczne. Środkowy, ale wyznaczyć musimy, nader żywotny punkt widzenia obrał sobie Guizot, pomiędzy cudowną abstrakcją a poziomym mechanizmem, zaznaczając w dziejach wydatne prądy *cywilizacji* i uważając ją za ostateczny wynik tego, co się dzieje i działo w rzeczach ludzkich. Zdumiewaliśmy się niegdyś na te słowa Guizot'a wypowiedziane w jego odczytach, że wszelka teoria społeczna, gdziekolwiek pomyślana, uzyskuje ostateczną sankcję nie piérwój, aż po uznaniu jej przez społeczność francuską. Dziś, w obec spełnionych przesileni dziejowych, słyszymy je z ust najwymowniejszego pisarza niemieckiego:

„Nowożytnie zasady, mówi nasz autor, za pomocą których literatura francuzka zdobyła sobie berło nad umysłami, wyszły wprawdzie piérwotnie z Anglii, ale wagę powszechną uzyskały one dopiero pod odżywczém i popularyzującym działaniem języka i piśmiennictwa francuzkiego.”

Takto, w zdaniu prawdziwych mężów nauki, „prawda jest miłszą niż Plato.” Dzieło tedy Honeggera ma wysoką (ale rzadką w tej sferze) załugę bezstronności. Autor upatruje trzy główne działy w dziejach wpływu kultury francuskiej: 1) epokę Ludwika XIV-go, hegemonia oręża i cywilizacji.

2) Wiek XVIII, to jest okres wykończenia i zakończenia owego procesu, który Francuzi zwykli oznaczać trzema jaskrawemi punktami: duch analizy, duch zwątpienia i duch starcia się (*esprit de doute, esprit d'analyse, esprit d'attaque*).

3) Czasy rewolucyi i Napoleona.

Ze czcią i głębokiem uznaniem zatrzymuje się autor przed najpromienniejszą postacią XVI i XVII wieku i ubolewa, iż książęta niemieccy tak obojętnem okiem patrzeli na prawdziwie humaniczny plan Henryka IV-go. Filozofię francuską XVIII-go stulecia Honegger ocenia z prawdą bezwzględna! Przyznając jej pewne organiczne zasady, dalekim jest wszakże od owych dziwacznych hołdów, jakimi okadził ją za naszych już czasów Lerminier (Filozofia wieku XVIII-go i jej wpływ na postępy społeczne XIX stulecia).

Nader charakterystycznie skreślone są postacie trzech koryfeuszów epoki: Montesquieu, Wolter i Russo. Cisnąć wszechwładnie swojami teoryjami na towarzyskość, nie były to wszakże potęgi świata *filozoficznego*. Zajmowały ich, drgały pod ich piórem palące kwestye społeczeństwa, badali oni *ducha* rzeczy (esprit d. choses); ale obojętnie obchodzili przepaści tych tajemniczych zagadnień o *istocie rzeczy*, z którymi współcześnie pasowała się myśl giermańska. Nie szło im o metafizyczny pierwiastek wszechświata, o substancję bytu; szło im o pochwylenie bytu w *zjawisku*, i to w zjawisku społecznem. Była to chwila, jak mówi Lerminier, kiedy prawo czasu miało zapanować nad warunkami przestrzeni, kiedy nadchodziła chwila *rewizyi stosunków ludzkich*. Praca Honeggera jest kwiatem w obecnem piśmiennictwie niemieckiem. Zasługuje też na uwagę, iż czuć tu daje powiew myśli pojednania, z jaką odzywać się poczęły dość liczne głosy z tej strony Renu.

— *Frydrych Heliwald*. Historia kultury w jej przyrodzonym rozwoju aż do chwili obecnej (*Culturgeschichte in ihrer natürlichen Entwicklung bis zu Gegenwart*. Augsburg 1874). Obszerne to dzieło o przeszło 800 stronicach, nie przejdzie bez rozgłosu. Kultura podług teorii Heliwalda i kultura podług teorii Honeggera, czy może być dalej posunięte sprzeczniostwo? Tam mamy przed oczyma żywe zwroty społeczności, w wypadkach i przesileniach słyszemy pulsowanie samowiedniej siły; tu przeciwnie występuje nieubłagany mechanizm, dzieje kultury mają tu być po prostu procesem zyoologicznym, nie w przenośnem lecz w najrealniejszem znaczeniu wyrazu: Historia jest to „walka o byt.”

Przeciw zasadzie autora, jako zasadzie, nic powiedzieć nie możemy. W dziedzinie systemów przypuszczalnemi są wszystkie stopnie pomiędzy jednym a drugim biegunem; wszystkie, od krańcowej negacyi Feuerbacha, aż do dogmatycznych mrzonek Jakóba Böhm'a, dowodzącego że dyamenty wynikły ze światła w peryodzie miłości, a jadowite gady w peryodzie gniewu.

Dlaczegoż więc nie mielibyśmy patrzeć z mężką zimną krwią na krańcowe zmechanizowanie sprężyn duchowych. Wielką jest każda teoria, bez względu na barwę, jeżeli posiada organiczną potęgę nawiązania wszystkich zjawisk na swoje nici. Ale nic niemasz dziwaczniejszego nad system, który dla dopasowania faktów, obchodzi się z niemi tak jak niegdyś zdobywca rzymski z posągami Koryntu.

Nasz autor grupuje rozumnie, opowiada zręcznie, niekiedy kwiecisto, ale często naciąga fakta, zanadto będąc ufnym w bezwzględność swojej zasady naturalistycznej.

Kreśląc obraz rozwoju kultury starożytnej, wypowiada znakomite poglądy na historią Wschodu.

Ale zbyt wielkie przypisuje wpływy Wschodowi na oświatę Hellenów.

Jak wiadomo, niektórzy dziejopisarze filozofii, pod wpływem tego orientalistycznego nastroju, posunęli się tak daleko, iż dopiero na Sokratesie kładą historyczną granicę wpływów wschodnich na myśl grecką (dzieło Glagisch'a p. n. Empedokles). Heliwald idzie dalej: podług niego przed Arystotelesem nie było nauki w Helladzie. Takie dyktatorskie pociągi pióra najspokojniejszemu człowiekowi muszą zepsuć humor i przypomnieć owego ciekawego w bajeczce (Kryłowa), który zajęty przeglądaniem muszek drobniejszych od śpilki, nie dostrzegł słonia.

Mimo to jednak, zamknawszy oczy na te sztuczne ramy (naturalizmu), w każdym niemal punkcie odstające od obrazu, samemu obrazowi nie możemy odmówić żywego kolorytu, zręcznej analogii a niekiedy i prawdziwie znaczących odkryć w dziedzinie historii postępu.

Zasługuje też na uwagę:

Wittig Ludwik., Ein Jahr hundert der Revolutionen (Berlin 1875). Przedstawia nakreślony przystępnie obraz wstrząśnień począwszy od wojny amerykańskiej o niepodległość, aż do ostatnich czasów.



Dnia 25 kwietnia r. b., we wsi Awratynie około Lubaru zmarł **Spirydion Ostaszewski** dożywszy lat 80 wieku. Dziełny jeździec, nieustraszonego żołnierz, olbrzymiej był siły, łamał podkowy, a czterokonny powóz w biegu jedną ręką zatrzymywał. Był to pisarz nieposledniego talentu, w narzeczu ludowem wydał zbiór powieści ludowych wierszem, o których pisaliśmy zaraz po ich wyjściu w Bibliotece Warszawskiej. Inne prace zmarłego wylicza Encyklopedia powszechna S. Orgelbranda.

— Dnia 29 maja r. b. w Kownie zakończył życie ks. **Maciej Kazimierz Wołoncewski** biskup diecezji Telszewskiej czyli Żmujdzkiej.

Był on dzieckiem ludu, wśród którego pasterstwo sprawował. i tylko cnotliwemu życiu, talentom a pracy niezmordowanej zawdzięczał wyniesienie z pod ubogiej strzechy włościańskiej na wysokie w kościele stanowisko. Urodził się we wsi Nabranach w diecezji żmujdzkiej dnia 29 grudnia 1799 r. Poświęciwszy się stanowi duchownemu, jako celujący uczeń seminarium żmujdzkiego wysłany został z niego do seminarium głównego przy Uniwersytecie wileńskim, w którym wychowawcy tego seminarium słuchali kursów na wydziale teologicznym, mając wspólne mieszkanie, stół i przydziewek w klasztorze księży Augustyanów. Ukończywszy nauki w Uniwersytecie i otrzymawszy stopień magistra teo-

logii, oddawał się obowiązkom swego stanu na Żmudzi do roku 1839, w którym powołany został na adjunkta Akademii duchownej wileńskiej, powstałej po zniesieniu Uniwersytetu z jego wydziału teologicznego. Wykładał tam Wołoncewski teologię pastoralną i archeologię biblijną i za trzyletnią pracę w r. 1842 otrzymał stopień doktora teologii.

Był to ostatni doktorat przyznany w Wilnie, Akademię bowiem wkrótce potem przeniesiono do Petersburga. Udał się tam i ksiądz Wołoncewski, i jeszcze przez trzy lata poświęcał się pracy professorskiej, lecz surowy klimat petersburski tak dalece mu nie sprzyjał, że zagrożony śmiertelną niemocą, musiał w roku 1845 powrócić do stron rodzinnych, gdzie z początku był nauczycielem religii i kapłanem gimnazjum w Krozach, a następnie rektorem seminarium w Worniach. Nareszcie w skutek konkordatu ze Stolicą Apostolską zawartego w roku 1848, dyecezya żmudzka, która już lat kilkanaście od śmierci Józefa Giedrojca zmarłego w roku 1838 nie miała biskupa dyecezyalnego i była rządzona tylko przez suffraganów, otrzymała w Wołoncewskim pasterza z pełnością praw biskupich. Prekonizowany przez papieża 28 września 1849, mianowany ukazem 26 stycznia 1850, konsekrowany 8 marca t. r., objął katedrę 21 kwietnia 1850 r., i rządził nią wśród różnorodnych kłopotów przez lat dwadzieścia pięć, ze wzorową gorliwością i miłością ku powierzony sobie owczarni, która też go jak świętego czciła. Od wstąpienia na godność biskupią do roku 1863 mieszkał w Worniach, gdzie było urzędowe centralne siedlisko biskupów dyecezyi telszewskiej rozciągającej się na gubernie Kowieńską i Kurlandzką; w roku zaś pomienionym przeniesiony do Kowna, jako miasta głównego gubernii Kowieńskiej, pozostawał już tam aż do zgonu, raz tylko w roku zeszłym odbywszy podróż za granicę dla poratowania skołatanego zdrowia.

Jako pasterz dyecezyi, był ks. Wołoncewski nadzwyczaj czynny; co rok prawie dopóki mieszkał w Worniach, zwiedzał część dyecezyi, a sprawozdania o stanie świątyń i szkółek parafialnych kazał sobie składać corocznie. O ukształcenie podwładnego duchowieństwa, o chędogość domów Bożych i szkółki elementarne dla ubogiej diatywy nadzwyczaj był troskliwy. Skutkiem tego seminarium duchowne wornieńskie, choć po największej części alumnów brało z pod strzechy wieśniaczej, słynęło jako wzorowy zakład specjalny, wypuszczający duchownych gruntownie ukształconych; świątynie Pańskie nieprzerwanie odnawiały się, budowały, zaopatrywały w sprzęty i aparaty; piśmienność też pomiędzy ludem, nie małe czyniła postępy. Jeżeli gubernia Kowieńska pod względem oświaty elementarnej najkorzystniej stoi ze wszystkich gubernii zachodnich, winna to w znacznej części swojemu biskupowi i duchowieństwu parafialnemu.

Z prac piśmiennych ogłoszonych przez ks. Wołoncewskiego, mamy dwie treści religijnej i jedną historyczną. Najdawniejszą jest ostatnia, zawierająca dzieje biskupstwa żmudzkiego w języku żmudzkiem p. t. *Zemajtu Wiskupistes* (Wilno u Zawadzkiego 1848). Szacowna ta praca,

w przeważnej części oparta na niedrukowanych źródłach autentycznych, przełożona została na język polski przez obywatela tamiecznego Jana Hryszkiewicza, ale dotąd pozostaje w rękopiśmie, z wielką szkodą dla piśmiennictwa. *List pasterski* ks. Wołoncewskiego, napisany po polsku i po żmudzku, wyszedł w Wilnie w roku 1850 i został przedrukowany w tutejszym „Pamiętniku Religijno-Moralnym”. Trzecią nakoniec pracą zmarłego był przekład żmudzki arcy-księgi „O naśladowaniu Chystusa” ogłoszony p. t. *Tamasziasz isz Kempis apeisekime Jezaus Kristus knisigas kieturas* (Wilno, 1852). Znawcy chwalą piękny język, tudzież prawdziwie religijne namaszczenie przekładu.

— Dnia 2 czerwca r. b. zakończył życie **Józef Kremer** b. rektor i professor uniwersytetu Jagiellońskiego, członek i przewodniczący w wydziale filozoficzno-historycznym akademii umiejętności w Krakowie, licząc 70 lat życia. Dnia 4-go t. m. odbył się obchód pogrzebowy. Zwłoki czcigodnego męża, przeniesione na ramionach uczniów akademii Jagiellońskiej, sztuk pięknych, obywateli miasta i towarzyszków naukowych, spoczęły na miejscowym cmentarzu.

— Dnia 9 czerwca r. b. o godzinie 10 rano w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, umarł **D-r Karol Libelt** prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Brdowie, po ciężkiej chorobie. Kartka pogrzebowa nadesłana naszej Redakcyi obejmuje te słowa:

„Dziś o godzinie 10 zrana, opatrzony Św. Sakramentami zasnął w Bogu Ojciec nasz ś. p. *D-r Karol Libelt* w 68 roku życia swego w Brdowie pod Gołańczą. Eksportacya odbędzie się z Brdowa do Czeszewa w Niedzielę 13 czerwca o godzinie 6-jej na wieczór, pogrzeb zaś dnia następnego o 11-jej rano w kościele parafialnym w Czeszewie, o czém krewnych i przyjaciół zawiadamiają, pozostałe w smutku *dzieci*.

Czeszewo, dnia 9 czerwca 1875 roku.“

W następnych zeszytach naszego pisma podamy obszerniejsze wspomnienia o życiu i zasługach dla krajowej literatury, tak zmarłego Karola Libelta, jak Józefa Kremera.

— Dnia 9 czerwca r. b. w Poznaniu zakończyła życie **Paulina z Lamzów Wilkońska**, znana powieściopisarka, wdowa po zmarłym autorze *Ramot i Ramotek*.

Sprostowanie. W zeszyście czerwcowym na str. 491, wiersz 23, 24, 25 wydrukowano: *języka słowiańskiego*, zamiast *słoweńskiego*; *na gruncie słowiańskim (auf slowenischen Boden)*, zamiast *na gruncie słoweńskim (auf slovenischem B.)*; *język słowiański* zamiast *słoweński*.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.